

ZNAAK

M I E S I Ę C Z N I K

Rok LIX
Kraków
MAJ
(5) 2006

612

Polski Kościół na manowcach?



Bielawski, Bortnowska, Cywiński,
Donaj, Petry Mroczkowska,
Pyda, Ryś, Skóra, Tarnowski,
Wierzchosławska, Wilkanowicz, Wiśniewski,
Woźniakowski, Zając, Zaleski-Isakowicz

O ucieczce



www.miesiecznik.znak.com.pl

ISSN 0044-488X

INDEKS 383716

Cena 18 zł
(VAT 0%)



Budowa świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie

(fot. ze strony internetowej www.templum.pl)

Polski Kościół na manowcach?

MAJ 2006 (612)

4. Od redakcji

DIAGNOZY

5. *Wojciech Lubowiecki*
Biedny krewny ze Wschodu

TEMAT MIESIĄCA

DEFINICJE

12. *Józef Maciejowski*
Z punktu widzenia papieża Benedykta
17. *Halina Bortnowska*
W drogę!
22. *Marek Zajac*
Na manowcach
34. **Kościół na manowcach?**
Dyskusja z udziałem K. Bielawskiego, B. Cywińskiego, M. Donaja OSA, J. Petry Mroczkowskiej, ks. G. Rysia, D. Skóry, K. Tarnowskiego, K. Wierzchostawskiej, H. Woźniakowskiego i ks. T. Zaleskiego-Isakowicza
62. *Stefan Wilkanowicz*
Kościół bardziej chrześcijański, bardziej katolicki i bardziej kościelny
71. *Janusz Pyda OP*
Jak pisać o Kościele?
81. **Czuć się jak w domu...**
Ankieta
93. *ks. Jarostaw Wiśniewski*
Proszę, nie milczcie. Raport misyjny z Donbasu
101. **Inspiracje**

TEMATY I REFLEKSJE

102. *Michał Masłowski*
„Ostatni polski romantyk”
124. *Joanna Petry Mroczkowska*
Odpowiedzialność za Kościół
134. *Jerzy Surdykowski*
Kłopoty z miłością

RUBRYKA POD RÓŻĄ

145. *Małgorzata Łukasiewicz*
Wyjście z cyrku
- O RÓŻNYCH GODZINACH**
150. *Halina Bortnowska*
*** * ***
- MIEJSCA I OSOBY DRAMATU**

158. *Dorota Zańko*
Grabarka

ZDARZENIA – KSIĄŻKI – LUDZIE

161. *Marcin Lachowski*
W kłęczach kolekcji
172. *Piotr Kosiewski*
Dwudziesty wiek po krakowsku
- SPOŁECZEŃSTWO NIEOBOJĘTNYCH**
180. *Magda Bożyk, Anka Strumieńska*
Dziękuję za doping!
185. **ROK 1984**

Od redakcji

Rok temu, pisząc rozważania Drogi Krzyżowej, odprawianej w Wielki Piątek w Koloseum, kard. Joseph Ratzinger porównał Kościół do „tonącego okrętu, łodzi, która ze wszystkich stron nabiera wody”. „Przeraża nas brud szaty i oblicza Twego Kościoła – napisał Ratzinger. – Ale to my sami go zbrukaliśmy! To właśnie my zdradzamy Cię [Chryście] za każdym razem, po wszystkich wielkich słowach i szumnych gestach. Zmiłuj się nad Twoim Kościołem...”.

Te słowa przyszłego papieża były dla nas inspiracją, żeby spróbować nazwać najważniejsze problemy Kościoła w Polsce po to, byśmy wszyscy mogli zaangażować się w ich przewycięzanie. Bo – głęboko w to wierzymy – los Kościoła jest w rękach Boga, i w naszych rękach. I choć problemy tego Kościoła są głębokie i, zdaniem niektórych, „beznadziejne”, jest w nas paschalna nadzieja. Nie na darmo przecież w tym czasie wielkanocnym śpiewamy:

Chrystus zmartwychwstan jest,
nam na przykład dan jest.
Iż mamy zmartwychpowstać,
z Panem Bogiem królować. Alleluja.

„Nam” to znaczy także: Kościołowi w Polsce. Żeby „zmartwychwstał” i żeby „królował”. A „królować” to znaczy: służyć.

Ojciec Święty, czekamy na Twój przyjazd do Polski.
Czekamy na Twoje słowo i Twoje świadectwo.



Wojciech Lubowiecki

Biedny krewny ze Wschodu

Druga rocznica unii z Unią

Wizerunek Polski w Europie od czasu akcesji na ogół poprawił się, ale samo członkostwo w Unii nie gwarantuje pozytywnej opinii o Polsce. Dowodem prawdziwej i trwałej zmiany w postrzeganiu Polski będzie moment, w którym kraj nad Wisłą przestanie być umieszczany w Europie Wschodniej, a w brukselskiej nomenklaturze straci przydomek „nowego” państwa członkowskiego.

Milan Baroš, napastnik piłkarskiego klubu Aston Villa, bliski był zdobycia tytułu króla strzelców na ostatnich Mistrzostwach Europy, grając dla reprezentacji Czech, co nie przeszkodziło dziennikarzowi brytyjskiej telewizji określić go kilka tygodni temu mianem „zawodnika czechosłowackiego”. Cóż, wpadki się zdarzają. W telewizyjnych i radiowych transmisjach na żywo w wartkim potoku słów komentatora nadal powstają z martwych, choć coraz rzadziej, „sportowcy sowieccy”. Pokazuje to jednak dobitnie, jak wielka jest siła przyzwyczajenia; dowodzi, że myślowe schematy i skojarzenia przestawić o wiele trudniej niż wskazówki zegara przy zmianie czasu czy w podróży pociągiem pod Kanałem La Manche. Przepraszam, Kanałem Angielskim.

Polska była w tej szczęśliwej (*sic!*) sytuacji, że w 1989 roku (i okolicach) przeszła metamorfozę, ale się ani nie rozpadła, ani nie zjed-



noczyła, ani nie została stworzona od początku. Nie doświadczyła tożsamościowych perypetii Czechosłowacji, NRD czy Macedonii (dodam: byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii – dla uniknięcia nieporozumień i greckich protestów). Dla Europejczyka nazwa Polski się nie zmieniła; Polska była i została Polską, zgodnie z życzeniem Jana Pietrzaka. Stało się tak dlatego, że PRL nigdy nie zrobił na europejskim rynku zawrotnej kariery jako znak firmowy; skrót PRP (People's Republic of Poland) się nie przyjął. Nazwa to jednak nie to samo co wizerunek.

Nie ma się co łudzić – w głębokich pokładach europejskiej podświadomości Polska to nadal zacofany, zdecydowanie biedny, postkomunistyczny kraj na dalekim wschodzie Europy. Dalekim może nie dla Niemca czy Austriaka, ale na pewno dla Irlandczyka czy Hiszpana. Nie jest to Azja Zachodnia, czego obawiał się Miłosz w *Rodzinnnej Europie*, ale Europa B, Europa drugiej, a w najlepszym razie innej kategorii. Że taki obraz wschodniej ubogiej Polski istnieje, dowodzą potknięcia językowe (kiedy były szef NATO lord Robertson wylądował na Okęciu, wyraził swoje zadowolenie z przybycia do Moskwy), skróty myślowe (ileż to tekstów o Polsce w prasie zachodniej okraszonych jest fotografią wozu drabiniastego!) i wrzucanie wszystkiego, co na Wschodzie, do jednego worka (w Londynie spotkałem się z niedowierzaniem, że Polska nie należy do najbardziej dotkniętych przez AIDS krajów świata, skoro – jak mi tłumaczono – problem AIDS przybrał katastrofalne rozmiary „w Europie Wschodniej”). Istnienia stereotypu zacofanej Polski dowodzą też niezliczone przypadki pozytywnego zaskoczenia osób przyjeżdżających nad Wisłę po raz pierwszy. Im większe zaskoczenie europejskim standardem życia niektórych Polaków, tym głębiej zakorzeniony stereotyp, który bezpośrednio doświadczenie podważa.

Wejście do Unii, któremu towarzyszyła i nadal towarzyszy ogromna kampania informacyjna także w krajach „starej Unii” (kampania nie tylko w sensie zorganizowanej akcji, ale nawału informacji o „nowej Europie”), było niewątpliwie najważniejszym dla Polski „wizerunkowym” wydarzeniem w ostatniej dekadzie. Ale nie jedynym. Są nimi kolejne wybory, były rozmaite zdarzenia: od pielgrzymek do Ojczyzny i polskiego pożegnania Jana Pawła II, po tragedię w Cho-



rzowie. Na zwykłym Europejczyku największe wrażenie może jednak zrobić po prostu upływ czasu – 15 lat w miarę stabilnej gospodarki i polityki buduje wizerunek kraju „normalnego” (nawet polska polityka robi wrażenie monotonii z perspektywy półtora tysiąca kilometrów, zwłaszcza w perspektywie miejscowej, popularnej gazety). Przypadkowy dowód: spotkany w pociągu z Brukseli do Londynu czarnoskóry Brytyjczyk zapytał, skąd pochodzi. „Kraków” – powtórzył, kiedy odpowiedziałem – „nigdy tam nie byłem”. I dodał: „Ale mam tam mieszkanie”.

Ten pozytywny kapitał roztrwonić nie sztuka. Norman Davies przypomniał w niedawnym wywiadzie dla „Newsweeka”, że dobrą reputację zdobywa się mozolnie, a traci szybko i łatwo. Była to przestroga skierowana do polskich polityków z obecnego Sejmu, ale nie tylko oni odpowiadają za obraz Polski. Ewentualne ekscesy, o przelewie krwi nie wspominając, wywołane przez polskich szalikowców na tegorocznych futbolowych Mistrzostwach Świata w Niemczech w czerwcu mogą zniwelować to, co inni z trudem budowali. Swoją drogą rozkwit rasizmu, chuligaństwa i przestępczości na polskich stadionach i wokół nich to zjawisko, które polscy politycy powinni byli stłumić w zarodku, więc i oni nie są tu całkiem bez winy. Chodzi mi jednak o podkreślenie, że wizerunek danego kraju to nieraz dzieło przypadku czy skutek działań osób pozornie mało znaczących. Mrówcza pracowitość i solidność tysięcy szarych emigrantów doprowadziła dziś do sytuacji, że Polak w Londynie cieszy się pozytywnym *image*, polskość jest *cool*, a polski hydraulik ma wzięcie – zdesperowany komentator angielskiego tygodnika „Catholic Herald”, zirytowany niesłownością hydraulików wyspiarskich, błagał ostatnio czytelników o podanie mu numeru telefonu porządnego, polskiego, katolickiego hydraulika.

Ten wizerunek Polski – powierzchowny, anegdotyczny, przypadkowy, wycinkowy, choć może statystycznie dominujący – nie pokrywa się z wizerunkiem, jaki powstaje w brukselskich instytucjach obserwujących wydarzenia nad Wisłą z wielkim zainteresowaniem, szczególnie, i – ostatnio – z rosnącym niepokojem. W Brukseli obraz Polski jest wiernym odwzorowaniem rzeczywistości, ale nie jest wolny od politycznego spinu. Ton redakcyjnego poganiania



Warszawy ustąpił miejsca – po 1 maja 2004 roku – przyjacielskiemu poklepywaniu po plecach. Na krótko. Polska szybko zyskała miano trudnego partnera (w sprawie konstytucji i budżetu) i opornego pacjenta, który uporczywie odmawia przyjęcia lizbońskiego eliksiru na wzrost zatrudnienia i unowocześnienie gospodarki. Zmienne i coraz to pogarszające się prognozy w sprawie wprowadzenia euro popsuły notowania Polski u euroentuzjastów. Dojście do władzy PiS-u, a zwłaszcza jego przymiarki koalicyjne z Samoobroną wprowadziły prawdziwy zamęt czy wręcz element paniki.

Kiedy ten numer „Znaku” trafi do Państwa rąk, obraz Polski może przejść kolejną metamorfozę, jeśli koalicyjny, eurosceptyczny rząd w Warszawie rzeczywiście powstanie (eurosceptyczny nie w świetle

Wizerunku Polski w Brukseli nie budują wyłącznie składane tam przez polskich polityków deklaracje o sympatii dla dziedzictwa Roberta Schumana; budują je wypowiedzi i decyzje tychże polityków w domu.

zaangażowania premiera Marcinkiewicza w szczyt budżetowy w grudniu, choć „yes, yes, yes” eurosceptycyzmu nie wyklucza, tylko w świetle konsekwentnego atakowania projektu unijnej konstytucji przez PiS, LPR i Samoobronę oraz miejsca tych partii na politycznym wachlarzu w Parlamencie Europejskim). Czym innym są bowiem mniej czy bardziej udolne ministrowie czy minikampanie tego czy innego

rzędu w Warszawie w pojedynczych sporach z większością państw unijnych (jak sprawa zbyt późno zgłoszonej prośby o niski VAT od Internetu, jak zakończone powodzeniem podkopywanie projektu dyrektywy o innowacjach komputerowych czy wreszcie kompromitacja nowego ministra w sprawie reformy cukrowej), czym innym zaś notoryczna nieufność wobec integracji europejskiej na etapie obecnym i tym zarysowanym w eurokonstytucji. Wizerunku Polski w Brukseli nie budują wyłącznie składane tam przez polskich polityków deklaracje o przyjaźni i sympatii dla dziedzictwa Roberta Schumana; budują je wypowiedzi i decyzje tychże polityków w domu. W dobie Internetu europejskie instytucje dysponujące setkami tłumaczy mają szybko pojęcie o tym, co minister Dorn powiedział Durczokowi w RMF-ie o poranku. Brukselę można krytykować, ale to nie Ciemnogród.

Czy eurosceptyczny rząd będzie oznaczał dla *image* Polski katastrofę? Niekoniecznie, może tylko nową jakość. Bruksela jęknie, ale



zdzierzy i to. Tak samo jak współżyje pokojowo z krytycznym wobec niej prezydentem Klausem; tak samo jak musiała tolerować koalicyjny rząd Austrii, w skład którego weszła w atmosferze sensacji Partia Wolności. Z gróźb zawieszania Austrii w prawach członka Unii zostało tylko wspomnienie, rozbita i oswojona partia Heidera i kanclerz Schüssel, którego z Unii nie wyrzucono, a który dziś jej przewodzi. Czy europeizacja Leppera doprowadzi do tego, że w 2011 roku, podczas pierwszej polskiej prezydencji w Unii, minister (premier?) z Samoobrony poprowadzi posiedzenie sektorowej Rady Unii Europejskiej (a może szczyt Unii!)? Dziś wydaje się to absurdem. Jednak w kontekście drogi, jaką już dotąd przeszła Samoobrona w Parlamencie Europejskim, nie jest to wcale niemożliwe (od buńczucznych i bełkotliwych gróźb renegocjowania Traktatu Stowarzyszeniowego z Unią, zgłaszanych w Strasburgu podczas krótkiej kadencji europoselskiej samego Leppera, po dzisiejsze, regularne „exposé” Ryszarda Czarneckiego na temat niemal każdego aspektu polityki międzynarodowej omawianej przez unijną izbę).

Sama obecność w Unii nie gwarantuje pozytywnego wizerunku państwa członkowskiego. Austria chwilowo ten wizerunek utraciła mimo przynależności do Unii, ale winić może tylko siebie. W przypadku Polski akcesja przysłużyła się polskiemu wizerunkowi za granicą, ale stworzyła nowe wyzwania. Unia (to jest brukselskie instytucje, a za nimi europejskie media) podkreślała polskie osiągnięcia, ale jednocześnie nagłaśniała polskie niedociągnięcia, wady, a także – korzystając z bardzo niebrukselskiego terminu – polskie grzechy główne. Na tle unijnych partnerów Polska wypada źle w wielu statystykach: Bruksela obnażyła bezlitośnie dramatycznie niskie polskie nakłady finansowe na badania i rozwój. O rzekomych i udowodnionych skandalach sanitarno-produkcyjnych w polskim rolnictwie trąbiono w Europie wszem i wobec, zwłaszcza w kontekście niekwestionowanego sukcesu polskiego eksportu żywności wewnątrz Unii. Krytyka Polski i wywołane nią spory będą się zapewne mnożyć, zwłaszcza że władze w Warszawie cechuje teraz nieufność czy wręcz wrogość wobec brukselskiego edyktu i werdyktu. Unijna legitymacja klubowa dodaje zazwyczaj prestiżu, ale może się też okazać piarowską zmorą.



Dwa lata Polski w Unii przyniosły tej pierwszej większą obecność medialną w Europie, więcej prestiżu i więcej wpływów – choćby z tego względu, że w politycznych sporach liczą się tylko obecni. Ale o znaczeniu Polski nie decyduje wyłącznie liczba jej mieszkańców, dyktująca, ilu mamy europosłów w Strasburgu, ani jej nicejska siła głosów w Radzie Europejskiej (jak się okazało w przypadku reformy cukrowej, same głosy to nie wszystko). Mocarstwowej roli Polski nie przesądza wcale to, że jej premier może trzymać w szachu 26 pozostałych państw Unii (z Bułgarią i Rumunią) w trakcie negocjacji budżetowych (może to zrobić także premier Malty, pozbawionej takich aspiracji). Ważniejsze nadal jest to, że kiedy w Unii dzieli się pieniądze, Polska jest po stronie tych, co biorą; a nie tych, co dają. „*It's the economy, stupid*”, żeby sparafrazować amerykańskie hasło wyborcze. Z wielu historycznych i politycznych powodów Polska jest w unijnej drugiej lidze. W tym sensie wyrafinowany wizerunek Polski w oczach eurokraty nie odbiega daleko od *image* drabiniastego wozu w głowie niemieckiego podatnika i zarazem czytelnika popularnej prasy.

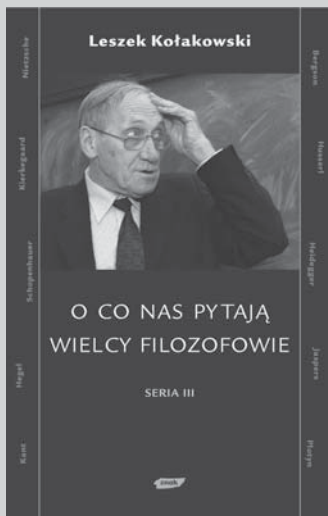
Brukselski stereotyp Polski uwidacznia się w języku oficjalnych dokumentów, na przykład Komisji Europejskiej, najeżonych podziałami na *n o w e i s t a r e* kraje Unii. Tylko nieco ponad dekadę (11 lat) spędziły w Unii Finlandia, Austria i Szwecja, ale nikomu nie przyjdzie do głowy nazywać je nowymi krajami członkowskimi. Do powtórzenia tego sukcesu wystarczyłyby teoretycznie na przykład dwie kadencje prezydenta Kaczyńskiego, z niewielkim okładem. Na razie wydaje się to mało prawdopodobne. Do *n o w e j* dziesiątki eurokraci jednym tchem dorzucają już Bułgarię i Rumunię; zapewne podczepią pod nią Chorwację czy kiedyś tam Macedonię. Podział na nowe i stare ma przed sobą przyszłość.

Polisce potrzebne jest zapewne aktywne kreowanie własnego wizerunku, ale na razie nie może poszczycić się wielkimi osiągnięciami w tej dziedzinie. Nie udała się próba stworzenia drugiej Japonii. Polska nie stanie się też drugą Irlandią. Jeśli naśladowanie celtyckiego tygrysa w ogóle leżało w zakresie polskich możliwości, to i tak jest już na to zbyt późno. Pomysł podkradły inne kraje. Być może polską specjalnością będzie stawanie w opozycji do Brukseli – zwłaszcza

w sprawach światopoglądowych. Za to w polityce zagranicznej już po dwóch latach można mówić o polskiej specjalizacji – od spraw wschodnich – która przynosi owoce: zamiast jako o sponsorze egzotycznej kandydatury Ukrainy do Unii, o Polsce mówi się teraz jako o niezbędnym czynniku stabilizującym w regionie; zamiast o polskim marudzeniu w sprawie białoruskiej, mówi się o prześladowaniach unijnej mniejszości narodowej przez władze w Mińsku; zamiast o rosyjskiej obsesji Polaków mówi się o negatywach uzależnienia energetycznego Unii od Rosji. Usilne podejmowanie wschodnich tematów na unijnym forum przez polskich polityków być może zaowocuje tym, że w mentalnym atlasie przeciętnego Europejczyka Polska znajdzie się tam, gdzie naprawdę leży – w Europie Centralnej. Ale to już zadanie na następne lata unijnej przygody Polski.

WOJCIECH LUBOWIECKI, ur. 1965, dziennikarz BBC, był wiceszef Polskiej Sekcji w Londynie, w latach 2003-2005 korespondent BBC w Brukseli.

znak



Leszek Kołakowski O co nas pytają wielcy filozofowie?

Ostatni cykl wykładów telewizyjnych prof. Kołakowskiego emitowanych przez Program 2 TVP. W trzeciej serii pytania zadają nam tacy mistrzowie, jak Kant, Hegel, Kierkegaard, Nietzsche, Heidegger, Jaspers i... Plotyn: na zakończenie swych prezentacji Kołakowski wraca do starożytności, uważając myśl Plotyna za rdzeń europejskiej metafizyki.



Józef Maciejowski

Z punktu widzenia papieża Benedykta

„Spraw do załatwienia” – wyzwania dla Kościoła – Benedykt XVI widzi w Polsce sporo. Teraz my, polski Kościół, powinniśmy Ojcu Świętemu jakoś odpowiedzieć...

Niezmiernie interesujący jest katalog problemów Kościoła w Polsce widziany oczami Benedykta XVI, zwłaszcza w kontekście jego majowej pielgrzymki do naszego kraju. Papież sformułował tę listę przy okazji wizyty polskich biskupów „u progu apostolskich” (listopad – grudzień 2005); korzystał przy tym, bez wątpienia, z raportów sporządzonych wcześniej dla Kurii Rzymskiej przez członków Episkopatu oraz nuncjusza.

1. Liturgia i życie religijne

Niektórzy mówią, że podstawowym lekarstwem na kryzys Kościoła jest... piękna liturgia i jej przejrzystość. Zdaje się, że podobnie myśli papież Benedykt: „Trzeba dołożyć starań, aby kapłani troszczyli się o właściwe sprawowanie liturgii, o piękno słowa, gestu, muzyki, tak aby liturgia była coraz bardziej czytelnym znakiem zbawczego Mistarium, które się w niej dokonuje”. Co więcej, trzeba włączać świeckich w akcję liturgiczną: „Wtedy poczują się uczestnikami Tajemnicy, która wprowadza w świat Boży, a równocześnie wyprowadza do świata ludzi pociąganych tą samą miłością Chrystusa”.

Z tym wiąże się również kwestia modlitwy Kościoła – i jego odpowiedzi na głód duchowości, nękający ludzi współczesnych. „Trzeba za-



dbać, aby powstawały domy rekolekcyjne oraz inne miejsca modlitwy i skupienia i by rzeczywiście, bez względu na materialny koszt, stawały się one ośrodkami duchowej formacji, dostępnymi dla wszystkich, którzy szukają głębszego kontaktu z Bogiem”.

2. Księża i ich formacja

Szczególnym skarbem („żrenicą”) Kościoła są seminaria duchowne – powinny one formować kleryków intelektualnie, duchowo i emocjonalnie. Ta formacja nie może jednak skończyć się wraz ze święceniami – odpowiada za to biskup. „Można powiedzieć, że diecezja odzwierciedla sposób bycia jej biskupa”, który powinien być dla swoich księży jak ojciec: mieć dla nich czas, aby ich „wysłuchać i wspomóc w trudnościach”, po prostu: budować w Kościele prawdziwą wspólnotę (ważną zwłaszcza dla celibatariuszy pozbawionych ciepła rodzinnego). W przypadku zaś kryzysów powołania biskup powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, aby takich księży przeżywających kryzys „wesprzeć i przywrócić im pierwotny zapał i miłość do Chrystusa i do Kościoła”.

3. Ewangelizacja

Papież apeluje do Kościoła w Polsce o hojność w dzieleniu się kapłanami z tymi częściami świata, które odczuwają ich brak: misje bowiem „to dziś szczególne zadanie, a nawet w pewnym sensie obowiązek Ko-

ścioła w Polsce” (to dotyczy również misjonarzy świeckich: oni też są potrzebni na misjach). Jednakże biskup nie może stracić z oczu księdza, który wyjeżdża z jego diecezji na misje, ale powinien „zapewnić mu oparcie duchowe i wystarczającą pomoc materialną”.

Przekaz wiary w Kościele (tu nie chodzi już tylko o misje, ale o codzienną pracę duszpasterską w polskich diecezjach i parafiach) nie może nigdy zamienić się w rutynę. Chodzi bowiem o „bezpośrednie i osobowe spotkanie z człowiekiem, o świadectwo, autentyczny przekaz – bezpośrednio od osoby do osoby – wiary nadziei i miłości (...). Chodzi zatem o autentyczne spotkanie z drugą osobą, której najpierw trzeba wysłuchać i ją zrozumieć”.

Konieczna jest zatem stała – a nie tylko okazjonalna – katecheza dorosłych. Dbał o nią Jan Paweł II, który „podczas licznych pielgrzymek do Polski pozostawił bogate dziedzictwo mądrości płynącej z wiary”, jednakże – mówi dziś jego następca – „jak dotąd nie do końca, jak się wydaje, zostało ono przyswojone”.

Co do katechezy szkolnej natomiast – nie można sprowadzać jej tylko do „wymiaru religiologii lub religioznawstwa”, lecz „musi ona zachować prawdziwy, ewangeliczny wymiar (...) świadectwa wiary”. Dlatego tak ważne jest uzupełnienie tego, co dzieje się w szkole, katechezą parafialną, gdzie nie będzie chodziło jedynie o przekaz wiedzy, ale o wtajemniczenie w życie sakramentalne i wprowadzenie w modlitwę.



4. Parafia i nowe ruchy w Kościele

Tradycyjna parafia wymaga odnowy – ma ona być „wspólnotą” i „rodziną”. Do jej budowania są w pierwszym rzędzie powołani księża – zwłaszcza proboszczowie, którzy „powinni znać owce w swojej owczarni, utrzymywać duszpasterskie kontakty ze wszystkimi środowiskami, starać się poznawać potrzeby duchowe i materialne parafian”. Istotna jest tu jednak również rola świeckich – Benedykt XVI upomina się o istnienie w parafiach rad duszpasterskich i ekonomicznych, tak by i świeccy mieli „aktywny udział” w tworzeniu wspólnoty.

Swoistym uzupełnieniem duszpasterskiego oddziaływania parafii są ruchy i wspólnoty apostołskie – biskupi i proboszczowie mają je wspierać, a jednocześnie dbać o to, żeby grupy te nie zamknęły się na otaczającą je rzeczywistość. Ważne jest zwłaszcza kryterium owocowania. Papież wiele uwagi poświęca w tym kontekście wrażliwości na potrzeby innych: „chorych, samotnych, rodzin wielodzietnych i cierpiących biedę, osób upośledzonych fizycznie lub umysłowo” itp.

5. Świeccy

Ludzie świeccy mają swoje – ważne! – miejsce w Kościele, mówi papież Benedykt. To przecież do nich w dużej mierze należy praca na rzecz „uświęcania świata” i moralnej odnowy społeczeństwa. To dzięki nim

chrześcijańskie wartości mogą być obecne w polityce, bo Kościół jako instytucja nie może utożsamiać się „z żadną partią, wspólnotą polityczną ani systemem politycznym”. Trzeba jasno rozróżnić „pomiędzy tym, co chrześcijanie – czy to indywidualnie, czy stowarzyszeni – kierując się chrześcijańskim sumieniem, czynią we własnym imieniu jako obywatele, a tym, co czynią w imieniu Kościoła”.

Ale świeccy (zresztą jak cały Kościół, o czym była już zresztą mowa) są również wezwani do pracy na rzecz bliźnich (tu następuje gorące papieskie poparcie idei wolontariatu), do udziału w życiu parafii i wzięcia odpowiedzialności za Kościół, do czynnego uczestnictwa w liturgii Kościoła...

6. Kultura, media

Kościółowi nie wolno zapomnieć o świecie kultury. Ojciec Święty apeluje zatem o otoczenie troską środowisk naukowych (a w przypadku uczelni katolickich także „o tworzenie odpowiedniego zaplecza materialnego”), twórców kultury, mediów. Trzeba prowadzić z nimi twórczy dialog – i dostrzegać w nich wartość („cenne narzędzie ewangelizacji”), a nie zagrożenie czy balast.

Ważne zadanie do spełnienia mają w Kościele media katolickie: prasa, radio i telewizja (to ostatnio w Polsce gorący temat). Ich głównym celem powinno być jednak „zbliżanie wiernych do Chrystusa, budowanie wspólnoty Kościoła w duchu poszukiwania prawdy, miłości, sprawiedli-

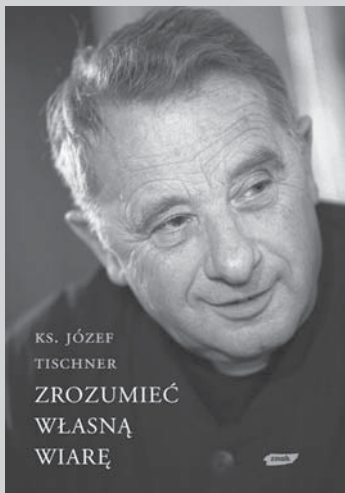
wości i pokoju, z poszanowaniem autonomii sfery politycznej” (muszą przy tym zachowywać „otwarte i pełne zaufania relacje z biskupami”!).

*

Jak widać, „spraw do załatwienia” – wyzwania dla Kościoła – Benedykt XVI widzi w Polsce sporo. Teraz my, polski Kościół, powinniśmy Ojcu Świętemu jakoś odpowiedzieć...

JÓZEF MACIEJOWSKI, teolog-
-amator, współpracownik „Znaku”.

znak



ks. Józef Tischner
**Zrozumieć własną
wiarę**

Oba cykle artykułów: *Wiara szuka rozumienia* i *Rozmowy rekolekcyjne* nie miały do tej pory publikacji książkowej, a stanowią cenną i zwięzłą prezentację myślenia religijnego ks. Tischnera. W cyklu pierwszym autor tłumaczy, czym jest wiara i jak odróżnić wiarę prawdziwą (wiarę w Boga) od jej surogatu („wiary w wiarę”). W drugim omawia zasadnicze treści wiary chrześcijańskiej (albo szerzej – biblijnej), pytając przede wszystkim o „twarz biblijnego Boga”.

ZNAK 1946-2006
M I E S I Ę C Z N I K *ma 60 lat!*

DUCHOWY ATLAS ŚWIATA

Z okazji jubileuszu
60-lecia miesięcznika ZNAK
serdecznie zapraszamy na niezwykłą
wędrowkę po duchowych szlakach
Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk.
Przewodnikami po kulturze, sztuce
i religiach świata w XXI wieku będą:

OLGA STANISŁAWSKA
KS. ADAM BONIECKI
KS. TOMASZ WĘCŁAWSKI
oraz **ADAM ZAGAJEWSKI**

8 czerwca 2006, g. 18.00
aula Wyższej Szkoły Europejskiej
im. ks. Józefa Tischnera
Kraków, ul. Westerplatte 11



Halina Bortnowska

W drogę!

Nieprzetarte drogi nie muszą prowadzić donikąd.
To po prostu drogi w przyszłość, drogi do wypróbowania.

Prolog

Chcę ratować piękne słowo: manowce.

Manowce: dla mnie to nie obszar zakazany, taki, gdzie zguba. Straszy się ludzi „manowcami”, abyśmy – może jako dzieci, a może wątli starcy – nie wypuszczali się dla nas niby za daleko. Istnieją niebezpieczne miejsca, zdarzają się błędy, skreślenia, amputacje, których można było i należało unikać. Groźne zaniedbania: tolerowanie krzywdzenia. Zgorszenie. Wyjścia na manowce z tym wszystkim nie kojarzę.

Nieprzetarte drogi nie muszą prowadzić donikąd i nie musimy nimi chodzić w kółko, jak wodzeni przez borutę. To po prostu drogi w przyszłość, drogi do wypróbowania. Nie będą proste, jak nie były proste ścieżki, którymi tu trafiliśmy.

Kościół na manowcach? Problem w tym, że go tam brak.

Kościół – zgromadzenie Jezusa – to ludzie, wielki pochód, parada wiary, miliony kroków w ciemność: na zawierzenie. Manifa, któ-



ra się nie kończy; ma trwać w czasie i przestrzeni. Czoło pochodu nie powinno znieruchomieć, gdy kończy się utarty szlak, musi, musi wkroczyć na manowce, to znaczy bezdroża porośnięte kolczastym chwastem, nieużytki, parowy zarzucone złomem i gruzem, tam, gdzie nikt nie posprzątał po wojnach i koloniach karnych. Dalej są może jeszcze piękne stopy, wrzosowiska i polany.

Na manowcach nie sama pustka. Żyją tam ludzie, którzy wędrują tamtędy wąskimi niewidocznymi ścieżkami. Chodzi o to, by ich spotkać.

Nasz pochód ma tam iść za Obłokiem w dzień i za Kolumną Błasku po zmierzchu. Obłok nie cofa się przed bezdrożem.

Wstańmy, wstawajmy, idźmy dalej.

Co boli?

Nie wiem, czy wszystko wyliczę. Pacjent z karteczką, na której spisane są dolegliwości, to pacjent podejrzany. Pewnie hipochondryk. Boi się, że stając przed lekarzem, zapomni o czymś, co mu dolega. I rzeczywiście – urojenia pierzchną, by wrócić. A zresztą czy to na pewno tylko urojenia?

Nie posiadam podręcznej kartoteki żalów do Kościoła. Napiszę, co mnie boli dziś, nadal, ustawicznie.

Przede wszystkim to, że ludzie mają zablokowaną drogę do szczęścia wiary, bo jej światło trzymamy pod gęstym, mało prześwitującym, nadgniętym koszem. Z czego ten kosz gęsto upleciony? Najbardziej wypróbowany materiał: zgorzenie.

Gorsząca, niosąca śmierć mowa nienawiści. Tolerowana, obdarzana przestrzenią także przez ludzi deklarujących wiarę, kierowana ku nieumiejącym odmówić jej wstępu. Przyplątana do Kościoła, pomieszana z modlitwami.

Antysemityzm i inne ksenofobie. Pogarda. „Naszość” – rzekoma lepszość. Rzekomy patriotyzm, który wyklucza, wręcz odmawia innym człowieczeństwa. Lekceważące minimalizowanie potrzeb, możliwości i praw innych: IM – na przykład prostym ludziom, dzieciom, młodzieży, podstarzałym – TYLKO wystarczy. Nie potrzebują



(czyimś zdaniem) ani krytycznego myślenia, ani głębszej wiedzy religijnej, ani modlitwy wewnętrznej, ani dialogu na serio.

Pogarda w moherze, w aksamicie, w filcu i w dzinsie. Pogarda dla innych – ponad podziałami i w podziały wbudowana.

Boli mnie także sarkazm okazywany tym, którzy nas, „Kościół”, mierzą, jak umieją, swoimi miarami, czyli takimi, jakie mają. Oni patrzą tylko od zewnątrz. A zaprosiliśmy ich do środka? Szczerze i naprawdę uprzejmie? Dopatrują się podziałów w Kościele. No to co? Przecież sami je też widzimy. Są. Prawda: są nie tylko podziały. Jest fundament jedności i uczestnictwo w niej – pomimo wszystko. Ale bywa ono utrudniane, gdy daje się innym odczuć, że niezupełnie należą, nie całkiem są prawdziwi, jakby na amen gorsi, niedookreśleni – jeśli nie należą do..... Naprawdę niejedną zmienną można tu podstawić. Jakże to ludzkie! I wybacalne. Ale te partykularyzmy wplatają się w kosz tłumiący światło.

Bezbolesne byłyby różnice nieantagonistyczne, różne style i wrażliwości, które mogą współistnieć, gdy z szacunkiem akceptowana jest różnorodność. Także tam, gdzie wybór jest ważny i powinien być sterowany przez wewnętrzne priorytety, które są w ludziach różne. I dobrze. Co natomiast dzieli, jak cios siekiera? Uznanie czyjegoś wyboru za wybór zła, a nie po prostu częściowego dobra, innego dobra, może niezrozumiałego.

To bardzo ważne i ciekawe: przyglądać się wyborom, jakoś to sobie porządkować, nazywać (byle nie złośliwie). Jeden przykład: „łagiewnicki” i „toruński”. Raczej styl katolicyzmu niż „katolicyzm jako taki”. Style różne, choć siostra Faustyna pewnie chętnie słuchałaby dziś Radia Maryja, a Radio zapraszałoby ją do mikrofonu. Z pożytkiem. Może zostałaby wysłuchana, bo pewnie prosiłaby: „więcej o Miłosierdziu, mniej polityki, przez którą ludzie zrywają ze sobą”. Ale pewnie się łudzę. Ta wizja – przyznajcie: urocza, pocieszająca – jest ahistoryczna, naiwna. To, co wciska mowę nienawiści, jest bardzo silne, to nie jest przypadkowa domieszka. Z tym Kościół w Polsce sobie nie radzi i to boli.

Siostra Faustyna pewnie chętnie słuchałaby dziś Radia Maryja, pewnie prosiłaby: „więcej o Miłosierdziu, mniej polityki, przez którą ludzie zrywają ze sobą”.



Są, oczywiście, i inne style, na przykład głębiej nawiązujący do liturgii, wyraźniej ekumeniczny, jak styl Taizé. Marzyłabym o Kościele, w którym nie byłoby wzajemnego wykluczania stylów, a powszechne byłoby odrzucenie pogardy (i krytyczna wrażliwość na wszystko, w czym pogardę się przemyca). Taki wspólny mianownik różnych stylów byłby bardzo ekumeniczny i katolicki. Już nie tak bardzo przeszkadzałibyśmy innym wierzyć.

Co jeszcze?

Gorszy, desperację powoduje ociążałość, z jaką Kościół przystępuje do naprawiania krzywd, poczucie, że nieraz wręcz ociąga się z uznaniem zła za zło, krzywdy za krzywdę. Tak energicznie broni „swoich” – że wbrew dowodom nie potrafi uznać w katechecie-pedofilu publicznego grzesznika; toleruje krzywdzące wykorzystywanie słabszych, oznaki chciwości, pychy. Nie chce ujawniać gorszących faktów, niby w trosce o to, by unikać zgorzenia – a w gruncie rzeczy toleruje gorszący stan rzeczy i wywołuje zgorzenie zakłamaniem. To dotyczy także antysemityzmu. Tego straszego dziedzictwa Kościół w Polsce nie umie konsekwentnie odrzucić i nie przystępuje do świadomego naprawiania krzywd. Gdy chodzi o psychikę wiernych, nikt duszpasterzy nie zdoła zastąpić. Chcę podkreślić, że moim zdaniem w tym kontekście formuła „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” jest zupełnie nieodpowiednia.

Na pewno należę do niecierpliwych. Ale czy sama wstaję i idę? Tego ranka, tego wieczoru?

Swego czasu – w dobie Soboru – pisałam w „Znaku” o „powołaniu do cierpliwości”. Pewnie je zachowałam. Wiąże się ono i kontrastuje ze świadomością, że „jeszcze nie”, znoszona z wiarą, że „już”, że poszukiwanie jest niezawodne. Obietnica dla nas trwa, jest pewna, pewna, jak twardy fakt, jeszcze pewniejsza.

Kościół kiedyś pomógł mi uwierzyć; pomaga wierzyć dziś – wyćwiczyłam się w odnajdywaniu szpar w ciężkim korcu, który ma światło chronić, ale je zaćmiewa dla patrzących z dala.



Czego pragnę więcej

Pokuty – uczenia jej przykładem. Koniecznie musimy wychować lepszych od siebie. Dać im, ludziom przyszłości, mocną szansę, by tworzyli siebie lepiej, niż my dotąd zdołaliśmy. Jako czoło pochodni trzeba posłać wierniejszych od nas, mądrzejszych, odważniejszych. Jan Paweł II usiłował uczyć pokuty i nawet wskazał, wobec kogo jest ona szczególnie potrzebna. Za mało tego wątku wśród wspomnień o nim.

Wzbogacania wiary. Kontemplacji teologicznej. Dostępności wielkich myśli i obrazów ożywiających teologię biblijną. Uwalniających od szarpaniny czy rezygnacji z powodu rzekomego konfliktu między wiarą a wiedzą, tak przyrodniczą, jak historyczną. Już od dzieciństwa trzeba się dowiadywać tego, co niestety tylko dla siebie wiedzą bibliści. Naprawdę mogę wierzyć, ponieważ mnie tego uczono. Proszę: uście teraz śmieiej! Otwierajcie skrzynię z dawnymi i nowymi skarbami i nie zatrząskujcie jej z małodusznego strachu.

Zespołowej pracy. Ćwiczenia się w niej na wszystkich poziomach. Uzdalniania do niej księży i świeckich. Na co dzień i w strukturach – pracy synodalnej, lokalnej, regionalnej, krajowej, sąsiedzkiej, europejskiej. Aż po nowy sobór: dla analizy i oceny recepcji II Soboru Watykańskiego – dla dalszego pochodu.

Sobór – niech przypomnę – to wydarzenie eklezjologiczne, konstytuujące Kościół, a nie jakaś impreza czy kongres, choćby i święty. Ja się modłę o sobór. Aby świat mógł wierzyć.

HALINA BORTNOWSKA, publicystka, działaczka społeczna, animator grupy „Wirydarz” przeciw antysemityzmowi i ksenofobii (<http://wirydarz.org>), a także warsztatów dziennikarskich Stowarzyszenia Młodych Dziennikarzy POLIS. Wydała: *Już – jeszcze nie. Caloroczne releksje z Ludźmi Adwentu* (2005).



Marek Zajac

Na manowcach

Myśląc o wierze i Kościele, nieraz ulegamy złudzeniu perspektywy: albo żywimy nostalgiczną tęsknotę za nieskalanym chrześcijaństwem pierwszych wieków, albo tkwimy w przekonaniu, że na progu trzeciego tysiąclecia odsłoniliśmy wszelkie zakamarki Objawienia. Jednak by zachować optyczny dystans, warto przypomnieć myśl kard. Jeana-Marie Lustigera: po dwóch tysiącach lat odkrywamy dopiero rąbek chrześcijaństwa.

Narzekamy na wyznaniowy analfabetyzm rodzimego katolicyzmu, wierę płytką i opartą nawet nie tyle na tradycji, ile na przyzwyczajeniu. Ostrzegamy, że Polacy selektywnie traktują fundamentalne prawdy chrześcijaństwa. Kandydaci do bierzmowania nie potrafią wymienić dziesięciorga przykazań. Pod koniec lat 90. co trzeci Polak, który deklarował się jako katolik – nie wierzył w zmartwychwstanie. Tymczasem straszniejszą ignorancję spotykamy na kartach Dziejów Apostolskich. Apostoł Paweł spotkał w Efezie „jakichś uczniów” i zapytał, czy otrzymali Ducha Świętego, gdy przyjęli wiarę. Ci, szczerze zdumieni, odparli: „Nawet nie słyszeliśmy, że istnieje Duch Święty” (19, 2).



Ileż razy słuchaliśmy opowieści o księżach rozbijających się mercedesami, podczas gdy tak ciężko przecisnąć się przez igielne ucho. Ileż razy docierały do nas plotki o romansach i nieślubnych dzieciach proboszczów, które kwitowano lapidarną diagnozą: „To przez celibat. Jest niezgodny z naturą”. Ileż razy dowiadywaliśmy się o sąsiadach, którzy w nabożnym skupieniu słuchali kazania, potem przystępowali do komunii, a przecież wiadomo było, że majątek zbili na kradzieży i prowadzą rozwiązłe życie. Jasne, że w miażdżącej większości tych plotek odzywa się prymitywny, wyprany z niuansów ogląd świata albo zwykła zawiść i zazdrość. Ale zarazem musimy przyznać, że dwulicowość należy do tych kategorii grzechu, które szczególnie szkodzą wiarygodności chrześcijaństwa.

Tymczasem w Liście do Galatów św. Paweł wysuwa ciężkie oskarżenia o hipokryzję pod adresem... św. Piotra: „Gdy następnie Kefas przybył do Antiochii, otwarcie mu się sprzeciwiłem, bo na to zasłużył” (2, 11). Spór wiąże się z burzliwym przebiegiem soboru jerozolimskiego, na którym odstąpiono od starotestamentalnych przepisów dotyczących pokarmów i obrzędowego obmycia. Ta nowa praktyka charakteryzowała Kościół w Antiochii, który wywodził się nie z judaizmu, lecz pogaństwa. Gdy do miasta przybył Piotr, nie czynił żadnych różnic, normalnie uczestniczył w posiłkach. Jednak gdy w Antiochii pojawili się judeochrześcijanie z otoczenia apostoła Jakuba, zwolennicy drobiazgowego przestrzegania prawa mojszowego, wówczas Piotr – mówiąc współczesnym językiem: w trosce o własny *image* – zdystansował się od miejscowych. Święty Paweł nie ukrywa zażenowania: „To jego nieszczerze postępowanie podjęli też inni pochodzenia żydowskiego, tak że wciągnięto w to udawanie nawet Barnabę” (2, 13).

Irytuje nas rozdźwięk między radykalnym wezwaniem Ewangelii i nauczaniem Kościoła uwikłanym w historyczny i społeczny kontekst. Nieraz słyszymy niewygodne pytanie: jak – głosząc naukę Jezusa z Nazaretu – można dopuszczać wykonywanie kary śmierci? Wielu wierzącym i niewierzącym trudno wytłumaczyć, dlaczego Katechizm Kościoła katolickiego dopuszcza zabijanie skazanych, gdy chodzi o „jedyny dostępny sposób skutecznej ochrony ludzkiego życia przed niesprawiedliwym napastnikiem”. Za figowy listek można uznać ka-



techizmowe zastrzeżenie, że bezkrwawe metody są w większym stopniu „zgodne z konkretnymi uwarunkowaniami dobra wspólnego”. Wątpliwości nie rozprasza nawet ustęp encykliki *Evangelium vitae*: sytuacje, w których zaszła absolutna konieczność zabicia przestępcy, są „bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale”.

Tymczasem z identyczną sytuacją, jakby zatrzymania się w pół kroku, spotykamy się w Liście do Filemona. Święty Paweł wstawia się za Onezymem, zbiegłym od bogatego Kolosanina niewolnikiem, nawróconym przez Apostoła Narodów w rzymskim więzieniu. Wprawdzie św. Paweł pisze: „Może bowiem po to oddalił się od ciebie na krótki czas, abyś go odebrał na zawsze, już nie jako niewolnika, lecz więcej niż niewolnika, jako brata umiłowanego” (wiersze: 15 i 16), w zakończeniu zaś nie tai nadziei: „Piszę do ciebie ufny w twoje posłuszeństwo, świadom, że nawet więcej zrobisz, niż mówię” (21), pozostaje jednak faktem, że apostoł nie odrzuca instytucji niewolnictwa.

Biorąc pod uwagę wspomniane przykłady, można rzec, że w Kościele, złożonym z omylnych i grzesznych, zawsze tkwić będzie skłonność do zbaczania z ewangelicznego kursu. Kościelną łodzią, *navis Ecclesiae*, szarpią kulturowe i historyczne prądy, załoga nie potrafi wyminąć wszystkich raf i mielizn. Przez dziesięciolecia nie płyniemy, lecz dryfujemy: toczymy religijne wojny, budujemy kościelne monarchie, pielęgnujemy sojusz ołtarza z tronem, Dobrą Nowinę narzucamy siłą nie świadectwa, lecz oręża albo litery prawa. Bywa, że żeglugę opóźnia morska cisza, innym razem – sztorm rzuca okręt na nieznanne morza. Jednak wierzymy, że Jezus nie pozwoli łodzi zatonać, dzięki Niemu, koniec końców, zbliżymy się do portu.

Tyle że owa generalnie słuszna świadomość potrafi uśpić. Bo na przykład z trafnego przekonania, że wiara jest łaską, można błędnie wywnioskować, że nasze świadectwo właściwie nie odgrywa roli w nawróceniu czy krzepnięciu wiary bliźnich. Łatwo zwolnić się z odpowiedzialności za Lud Boży za pomocą prawdziwego przecież stwierdzenia, że Chrystus nie dopuści, aby Kościół przemogły piekielne bramy. Można zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu wyniku raportu o stanie wiary we współczesnym świecie, cytując anegdotę z pogranicza cudu i legendy: Jan XXIII zamartwiał się nocami przyszło-



ścią Kościoła. Gdy wreszcie usnął, przyśnił mu się Jezus: „Giovanni, dlaczego się zamartwiasz? To jest przecież mój Kościół”.

Jednak Angelo Giuseppe Roncallego, nazwanego Dobrym Papięciem, czcimy dziś jako błogosławionego zapewne i dlatego, że właśnie zamartwiał się losem Kościoła. A na jego sen można odpowiedzieć innym nadprzyrodzonym wydarzeniem. Przecież Biedaczyna z Asyżu usłyszał głos Ukrzyżowanego z kościoła św. Damiana: „Franciszku, idź i odbuduj mój Kościół, gdyż popada w ruinę”. A potem Franciszek przyśnił się Innocentemu III, jak podtrzymywał walący się mur bazyliki na Lateranie.

Przyszłość chrześcijaństwa nie leży w naszych rękach, ale zarazem właśnie nam przyszło nieść światu skarb w glinianych naczyniach.

Musimy się zatem zdobyć na stwierdzenia paradoksalne: przyszłość chrześcijaństwa nie leży w naszych rękach, ale zarazem właśnie nam, jak pokoleniom za i przed nami, przyszło nieść światu skarb w glinianych naczyniach. Wiara rodzi się w bliźnich dzięki tchnieniu Ducha, ale zarazem nie możemy lekceważyć świadectwa Kościoła. Święty Augustyn szczerze przyznał: „Nie wierzyłbym w Ewangelię, gdybym nie wierzył w autorytet Kościoła”. Ojciec Henri de Lubac stwierdził zaś, że tylko wrogowie pragną, aby chrześcijaństwo pozostało takie, jakie jest.

*

Dlatego zawsze warto zastanawiać się, z jakich manowców należy dziś, tu i teraz, wyprowadzić Kościół. Na początek należy jednak poczynić ważne zastrzeżenia: szukając rozwiązań tak ogólnie zarysowanego problemu, trzeba – po pierwsze – zaryzykować sądy również ogólne, a co za tym idzie – w pojedynczych wypadkach niesprawiedliwe. Po drugie, biorąc pod uwagę ogrom i ciężar zagadnienia, wszelkie spostrzeżenia należy uznać za wybiórcze, wyrwane z szerszego ujęcia panoramicznego. Po trzecie, żeby uniknąć pustosławia, pole rozważań należy ograniczyć przede wszystkim do Kościoła w Polsce. Po czwarte, pisząc o manowcach, nie mam na myśli przestrzeni intelektualnych i duchowych swobód, a także związanych z nimi wątpliwości, które w ostatecznym rozrachunku nie demontują wia-



ry, lecz – wręcz przeciwnie – pogłębiają chrześcijańską świadomość i umacniają tożsamość. Manowce stanowią w tym wypadku miejsce, w którym nie tyle mocujemy się z własną wiarą, niejako na własne ryzyko i koszt, ile – błędząc w ciemności – ranimy siebie i innych.

Za wskazówkę, gdzie szukać tych manowców, niech posłuży pytanie, które niegdyś postawiła Józefa Hennelowa: „Kiedy boli nas Kościół?”. Redaktor „Tygodnika Powszechnego” odpowiadała: „Gdy wydaje się, że prawda nie jest przez niego broniona, choć broniona być powinna. Kiedy milczy, a powinien mówić. Tak, milczą w jego imieniu ludzie, zawsze z imieniem i nazwiskiem, ale to milczenie ma pieczęć urzędu. Gdy to, co złe, zbyt długo nie zostaje nazwane złem, a z kolei dobro wciąż jeszcze nie jest uznawane. Wreszcie: gdy imiona prawdy i fałszu, dobra i zła są pomieszane tak, że nie sposób nie usłyszeć raniącego uszy dysonansu”.

Kto śledzi poświęconą Kościołowi w Polsce publicystykę, jednym tchem wymieni wydarzenia, gdy hierarchia milczała, zwlekała, zachowywała bezpieczny dystans i unikała jednoznacznych rozstrzygnięć: spór wokół oświęcimskiego Karmelu czy krzyży na zwirowisku, kazus abp. Juliusza Paetza, antysemityczne incydenty na antenie Radia Maryja, kontrowersje wokół wejścia Polski do UE czy protesty przeciw pochowaniu Czesława Miłosza na Skałce.

To były sprawy ważne, ale przenieśmy problem na inną płaszczyznę: milczenie bądź niezdolność Kościoła do zabrania głosu albo prowadzenia rozmowy dotyczącej przeciętnego katolika, egzystującego z dala od głównego obiegu życia publicznego, w sytuacjach prozaicznych, codziennych. To zresztą nieco inna forma milczenia, przejawiająca się w tym, że Kościół nie towarzyszy człowiekowi w jego wahaniach, słabościach i upadkach. Istotę problemu uchwycił ks. Jacek Prusak, gdy tłumaczył, dlaczego na jednym z krakowskich osiedli, zamieszkanym głównie przez dwudziesto-, trzydziestolatków żyjących w niesakramentalnych związkach, większość nie przyjmowała księdza po kołędzie:

Nie dlatego, że nie chciała, tylko bała się. Bo co ksiądz ma do zaoferowania? Będzie im przypominał, że żyją w grzechu ciężkim...? Ale ksiądz też myślał, że nie ma im nic innego do powiedzenia, bo jak zacznie z nimi rozmawiać, to da przyzwolenie na życie w grzechu. I tutaj pojawia się problem odchodzenia Ko-



ścioła od człowieka. Ci ludzie tracą wiarę w Boga, bo nie doświadczają tego, że Bóg jest w stanie wysłuchać ich racji. Z nauczaniem postaw moralnych jest najtrudniej, bo każdy subiektywnie uważa, że ma prawo do szczęścia, i szuka tego szczęścia. I dobrze. Tylko obiektywnie często może się pogubić. Natomiast modelu, jak temu człowiekowi pomóc, w naszym Kościele nie ma. My mamy Kościół nauczający, a nie słuchający¹.

Można by doprecyzować: mamy Kościół nauczający albo milczący, a nie rozmawiający. Bo rozmowa zakłada płynną wymianę ról mówiącego i słuchacza, opartą na próbie wzajemnego zrozumienia i zbliżenia.

Pozostajemy przy kwestiach związanych z etyką seksualną, bo – patrząc przez pryzmat badań socjologicznych – w tym wypadku nauczanie Kościoła i praktykę wiernych dzieli przepaść. Siedemdziesiąt procent Polaków uważa, że Watykan powinien dopuścić stosowanie niektórych środków antykoncepcyjnych, ponad siedemdziesiąt procent młodych akceptuje seks przedmałżeński. Chciałbym wyrazić się jasno: nie chodzi wcale o to, żeby zmiękczać naukę, uszczknąć nieco ze skarbcza Tradycji, ogołocić chrześcijaństwo z jakichkolwiek wymagań. Jednak żeby unaocznić skalę i wagę problemu, weźmy pod lupę jedną z polskich parafii: wspólnotę św. Łukasza Ewangelisty na Pradze. W niedzielę do kościoła chodzi dziesięć do piętnastu procent mieszkańców. Czterdzieści procent par trwa w związkach niesakramentalnych: na próbę, w konkubinatach, w nowych małżeństwach cywilnych po rozwodzie. „Wielu chętnie przystąpiłoby do Komunii św., ale nie może, bo znajduje się w stanie grzechu wobec szóstego przykazania” – tłumaczy proboszcz, ks. Grzegorz Rowicki. Jak przekonać ich, żeby powrócili do Eucharystii, do pełni życia w Kościele?

O żywotności chrześcijaństwa przesądzają: słowo i świadectwo. I właśnie w dziedzinie słowa dostrzec można w Kościele symptomy kryzysu.

O żywotności chrześcijaństwa przesądzają: słowo i świadectwo. I właśnie w dziedzinie słowa dostrzec można w Kościele symptomy kryzysu. Biorę do ręki jedną ze świeżo wydanych książek. Formuła w ostatnim czasie niezwykle popularna, bliska wykładowi katechizmowemu: w zwięzłych rozdziałach autor odpowiada na kluczowe pyta-

¹ „Gazeta Wyborcza”, 25-26 III 2006.



nia i zastrzeżenia pod adresem nauczania katolickiego. Stara się rozwiązać dylematy współczesnego człowieka. Roztrząsa tematykę usuwania ciąży, eutanazji, homoseksualizmu, celibatu, kapłaństwa kobiet, nawet diabła i piekła. W rozdziale *Stosunki przedmałżeńskie* czytamy:

Środowisko generalnie jest permissive, a więc bezgranicznie tolerancyjne. Pod nazwą przyjaźni często lansuje się postawy sprzeciwiające się ludzkiej godności i przypominające zachowania nierozumnych zwierząt. Więzy przyjaźni łączące młodych różnej płci, jeśli pozostają w granicach normalnej ekspresji uczuciowej, przyczyniają się do wzajemnego zrozumienia i szacunku. Jeśli natomiast stają się albo zmierzają do tego, by stać się przejawami płciowości, tracą autentyczny wymiar dojrzałej przyjaźni, szkodzą pod wieloma względami nawiązanej relacji i zagrażają perspektywom ewentualnego małżeństwa.

Czy zacytowany fragment przemówi do kobiet i mężczyzn z parafii św. Łukasza na Pradze? Pomoże im w powrocie do pełni chrześcijańskiego życia?

Zbyt często zamiast słów skoncentrowanych na codziennym doświadczeniu albo zapada lękliwe milczenie, albo płynie potok wyuczonych zdań – martwych, wydrążonych od środka, oderwanych od realiów, egzystencjalnie pustych, przeintelektualizowanych, abstrakcyjnych czy jurydycznych. Człowiek czeka na chleb, a otrzymuje kamień.

*

Nieraz uciekamy się w Kościele do językowych wytrychów, których ponad miarę używamy, zamiast nasycać treścią. Charakterystyczny przykład wiąże się z medialną burzą wokół parafowania paktu stabilizacyjnego między Prawem i Sprawiedliwością, Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. Prasa ujawniła wtedy list, w którym prezydium Episkopatu – przewodniczący, jego zastępca i sekretarz generalny – upomniało prowincjała redemptorystów za tamten incydent. Dziennikarz zapytał abp. Michalika, czy zakon odpowiedział na pismo. Metropolita przemyski odparł, że dotychczas nie otrzymał „odpowiedzi, ale twórczy dialog zawsze poszerza horyzonty”.

Rytualne sformułowanie, jakby na kształt magicznego zaklęcia, sprawia złudne wrażenie, że sprawa idzie w dobrym kierunku. Żeby wykreować iluzoryczne wrażenie bezpieczeństwa i kontroli, monolog



nazywa się dialogiem. O dialog apelujemy – zamiast go prowadzić.

A tymczasem owo wytarte, wyświechtane, a tym samym zdeza-wuowane słowo „dialog” stanowić powinno hasło chrześcijaństwa trzeciego tysiąclecia. Jeżeli bowiem wolno pokusić się o prognozę dotyczącą przyszłości Kościoła, można stwierdzić: w Kościele – zarówno w wymiarze powszechnym, jak i lokalnym, chociażby polskim – będzie rozrastać się daleko idący pluralizm. Bo w tych miejscach, gdzie postępująca modernizacja nie przyniesie laicyzacji, będziemy – jak twierdzą socjologowie – obserwować indywidualizację postaw. Chodzi o pluralizm na niemalże wszystkich płaszczyznach życia kościelnego, począwszy od szeroko rozumianych kwestii światopoglądowych, na formach liturgicznych skończywszy.

Te procesy można prześledzić w pokoleniach reprezentujących współczesną młodzież katolicką w Polsce. Przykład pierwszy: dwieście tysięcy ludzi śpiewa i tańczy pod „żelazną rybą” w Lednicy. Pociąga ich atmosfera gigantycznego święta, angażującego pięć zmysłów, odznaczającego się zagęszczeniem symboli. Duszpasterz młodzieży ks. Jacek Plech widzi w Lednicy przejaw narodzin tzw. Kościoła pielgrzymów, czyli tych, którzy praktykują wtedy, gdy odczuwają potrzebę; dobrze czują się w wielkich, niezobowiązujących zgromadzeniach religijnych; odrzucają każdy nacisk ze strony instytucji i nie przejmują się zbyt obowiązkami względem wspólnoty Kościoła.

Przykład drugi: „Przystanek Jezus” organizowany obok „Przystanku Woodstock” Jurka Owsiaaka. Tu adresatem chrześcijańskiego przekazu stają się zagubieni i buntownicy, wyłamujący się nawet nie tyle z gorsetu instytucjonalnego, ile w ogóle ze społecznych konwensów i obostrzeń. Jeżeli powracają do wiary, na pewno trudno im się odnaleźć w świecie parafialnych kancelarii i kartotek.

Ale obok tych dwóch silnie ekspresywnych przykładów obserwujemy również inne nurty, niektóre z nich bliższe dotychczasowemu katolickiemu mainstreamowi. Impetu nie straciły duszpasterstwa akademickie czy Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, które formację duchową łączą z intelektualną. Liczący sto tysięcy członków, wciąż zasilany przez następne pokolenia, chociaż ostatnio rzadko wspomniany ruch stanowią oazy założone przez ks. Franciszka Blachnickiego. Coraz większą popularnością cieszą się zarazem młodsze na rodzi-



mym gruncie ruchy: skupiony na odkrywaniu śladów Boga w codzienności neokatechumenat, powracająca do korzeni chrześcijaństwa Odnowa w Duchu Świętym czy niosące świadectwo w życie publiczne i zawodowe Opus Dei. Nie brak inicjatyw konserwatywnych, wiążących skrupulatną pieczę nad depozytem wiary z zaczerpniętymi z popkultury formami wyrazu, żeby wspomnieć tylko środowiska skupione wokół „Frondy” czy „Ozonu”. Ale młodego czytelnika potrafią pozyskać również wywodzące się z francuskiego personalizmu miesięczniki „Więź” i „Tygodnik Powszechny”. Prężnie działa odmłodzony, obchodzący w tym roku półwiecze warszawski KIK. Chrześcijańskich tropów szukamy w hip-hopie, jednocześnie na ulice Łodzi wychodzą modlitewne patrole, które dyskretnie odmawiają koronkę do Miłosierdzia Bożego w intencji mijanych szkół, szpitali czy dyskotek.

Taki sam mechanizm napędza Kościół powszechny: mieści się w nim tradycjonalista ze Stanów Zjednoczonych, prześladowany z tzw. Kościoła katakumbowego w Chinach oraz aktywista skłóconego z biskupem samorządu diecezjalnego w Niemczech. Stąd urzeczywistnić potrzeba – zauważmy: znowu w gruncie rzeczy dosyć paradoksalne – hasło poszanowania różnorodności w jedności. By zaś sprostać tym zadaniom, nie możemy posługiwać się w Kościele językiem wszechwiedzy i wykluczenia, ale musimy prowadzić nieustanny dialog.

Czy jednak jesteśmy gotowi zaakceptować tak ukształtowany model katolicyzmu? Czy nie zdradzamy tęsknoty za chrześcijaństwem zunifikowanym na naszą modłę? Czy potrafimy innym, odznaczającym się inną niż nasza wrażliwością, przyznać prawo obywatelstwa we wspólnym Kościele? Czy głosząc nawet ideę chrześcijaństwa otwartego, mamy na myśli jedynie dialog ze współczesnym światem i kulturą czy również dopuszczamy daleko idące zróżnicowanie wewnątrzkościelnych szeregów? Jak jednocześnie troszczyć się o współbrzmienie i czystość nauczania, zwłaszcza w sferze chrześcijańskich dogmatów oraz imponderabiliów?

Jedno jest pewne: nie możemy się łudzić, że Kościół będzie odbiciem wyłącznie idei tradycjonalistów albo snów progresistów. O tym, jak godzić sprzeczności, mówił Bernard Lecomte, jeden z biografów Jana Pawła II. Otóż zdaniem francuskiego dziennikarza urząd papieński stanowi przejaw różnorodności w jedności *par excellence*:



Papież musi być uosobieniem dwóch krzyżujących się dróg. Pierwszą wyznacza tradycja. Papież dźwiga minione dwa tysiące lat. Tu nie można nic zmienić z dnia na dzień. Drugą drogę stanowi miliard katolików rozszanych po świecie, z całym ich zróżnicowaniem. Papież musi symbolizować skrzyżowanie tych dróg. Dlatego nie może być wyłącznie konserwatystą, progresistą czy reformatorem. Stoi na skrzyżowaniu, bo uosabia jedność Kościoła zarówno w czasie, jak w przestrzeni.

*

Józefa Hennelowa pisała również: „Boli wreszcie władza. Właśnie to, co w Ewangelii jest podkreślane jako obce Chrystusowi”. Bo Pismo głosi: „Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom” (J 18, 36). Publicystka zaznacza: „A tu nie poszczególne objawy słabości ludzi lubiących splendory i przywileje, lecz systemowa troska o jedno i drugie, wraz z towarzyszącym, niestety, zapewnianiem, że to nie o przywileje chodzi, lecz o prawa należne i jak najbardziej oczywiste”. Warto po tym komentarzu zacytować św. Franciszka Salezego: „Wiele razy mówimy, że jesteśmy największą nędzą i śmieciem tego świata; ale bylibyśmy oburzeni, gdyby ktoś, łapiąc nas za słowo, publicznie to powtórzył”.

Podobnie jak w wypadku milczenia Kościoła można by w kontekście władzy, która sprawia ból, odnieść się w pierwszym rzędzie do spraw nagłościonych medialnie: wplątanie wiary i Kościoła w jesienną kampanię parlamentarną oraz prezydencką, jedno z ugrupowań rozsyłające agitki do proboszczów, katolicka rozgłośnia goszcząca bez przerwy członków rządu, próba przeniesienia podziałów politycznych do Kościoła poprzez wypowiedzi o katolicyzmie łagiewnickim i toruńskim itd.

Ale znów mamy na myśli głębszy niż polityczny, w większym stopniu wybiegający przyszość, wznoszący się ponad bieg aktualnych wydarzeń aspekt życia chrześcijańskiego. Ksiądz Józef Tischner uważał, że jedyną skuteczną władzą, jaką Kościół powinien rozporządzać, jest obecny w duszach niepokój religijny i pragnienie Boga: „Zachodzi niebezpieczeństwo, że sięgając po inną władzę, ludzie Kościoła pozbawią Kościół tej władzy, jaką rzeczywiście ma” – wyjaśniał. Niemal identyczne zagrożenie dla rodzimego katolicyzmu zdiagnozował niedawno Paweł Milcarek:



Kościół powinien zachować maksymalną swobodę głoszenia swej nauki – każdemu i wszędzie. Ale tak się składa, że to jest Kościół nieustannie inwestujący, nieustannie wchodzący w najróżniejsze przedsięwzięcia budowlane czy finansowe, które natychmiast wikłają go w różne kompromisy, układy, uzależniają od możliwych tego świata lub po prostu od ludzi o nieczystych rękach. To jest coś, czego należałoby zdecydowanie się wystrzeżać.

Kościół przyszłości jawi się zatem jako pozbawiony władzy, którą rozumiemy jako doczesny wpływ. Także władzy, która przejawia się przez blichtr i naddatek. Polacy chcą Kościoła zorientowanego nie na siebie, zwłaszcza jako instytucję, lecz na potrzeby człowieka. Jeżeli w ostatnim czasie mieliśmy odczytać nowe znaki czasu, warto zastanowić się, dlaczego tak wielki sukces odnoszą wszelkie, kościelne i pozakościelne, akcje charytatywne, a jednocześnie ślimaczy się budowa Świątyni Opatrzności na Polach Wilanowskich.

*

Nie jest w dobrym tonie, żeby w publicystycznych rozważaniach odwoływać się do osobistego doświadczenia. Proszę zatem wybaczyć wyjątek: przeszedłem poważny kryzys wiary. Po latach zastanawiałem się, jakie stały za nim przyczyny. Bóg oszczędził mi hiobowych wstrząsów: nie straciłem bliskich ani przyjaciół, nie zapadłem na nieuleczalną chorobę, nie załamała się moja kariera ani nie popadłem w biedę. Okres dojrzewania nie okazał się czasem burzy i naporu. Parafrazując cytata z ks. Tischnera, nie straciłem wiary pod wpływem spotkania z proboszczem, nikt nie skrzywdził mnie w konfesjonale prostackim słowem, nie słyszałem żenujących kazań. Nie zwątpiłem w istnienie Boga po przeczytaniu Marksa, Lenina, Nietzschego.

Przez kilkanaście lat byłem ministrantem, jeździłem na pielgrzymki i oazy, słuchałem wielkopostnych nauk, chodziłem na Msze w niedziele i dni powszednie, odmawiałem różaniec i litanie. Ale potem przyszedł moment, że przestałem przychodzić do kościoła, nie modliłem się, nie praktykowałem uczynków miłosierdzia. Błądziłem po manowcach, chociaż – mówiąc szczerze – nie czułem się na nich dobrze.

Powody odkryłem dopiero w zeszłym roku. Przez wszystkie tamte lata, spędzone przecież w środowisku ukształtowanym i przesyco-



nym wiarą, nikt nie wytłumaczył mi, czym jest Eucharystia. Ani przed Pierwszą Komunią, ani przed bierzmowaniem. Ani z wysokości ambony, ani z za krat konfesjonału. Przez wszystkie tamte lata Eucharystia schodziła na plan dalszy. Zginęła w katalogu detalicznych obowiązków, przestróg i zakazów. Bo taka jest nasza parafialna, szara przeciętność: katecheza eucharystyczna leży odłogiem. Nic zatem dziwnego, że Msza stała się dla mnie nużącym ceremoniałem, spowiedź – krępującym obowiązkiem, komunია – dziwnym rytuałem. Z czasem wszelka praktyka wiary wydawała się archaiczna i martwa. Kto zapomni o źródle, nie wypłynie łodzią Kościoła na ocean. Można sobie wyobrazić katolicyzm bez celibatu, ale bez Eucharystii nie ma ani Kościoła, ani chrześcijan.

Była też druga przyczyna, którą odkryłem przypadkiem, podczas lektury książki *Pamięć przyszłości* zadedykowanej wchodzącemu w dziewiątą dekadę życia Stefanowi Wilkanowiczowi. Przeczytałem tam o rekolekcjach, które przed pięćdziesięcioma laty głosił ks. Władysław Lewandowicz. Mówił wówczas: „Chrześcijanin to taki człowiek, który się czuje osobiście związany z Chrystusem”. No właśnie, błędzić musi każdy, kto słyszy o Jezusie jako abstrakcyjnej sile bądź historycznej postaci, a nie Osobie – obecnej, bliskiej, żywej, albo sam Go tak postrzega.

To sedno sprawy: dopóki Kościół głosi Emmanuela, syna cieśli, nauczyciela z Nazaretu, wędrownego uzdrowiciela i egzorcystę, przyjaciela celników i prostytutek, opiekuna dzieci, ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, dopóty nie będzie wodził ani na manowce, ani na pokuszenie.

Dopóki Kościół głosi Emmanuela, syna cieśli, wędrownego uzdrowiciela i egzorcystę, przyjaciela celników i prostytutek, ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, dopóty nie będzie wodził na manowce.

MAREK ZAJĄC, ur. 1979, jest publicystą „Tygodnika Powszechnego”. W tym roku otrzymał Nagrodę Dziennikarską „Ślad” im. Biskupa Jana Chrapka.



Kościół na manowcach?

Dyskusja z udziałem K. Bielawskiego, B. Cywińskiego, M. Donaja OSA, J. Petry Mroczkowskiej, ks. G. Rysia, D. Skóry, K. Tarnowskiego,

K. Wierzchosławskiej, H. Woźniakowskiego i ks. T. Zaleskiego-Isakowicza

REDAKCJA: *Jakie są, Państwa zdaniem, najważniejsze problemy polskiego Kościoła – problemy, z którymi jako Kościół musimy się w najbliższych latach zmierzyć?*

KAROL TARNOWSKI: Powiem o dwóch sprawach, które wydają mi się najbardziej pilne. Pierwsza wiąże się z tym, co Francuzi nazywają *esprit du corps*, to znaczy z wewnętrzną solidarnością instytucji kościelnej i szeroko rozumianą władzą w Kościele. Zjawiska te powodują, że instytucja, jaką jest Kościół, przejawia coraz mniejszą wrażliwość na problemy duszpasterskie i, w pewnej mierze, etyczne. Dlatego jest ona coraz mniej skłonna do rewizji pewnych modeli duszpasterskich, które umacniają rozumienie posługi w Kościele jako władzy. Władzy pojmowanej zewnętrznie: jako forma kontroli nad zbiorowością (mówiąc skrótowo, mam tu na myśli obraz pasterza i owieczek). A to pociąga za sobą skrywanie grzechów czy „brudów” w Kościele na przekór rachunkowi sumienia, do którego nawoływał Jan Paweł II. Sytuacja ta pozostaje niewątpliwie w związku z modelem wychowania seminaryjnego, które jest nastawione raczej na działania zbiorowe, krzepnie w pewnego rodzaju dryl, nie prowadząc do poszukiwania indywidualnej drogi do Boga, lecz raczej sprzyjając



postawom konformistycznym. Niektórym autentycznym powołaniom nie jest chyba łatwo duchowo wytrzymać w seminarium. Niesłychanie trudno, jak sądzę, musi być też młodemu księdzu, który idzie „w świat” i natrafia na takie socjologiczne skamieliny, jak specyficzny stosunek pasterza do owieczek, które (jego zdaniem) niewiele mają mu do powiedzenia. Jak przebić się przez tę skorupę?!

Druga niepokojąca sprawa to brak kontaktu z ludźmi poszukującymi, niezupełnie ortodoksyjnymi, ale często *de facto* głębiej wierzącymi niż wielu, którzy deklarują się jako chrześcijanie. Pojawiło się pokolenie ludzi wątpiących, dla których religijność wcale się nie utożsamia z dogmatyką katolicką. Oni dostrzegają relatywność pewnych doktrynalnych punktów, nie mogą także zaakceptować różnych wypraczeń, zgorzeń w Kościele, ale jednak poszukują. Dla tej grupy nie ma w gruncie rzeczy miejsca w Kościele, ponieważ zakłada się, że oni po prostu nie istnieją – są albo katolicy bez wątpliwości, albo ateusze podgryzani przez zachodnią cywilizację: konsumpcyjną, masońską, antynarodową... Kościół powinien być przygotowany na spotkanie z tymi ludźmi. Od dawna mówi się, że duszpasterstwo w Kościele powinno stawiać na indywidualne wybory, bardziej spersonalizowany kontakt z Panem Bogiem, ale nie widzę, żeby coś się pod tym względem zmieniło.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Jeśli chodzi o seminarium... Ja kształciłem się w seminarium 400-osobowym, spaliśmy na piętrowych łózkach. To był przełom lat 70. i 80. Zachwycano się nami: 60, 70 wyświęconych! Teraz widzę, że to była masówka, która pozwalała niektórym znaleźć niszę, zamaskować się, wykonywać pozorne ruchy i... dostąpić święceń. Później nastąpiły powołania, które my nazywamy rocznikami papieskimi (już po wyborze Karola Wojtyły na papieża), kiedy wielu młodych ludzi szło do seminariów na zasadzie pewnej fali (dziś w tej grupie zdarza się, niestety, wiele przypadków wystąpienia).

A co do reszty powiem tak: Kościół to także korporacja. I nawet najbardziej ideowy młody ksiądz, kiedy w nią wejdzie, musi się czasami zachowywać tak, jak każe korporacja, a nie jego ideały.



JOANNA PETRY MROCZKOWSKA: Zauważam w polskim Kościele (to leży chyba w ogóle w naturze Polaków!) alergię na jakąkolwiek krytykę. Krytyka, czyli pogłębiona refleksja oceniająca tak aspekty dobre, jak i niepożądane, rozumiana jest w absolutnej większości przypadków jako niecny atak wrogiego elementu i wzbudza ostrą reakcję emocjonalną. W Kościele od wiernych oczekuje się zgo-

W Kościele nad Wisłą kładzie się niewielki nacisk na charyzmatyczność.

dy na bezrefleksyjne podejście do autorytetu. Tymczasem taki model jest już nie do przyjęcia. Wchodzimy – czy się nam to podoba, czy nie – w czasy dialogu, rozszerzającej się areny partnerstwa. Pouczeniami *ex cathedra* już się wszystkiego nie załatwi. Trzeba nauczyć się słuchać z życzliwością i dozą pokory.

Moje doświadczenia amerykańskie skłaniają mnie do jeszcze jednej uwagi. Kiedy porównuję Kościół w Polsce z tym, który poznałam w Stanach Zjednoczonych, widzę, jak niewielki nacisk kładzie się w Kościele nad Wisłą na charyzmatyczność. I zaraz uściślenie. W Polsce zwykło się dawać pierwszeństwo socjologicznemu rozumieniu słowa „charyzmat”, według którego oznacza on szczególne własności przypisywane jednostce i kreujące jej publiczny *image*. Pomija się, niestety, znaczenie teologiczne. Wedle tegoż charyzmat jest darem Ducha Świętego, który otrzymuje wierzący, aby służył tym talentem wspólnocie. Można by zaryzykować stwierdzenie, że Kościół w Polsce jest w pierwszym rzędzie maryjny, w drugim – chrystocentryczny, a dla Ducha Świętego nie zostaje tu zbyt wiele miejsca.

DANUTA SKÓRA: A ja właściwie nie wiem, jaki jest Kościół w Polsce, ale obawiam się, że Episkopat też tego nie wie, bo nie robi się poważnych socjologicznych badań wyjaśniających na przykład, dlaczego młodzi ludzie odchodzą od Kościoła. Buduje się kolejne świątynie, wydaje się na to mnóstwo pieniędzy, a nie chce się sfinansować takich badań. Gdybyśmy lepiej wiedzieli, jacy jesteśmy, to umielibyśmy to, co niewłaściwe, wypleniać, a to, co dobre, pielęgnować. Bo my też bardzo mało wiemy o jasnych stronach Kościoła. Nie wiemy na przykład, dlaczego kilkadziesiąt autobusów z pielgrzymami przyjeżdża w dzień powszedni do klasztoru w Mogile, żeby modlić się przed „Czarnym Chrystusem”.



Problem, który chciałabym tu poruszyć, wiąże się z obserwacją, że ani na poziomie episkopatu, ani na poziomie parafii świeccy nie są częścią tego Kościoła, a wszystkie zapisy mówiące o „znaczącej roli laikatu” to fikcja. Mogę o tym opowiedzieć, opierając się na własnym doświadczeniu. Bardzo chciałam „uruchomić” istniejącą w mojej parafii radę parafialną. Przez rok indagowałam w tej sprawie proboszcza – bezskutecznie. „Rada się nie zbiera” – słyszałam za każdym razem. Wreszcie jednak się zebrała, było to tuż przed wizytacją biskupa. Poszłam na to zebranie i spotkałam tam kilku panów w wieku emerytalnym, którzy bardzo się ucieszyli z mojej obecności. Ale proboszcz wcale się nie ucieszył i w gruncie rzeczy – gdyby nie poparcie księdza biskupa, z którym na ten temat rozmawiałam podczas wizytacji – nie miałabym w tej radzie żadnych szans. Nie udało mi się też doprowadzić do wyborów, mimo wyraźnej zachęty ze strony biskupa. W końcu poszłam na kompromis: proboszcz namówił kilka zaufanych osób, ja – kilkoro ludzi młodszych, i po cichutku, kameralnie, nowa rada została powołana. Zrejterowałam z niej po trzech latach, bo zostałam w końcu sama, a ksiądz i tak robił, co chciał. Wepchnął nas tylko w rolę osób uwiarygadniających ściąganie pieniędzy! W ubiegłym roku przyszedł do parafii nowy wikary, który ma jeszcze mniej inicjatywy i chęci współdziałania z parafianami niż proboszcz. Wniosek, jaki nasuwa mi się po tych kilku latach, jest jeden: żeby świeccy uczestniczyli w życiu parafii, muszą być desperatami.

Żeby świeccy uczestniczyli w życiu parafii, muszą być desperatami.

KAROL TARNOWSKI: Ja byłem członkiem rady parafialnej, ale w następnych wyborach zostałem pominięty z powodu poglądów politycznych.

A jak to wygląda z punktu widzenia proboszcza?

MAREK DONAJ OSA: Moje doświadczenie jest skromne – jestem proboszczem dopiero od dwóch lat. Widzę jednak, że udział świeckich w życiu parafii jest nacechowany jakąś wielką obawą. Obawą, czy będę się nadawał, czy mnie zaakceptują, czy mam tyle możliwo-



ści, żeby działać. Z drugiej strony, gdy tracę wpływ na decyzje podejmowane przez grupy parafialne, taka obawa rodzi się czasem i we mnie. Bo przecież ciąży na mnie odpowiedzialność za wspólnotę.

Lekarstwem na martwość w parafii jest, moim zdaniem, zachęcanie do pracy w grupach. Nie potrzeba w tym wypadku zdecydowanych działań odgórnych – wystarczy współdziałać. W mojej parafii nie ma jakichś specjalnych wyborów do rady; tak się przyjęło, że wchodzi do niej przedstawiciele poszczególnych grup. Co do finansów – to nie ma jeszcze takiej możliwości, by dysponowała nimi jakaś powołana do tego komisja. Do obowiązków proboszcza natomiast należy informowanie parafian, na co przeznaczane są składki.

Na koniec uwaga natury ogólnej: każdy musi sobie znaleźć swoje miejsce w Kościele. Takie, które mu najbardziej odpowiada i w którym się czuje najbardziej potrzebny. Nikogo przecież nie przyprowadzę tu za rączkę ani nie zmuszę, żeby sobie to miejsce znalazł.

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA: No właśnie. Każdy musi odkryć w Kościele swoje powołanie, ów charyzmat. Tylko czy jest w polskim Kościele takie poczucie, że my, świeccy, jesteśmy tu do czegoś powołani? Mam wrażenie – a wypowiedź Danuty Skóry mnie w tym utwierdza – że to nasze powołanie jest jakoś tłamszone, lekceważone.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Po 25 latach pełnienia posługi duszpasterskiej jestem przekonany, że w Polsce Kościół jest rozumiany jako zgromadzenie osób duchownych (i ewentualnie tych świeckich, którzy bardzo ściśle z duchownymi współpracują). Tak też proszę rozumieć moją wypowiedź. Z bólem zatem potwierdzam, że w polskim Kościele zadomowiła się fikcyjność. Nieraz przeżywałem wizytacje biskupie i zauważam, że obie strony tę fikcję akceptują. Jedni ją tworzą, drudzy się na nią zgadzają. Od ponad 19 lat pracuję poza strukturą Kościoła – w charytatywnej fundacji świeckiej. I jeszcze nigdy biskup wizytujący parafię, w której znajdują się placówki naszej fundacji, nie zapytał mnie, z czego żyję. Od wielu lat prowadzę duszpasterstwo Ormian na terenie połowy Polski – i nikt z przełożonych nie zadał mi pytania, z czego finansuję choćby liczne wyjazdy do wiernych. Bo pieniądze to w Kościele temat tabu! Po-



nadto, w rubryki mówiące o życiu parafii proboszczowie wpisują rzeczy czasami nieprawdziwe – i to nie dlatego, że są cyniczni, tylko dlatego, że istnieje powszechne przyzwolenie na takie praktyki. Na czas wizytacji tworzy się odgórnie rady parafialne, ale biskupi nie sprawdzają, co one tak naprawdę robią. Do statystyk wpisuje się wiele fikcyjnych faktów, które przyjmuje się za prawdziwe, bo działa mechanizm źle pojmowanej solidarności zawodowej. Pewne zjawiska są ukrywane. Nigdy nie ujawnia się ich przy świeckich. Każda próba krytyki przedstawiana jest jako zamach na Kościół – i tu od razu się dopisuje: Żydzi, masoni, laickie media...

W tego rodzaju oskarżeniach przoduje katolickie radio...

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Powiem szczerze, że słucham często Radia Maryja. Spytaście: dlaczego? A czy jest jakieś inne ogólnopolskie medium katolickie? Dlaczego nie ma katolickiego dziennika? Dlaczego nie ma katolickiej telewizji z prawdziwego zdarzenia?! Tyle diecezji i nie potrafiono stworzyć ogólnopolskiego katolickiego pisma czy radia! Tylu intelektualistów katolickich, tyle mocnych zakonów! Owszem, było Radio Plus. Jak skończyło, wiemy: aferami finansowymi i totalnym załamaniem. W tę pustkę wkraczają... jedni powiedzą: charyzmatycy, inni powiedzą: hochsztaplerzy. Nie ma się zatem co obrażać, że ktoś założył Radio Maryja. Można tylko ubolewać, że nie uczynił tego nikt inny.

KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA: Rzeczywiście, nie ma mediów porównywalnych z Radiem Maryja, jeśli chodzi o zasięg i „nagłośnienie”. Niemniej jest czymś krzywdzącym pomijanie mniejszych (nieraz wartościowych) radiostacji, jak na przykład warszawskie Radio Józef, dostępne także w Internecie, nie uprawiające demagogii i pewnie także z tego powodu nie wywołujące tak szerokiego oddźwięku w naszym – co tu ukrywać – podatnym na tego rodzaju działania społeczeństwie. Takie inicjatywy tym bardziej wymagają wsparcia...

HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Proponuję, żebyśmy spojrzeli na polski Kościół także z zewnątrz. Niedawno byłem we Francji – naj-



pierw w szkole założonej przy katedrze Notre-Dame (i powiązanej z seminarium paryskim), w której spotykają się ludzie (również świeccy) chcący pogłębić swą wiedzę religijną. Mieszkalem w domu razem z seminarzystami, jadłem z nimi posiłki. Zobaczyłem środowisko żyte, zwarte, inteligentne, czytane i ciekawe świata. To było bardzo inspirujące. W niedzielę pojechałem do Pikardii, do wsi leżącej 60 km od Paryża. Jak się okazało, do tamtejszego kościoła ksiądz przyjeżdża raz w roku. Na dodatek mieszkańcy tej wsi obrazili się na niego, bo podczas ostatniej wizyty pomylił jej nazwę. Kiedy zastanawiałem się nad tymi dwoma doświadczeniami, doszedłem do wniosku, że mimo wspaniałości katolickiej elity, którą spotkałem w Paryżu, wolę ten masowy, ale żywy Kościół polski z wiejskimi kościółkami, w których nawet w dni powszednie są sprawowane Msze święte. Masowość to kolosalny kapitał naszego Kościoła. To jest jakiś dar, cud, że ten stan się utrzymuje.

KRZYSZTOF BIELAWSKI: Niemniej seminarium duchowne, wychowujące księży, którzy pójdą do tego masowego Kościoła, jest bardzo ważne. Uczyłem tam kiedyś greki i... po kilku latach uciekałem stamtąd w popłochu. Dziś wspominam je jako miejsce, w którym trudno było nie tylko uczyć, ale nawet w pewnym sensie przebywać. Powiem szczerze: miałem wrażenie, że 30-40 procent tych studentów nigdy nie zdałoby na żadną wyższą uczelnię. Może należałoby się zastanowić, czy muszą oni robić magisteria i doktoraty? Może wystarczyłby licencjat, żeby ksiądz umiał, dajmy na to, „Ojcze nasz” i „Wierzę w Boga”, potrafił odprawić Mszę i znał podstawy teologii dogmatycznej? Druga rzecz, jaka rzuca się w oczy, to niewiarygodna wręcz niedojrzałość emocjonalna kleryków. Zdarzało się, że na zajęcia przychodziły kobiety. Trudno opisać, co się wtedy działo... Ci chłopcy – niezależnie od tego, na którym roku studiowali – nie potrafili dojrzale i naturalnie zachowywać się w ich obecności: uśmiechy, szturchania, wątpliwe dowcipy, mrugania... Ostatni raz oglądałem takie zachowania we wczesnych klasach podstawówki, tutaj stanowiły swoistą normę pozbawioną jakiegokolwiek alternatywy.

Jeśli zaś chodzi o masowość... Wybitny krakowski duszpasterz, na którego Msze przychodzą tłumy, powiedział kiedyś publicznie,



że jego zdaniem zagrożeniem dla Kościoła w Polsce nie jest sekularyzacja, odchodzenie od Kościoła *etc.*, ale problem wprost przeciwny: nadmiar ludzi i nadmiar zaangażowania. Moim zdaniem, taki sąd jest świadectwem jakiegoś poważnego zaburzenia w postrzeganiu rzeczywistości, bo przecież tę sekularyzację widać gołym okiem. Wystarczy mi porozmawiać z dobrze wykształconymi, zaangażowanymi w życie społeczne i dojrzałymi jak na swój wiek studentami prestiżowego uniwersytetu podczas codziennych zajęć.

Kościół, niestety, czerpie zadowolenie z takiej Mszy popularnego duszpasterza albo z jakichś szkółek parafialnych, które szczęśliwie działają – i nie dostrzega coraz głębszej przepaści oddzielającej go od przytłaczającej wręcz większości ludzi współczesnych ewoluujących w zupełnie nieokreślonym kierunku. Krzysztof Zanussi referował kiedyś swoją rozmowę z biskupem, który się chwalił, że w ogóle nie ogląda telewizji. Pytanie reżysera było niezwykle trafne: w jaki sposób taki biskup ma trafić do ludzi, którzy znaczną część życia spędzają przed telewizorem albo surfują po Internecie po dwa-naście godzin dziennie?

KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA: A w świecie współczesnym ludzie naprawdę czują się osamotnieni z różnych względów i szukają wsparcia, życzliwości, przyjaznej duszy – zwykle najpierw na poziomie czysto ludzkim. Tymczasem spotykają kapłana, który – nieco rzecz upraszczając – przychodzi wyrecytować swoją kwestię *ex cathedra*, nie bardzo zresztą zwracając na nich uwagę. Osoby ze starszego pokolenia, wychowane w większym, niejako „niedyskutowalnym” poszanowaniu władzy i autorytetów, są mniej wyczułone na taką postawę, ale nieuchronnie zaowocuje ona odchodzeniem młodych z Kościoła. Taką bufonowatość trudno znośić i to jakoby we wspólnocie... I nie chodzi wcale o to, by z jednej manieri popadać w drugą i stylizować się na przykład na Jurka Owsiaka, „bo to się młodzieży spodoba”, czy stosować jakąś inną technikę. Jak być naturalnym, nie udając Papieża; jak mówić swoim własnym głosem i uwolnić się od lęku, że ten głos jest niedoskonały i źle wypadnie; jak mówić o swoich własnych doświadczeniach najprościej i najbardziej przekonująco? – oto prawdziwe wyzwanie.



Z problemem nieumiejętności nawiązywania kontaktów na poziomie najbardziej podstawowym, wiąże się także kwestia edukacji i formacji księży. Ciągłe za mało jest tych, którzy wykształceniem dorównują świeckim, a tych ostatnich – wykształconych na dobrym

Poziom i metody kształcenia seminaryjnego w ogromnej mierze odbiegają od poziomu świeckich wyższych uczelni.

poziomie – jest z kolei coraz więcej... Ten brak równowagi stale i szybko pogłębia się – pęd do edukacji jest wpisany w życie współczesnego społeczeństwa. A poziom i metody kształcenia seminaryjnego w ogromnej mierze nadal odbiegają od poziomu świeckich wyższych uczelni. Pokolenie czterdziestolatków (a tym bardziej ich młodszych, jeszcze lepiej wyedukowanych kolegów), które w młodości, w czasach studenckich, w mniejszym lub większym stopniu otarło się o różne ruchy religijne czy wspólnoty, obecnie, w dorosłym życiu, nie może, zwłaszcza w parafii, odnaleźć kontynuacji czy pogłębienia tamtych doświadczeń. Sami dominikanie czy jezuita nie wystarczą, zresztą działają oni zwykle na terenie dużych miast – a co z prowincją? Księża mówiący archaicznym językiem, nieobcy ze światem, bojący się tego świata, protekcyjni (zwłaszcza w stosunku do kobiet), nieprzygotowani do dialogu, rozmowy (i to niekoniecznie na tematy religijne) – taki jest najczęściej spotykany model polskiego księdza. Są, oczywiście, jednostki, które potrafią wybić się ponad ten zły standard: mają świetne pomysły, wielu słuchaczy, ale ciągle jest ich za mało, często nie otrzymują odpowiedniego wsparcia albo też niszczy ich konkurencja, niestety.

BOHDAN CYWIŃSKI: To prawda, że u księży widać często braki w formacji. Nie znam się na tym, ale radziłbym jedną rzecz, której nauczyła mnie szkoła średnia w czasach stalinowskich. Szkoła nie jest mechanizmem, któremu ja mam się poddać, a jeśli się poddam, to automatycznie wyskoczy ze mnie wykształcony człowiek. Szkoła – tak samo jak seminarium – jest miejscem, które daje mi szansę samokształcenia. Jedyne szansę! Wszystko zależy od tego, czy podejmę indywidualny wysiłek, by stawać się bardziej kulturalny, poznawać ludzi i świat.

HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Przygotowywaliśmy kiedyś numer „Znaku” o formacji seminaryjnej. Pamiętam, że mieliśmy wówczas



kłopoty ze znalezieniem autorów. Opowiedziałem o tym ks. Tischnerowi, a on na to: „No wiesz, w sumie seminaria mają jeden cel. Muszą wychować do posłuszeństwa biskupowi i do celibatu. Ale mało kto powie to głośno”. Nie wiem, czy się coś w tym względzie zmieniło. Może zresztą Tischner był wtedy w złym nastroju?

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Kościół w Polsce rzeczywiście ma ogromną siłę, ale tu muszę odwołać się do wypowiedzi Tadeusza Żychiewicza, który już w latach osiemdziesiątych mówił, że z powołaniami w Polsce jest jak w PRL-u z urodzajem: może być klęska nieurodzaju albo klęska urodzaju. W naszym kraju mamy klęskę urodzaju. Nie bardzo wiadomo, co robić z tą masą księży wyświęconych w Polsce, zwłaszcza w jej południowej części. Na przykład przy ulicy Kanoniczej w Krakowie mieszka więcej księży niż w niejednej diecezji na wschodzie czy zachodzie Europy.

Była kiedyś w Kościele powszechnym akcja „Fidei donum”: księży diecezjalni, składając „dar dla Kościoła”, jechali na misje.

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA: Można by ich posłać, choćby na Zachód. Na pewno by się tam przydali i jeszcze by się czegoś nauczyli. Może to kogoś zdziwić, ale to właśnie na Zachodzie ksiądz mógłby się nauczyć pokory, jakże koniecznej każdemu chrześcijaninowi...

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: W informatorze archidiecezji krakowskiej policzyłem, ilu księży wyjechało na misje. Jest w naszej diecezji tysiąc księży – na misjach pracuje dwunastu w Tanzanii i Brazylii plus kilku na Ukrainie.

KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA: Z tego, co Państwo mówią, a także z moich własnych obserwacji wynika, że wiele problemów można sprowadzić do kwestii lęku. Odczuwamy lęk: przed nieznanym, przed zmianą, przed wywołaniem zgorzenia, przed utratą kontroli... Zabiegiem lękowym – próbą zbudowania ochronnej enklawy – jest chyba także kościelne przesadne przywiązanie do obrzędowo-



ści. Warto zwrócić uwagę, jak na przykład wygląda u nas wizyta duszpasterska, kolęda. Okazuje się ona prześmieszną atrapą tego, czym może być spotkanie ludzi pragnących się poznać. Takie odwiedziny trwają około 10 minut – jest zima, więc dwie minuty zajmuje wycieranie butów, następne dwie minuty to straszliwie mechaniczne wyrecytowanie wspólnej modlitwy i pobłogosławienie domu, potem ksiądz podpisuje się w zeszytach dzieci, rozdaje obrazki. Z jednej strony jest to infantylne, a z drugiej – żalodne. Ksiądz ma odruch ucieczki, chce jak najszybciej mieć za sobą to spotkanie z żywym człowiekiem. Może coś wymknie się spod kontroli albo uchybi on wymogom ceremonii, albo ktoś go o coś zapyta? Żeby dopełnić obrazu, powiem, że w tym roku zawczasu otrzymaliśmy kartkę – instrukcję „przyjęcia wizyty duszpasterskiej” nadmieniającą między innymi „o konieczności wyłączenia radioodbiorników...”. Poczuliśmy się dość dziwnie... A na samym końcu ksiądz zostawił w naszym mieszkaniu swoją instrukcję wizyty duszpasterskiej i czym prędzej przysłał po nią ministranta, aby móc ową wizytę dalej kontynuować!

Ironicznie można by zapytać: w co my się tu bawimy? Albo zadać inne pytanie: kto zaszczerpił temu biednemu księdzu tyle lęku i w jakim celu tak uczynił? Czemu tak musi być?

Pytanie, czy ktoś w seminarium wychowuje księży do nawiązania prawdziwych relacji ze świeckimi...

KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA: To może my, świeccy, powinniśmy zacząć wychowywać księży? Coś na nich w pewnym sensie wymuszać?

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA: W jednym z krakowskich kościołów, gdzie bywa dużo turystów, przeprowadziłam drobny eksperyment. Chciałam przyjąć Komunię na rękę, ale ksiądz odmówił i włożył mi hostię do ust. Postanowiłam porozmawiać o tym z proboszczem. Po krótkiej wymianie zdań nie wydawało się, żeby pozostawało tu cokolwiek do zrobienia, z wyjątkiem pójścia na skargę do kurii, co proboszcz zresztą zasugerował. Zredagowałam więc list, ale wstrzymałam się i ponowiłam próbę innego dnia. Nie bez uczucia ulgi stwier-



dziłam, że ów ksiądz zrewidował swoje postępowanie i udzielił mi Komunii na rękę. Pewien sztywny nawyk dało się jednak przełamać...

KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA: Ta sytuacja również pokazuje, jak mocny jest ów lęk. Bo okazuje się, że poza Polską można świeckiemu zaufać i dać mu Komunię do ręki. Natomiast w Polsce świeccy są jak podrośnięte dzieci – trzeba ich ciągle pilnować.

KRZYSZTOF BIELAWSKI: Mam wrażenie, że jest w Kościele jakiś lęk przed szeroko rozumianą kulturą, która szuka swoich środków wyrazu (zgoda, czasami szuka ich na manowcach): lęk przed filmem, przed gazetą, literaturą – bo nie są takie, jakimi chciałby widzieć je Kościół! – a nawet przed bardziej otwartym i odważnym poszukiwaniem teologicznym. To rzeczywiście jest jakieś straszliwe zamknięcie...

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Inny problem, któremu nie zapobiega formacja seminaryjna, to silna (ostatnio wręcz galopująca!) materializacja wśród księży. Nie ma mechanizmów, które na przykład powstrzymałyby proboszczów od zakupu auta za 150 tysięcy. Na zjazdach roczników seminaryjnych co drugi podnosi maskę samochodu i się przechwala... Dziwi mnie, dlaczego nie reaguje na to żaden z hierarchów.

Kolejna sprawa: coraz większa grupa księży przechodzi na etaty państwowe. To też jest pewne tabu – utrzymanie wielu księży ma coraz większe związki z ich pracą etatową: w szkole, w szpitalu, w wojsku. Dochodzi do tego, że młody wikary, tuż po święceniach, ma dwa źródła utrzymania: pensję ze szkoły plus utrzymanie z parafii. Jeżeli nie ma dyszla moralnego, to posiada tych pieniędzy coraz więcej, a zarazem nie bardzo wie, co z nimi zrobić. Etaty państwowe spowodowały, że księża nauczyli się, jakie są ich stawki godzinowe, i zaczęli swoje zaangażowanie przeliczać na pieniądze. Uderzyły mnie wypowiedzi Jana Pawła II na temat poziomu życia polskich księży...

„Musicie być solidarni z narodem. Stylem życia bliscy przeciętnej, owszem, raczej ubogiej rodziny” (Szczecin 11 VI 1987). My też dobrze pamiętamy te słowa.



KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: A dziś w Polsce o to coraz trudniej. Książ to jest – niestety! – dobry zawód: dobrze płatny, świetnie zabezpieczony socjalnie, pozbawiony pewnych trosk.

W katalogu problemów, które dostrzegam, ważna jest jeszcze sprawa nominacji. Decydujące okazuje się, z jakiego kto jest rocznika. Awansuje się często nie dlatego, że ktoś się wyróżnia, tylko dlatego, iż jest kolegą z seminarium tego czy innego decydenta. W niejednej diecezji mówi się nawet: powiedz, z jakiego jesteś rocznika seminaryjnego, a powiem ci, jaką zrobisz karierę...

Nie będąc się szerzej wypowiadał na temat sprawy arcybiskupa Paetza. To kolejny bolesny problem: istnienie w Kościele silnego lobby homoseksualnego. Tego nikt nie chce dotknąć. Wszyscy się boją...

Nazwisko Księdza stało się ostatnio głośne w związku z inną bolesną sprawą: lustracją w Kościele.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Wielokrotnie słyszałem od kolegów-księży i od hierarchów: nie mów tego, po co ludzie mają to wiedzieć?! Zamiatamy trudne sprawy pod dywan. Nie potrafię się z tym pogodzić. Przyznam, że jestem w bardzo trudnej sytuacji, bo jest w Kościele niewiele osób, które chciałyby ujawnić prawdę. Krakowska komisja „Pamięć i troska” została powołana pod presją mediów, ale ona nic nie wyjaśni – będą wybuchały afery, będą ujawniane kolejne dokumenty IPN i... znów wszystkiemu winni okażą się Żydzi i masoni. Nie ma bowiem pomysłu na to, jak ujawnić prawdę o kolaboracji pewnych księży i jak rozwiązać problemy z tym związane.

BOHDAN CYWIŃSKI: Wyobrażałem sobie, że będziemy mówili o zupełnie innych sprawach. Że zastanowimy się nad tym, co Kościół ma w tym kraju do zrobienia. A Państwo mówią tu o rzeczach, które mnie w ogóle nie przyszłyby do głowy. Może się Państwo na mnie obrażać, ale – moim zdaniem – wszystko, o czym tu dotychczas mówiono, jest sprawą interesującą jedynie dla pewnego kręgu zawodowo-społeczno-kulturalnego. Stosunki między świeckimi a klerem w Kościele bulwersowały mnie, kiedy byłem znacznie młodszy i... mieszkalem w Krakowie. Wtedy było to dla mnie pasjonujące. Kló-



ciłem się, byłem bardzo niegrzeczny itd., w tej chwili jednak mnie to zupełnie nie interesuje. Jak będę miał jakiś interes, to pójdę do księdza i go zapytam, poproszę, zaproponuję, nawiążę z nim jakiś kontakt, ale w gruncie rzeczy ten ksiądz jest mi potrzebny tylko po to, żeby mi umożliwił korzystanie z sakramentów. A poza tym chwala Bogu, że nie usiłuje mnie wychowywać. Bardzo mu jestem za to wdzięczny.

W gruncie rzeczy ksiądz jest mi potrzebny tylko po to, żeby mi umożliwił korzystanie z sakramentów.

Chciałbym tu zadać jedno pytanie, kieruję je zwłaszcza do księży. Chodząc czasami w dzień powszedni do kościoła, stwierdzam, że – zarówno w Warszawie, jak i w Przerośle na Suwalszczyźnie, gdzie pomieszkuję – codziennie na Mszy świętej jest około 1,5-2 procent dorosłych wierzących. Ciekaw jestem, jak pastoralnie wykorzystujecie codzienny kontakt z tą elitą? A po drugie, czy w grupie tych najbardziej aktywnych (w radach parafialnych *etc.*) pojawiają się osoby właśnie z tej grupy najgorliwiej praktykujących? Zwracam uwagę, że to wcale nie biedne staruszki przychodzą codziennie do kościoła, bo dla nich jest z reguły za daleko. To raczej ludzie w wieku średnim, młodzi.

MAREK DONAJ OSA: To dobre pytanie. Ale w dużym mieście jest z tym pewien problem. W moim kościele na przykład na Mszę świętą przychodzi więcej osób spoza parafii niż samych parafian. Mamy tu do czynienia z „Kościołem wędrującym”. To znaczy, że wielu ludzi zachowuje w sobie poczucie przynależności do Kościoła, mimo że nie utrzymują ścisłego związku z parafią. Szukają Boga, ale także miejsca, gdzie mogliby poczuć się u siebie.

Jako ksiądz staram się jednak myśleć również o tych, którzy nie za często zachodzą do kościoła, ale są gotowi coś zmienić w swoim życiu. Dlatego ważny wydaje mi się osobisty kontakt świeckiego z kapłanem. Przyszłą rolę odgrywa tu zaangażowanie owego księdza: nie jako aktywisty, społecznika, administratora, który zna się na wszystkim, ale przede wszystkim jako człowieka, który jest na tyle otwarty, żeby – wspólnie z tym, który szuka – podjąć próbę rozwiązania jego problemów osobistych.



HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Trochę się jeżę na te prowokacyjne tezy Bohdana Cywińskiego. Bo poza udzielaniem sakramentów, które jest, oczywiście, pierwszym zadaniem księdza – dostrzegam ważny wymiar kościelnego nauczania. Ksiądz ma przekazywać wiernym Ewangelię: nie tylko odczytać ją na ambonie, ale także podzielić się z nami swoim rozumieniem tego tekstu. I spróbować odnieść go do naszego życia. Ja też nie oczekuję od księży, że będą mnie „wychowywać”, że dadzą mi gotowe recepty na życie (choć chętnie takowe bym przyjął). Oczekuję natomiast, że księża – przynajmniej niektórzy – zechcą ze mną pomyśleć i porozmawiać o tym, jak być chrześcijaninem w tej konkretnej sytuacji, w jakiej się znalazłem.

MAREK DONAJ OSA: Od chwili, gdy przyszło mi zmierzyć się z odpowiedzialnością za wspólnotę parafialną, mam poczucie, że ciągle muszę do tego zadania dorastać, że muszę coś w sobie poprawiać,

Powody, dla których wielu dobrych katolików nie chce się angażować w życie wspólnoty parafialnej, tkwią w księżach...

zmieniać... Cztery lata temu na własny użytek przeprowadziłem ankietę na temat wiary. Obejmowała ona 180 osób w wieku od 12 do 70 lat. Wypowiedzi najczęściej dotyczyły relacji wiernych z duchownymi. Młodzi śmiało ukazywali nasze – duchownych – zakłamanie, lenistwo,

brak autentyzmu. Z kolei ludzie w wieku średnim i starsi podkreślali zbyt sformalizowanie, uprzedzenia i niekiedy arogancję, obecne w życiu Kościoła. Powody, dla których wielu dobrych katolików nie chce się angażować w życie wspólnoty parafialnej, tkwią w księżach... Nie zabrakło jednak i takich stwierdzeń, że do Kościoła należy ogromna rzesza ludzi, dla których wiara ogranicza się tylko do obchodzenia dwóch świąt (Bożego Narodzenia i Wielkanocy), a i to nie zawsze. Jakże często w biurze parafialnym – w nawiązaniu do chrztu, ślubu, Pierwszej Komunii dziecka – słyszę, że to jest „sprawa do załatwienia”. Czy przyjęcie sakramentu jest tylko sprawą urzędową?! Kiedy zaś pytam o praktykowanie życia chrześcijańskiego – ludzie uważają to moje pytanie za nietakt. Oczywiście, mam świadomość, że dotykam spraw delikatnych i trudnych, gdzie przynależność do wspólnoty Kościoła staje się sprawdzianem jakości wiary. Chciałem tylko pokazać, że problem dotyczy wszystkich, nie tylko duchownych...



KS. GRZEGORZ RYŚ: Podobnie jak pan Bohdan Cywiński (choć może nieco z innych powodów) słabo się odnajduję w dotychczasowej dyskusji. Chciałbym się cofnąć do miejsca, w którym ojciec Marek Donaj powiedział, że człowiek wierzący sam powinien sobie znaleźć miejsce w Kościele. To jest, moim zdaniem, zagadnienie naprawdę istotne. Ono się wiąże z pytaniem, czym jest Kościół. Ostatnie dni miałem szczęście spędzić w Rzymie, byłem przy grobie Ojca Świętego, czytałem jego testament. Zauważyłem, że im bliżej końca tego tekstu, tym częściej pojawiają się słowa brzmiące jak refren: „*in medio Ecclesiae*”. Papież prosi, żebyśmy się poczuli w środku Kościoła, nie stawali na jego obrzeżach. Być w środku to znaczy poczuć się u siebie we wspólnocie ludzi sobie bliskich. Zgadzam się, że to nie zawsze jest łatwe. Ale kiedy słyszę Benedykta XVI, mam poczucie, że jestem „u siebie”. „U siebie” poczułem się także wtedy, gdy zobaczyłem nowego kardynała (abpa Petera Poreku Dery z Ghany) podjeżdżającego do Papieża na wózku inwalidzkim – mocny znak przeciw wszystkim funkcjonującym przecież do niedawna na ambonach skrótowym (by nie powiedzieć wprost: głupim) poglądom na temat choroby i niepełnosprawności.

Papież prosi, żebyśmy się poczuli w środku Kościoła, nie stawali na jego obrzeżach.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Znam wiele kościołów, do których bardzo trudno się dostać człowiekowi na wózku...

KS. GRZEGORZ RYŚ: Kiedy Jan Paweł II mówi: „*in medio Ecclesiae*”, to mówi o ludziach, którzy działają: w kulturze, w polityce, także poza Kościołem rzymskokatolickim (również o rabinie Rzymu). Ten jego obraz Kościoła jest zatem bardzo szeroki – wykracza poza ramy ściśle konfesyjne. I to jest pierwszy problem, który staje przed Kościołem w Polsce. Kiedy wybuchła sprawa arcybiskupa Paetza, najbardziej uderzyła mnie reakcja niektórych „apologetów” na zaangażowanie dziennikarza, którym zarzucano, że piszą z zewnątrz. Postawienie dziennikarza, który przyznaje się do katolicyzmu, na zewnątrz Kościoła, bardzo wiele mówi. Mówi przede wszystkim o tym, że Kościół redukuje się do instytucji.



Podstawowym problemem, o który się potykamy, jest kwestia dojrzałości. Dojrzały Kościół to taki, który wie, że człowiek świecki ma dwa centra życiowe – i one go orientują: jednym jest Kościół, a drugim świat. A u nas, niestety, dominuje myślenie konfesyjne i instytucjonalne.

Warto jednak zaznaczyć, że problem nie jest znowu taki jedno-wymiarowy. Pamiętam, jak ksiądz Tischner mówił na wykładach: niech się świat wali, ale proboszcz na parafii wiejskiej jest! I to jest rzeczywista siła Kościoła. To myślenie najlepiej się sprawdza w podejściu do katechizacji. Od kiedy religia znalazła się w szkole – mówią eksperci – uczęszcza na nią 90 procent uczniów. I to jest ważny argument (choć na marginesie dodam, że człowiek, który tak naprawdę czuje się odpowiedzialny za katechezę i wyznacza jej kierunki, czyli biskup Kazimierz Nycz, odkąd zmienił diecezję z krakowskiej na koszalińsko-kołobrzeską, zmienił też zasadniczo myślenie na ten temat. I mówi dziś, że właśnie na północy wyraźnie widać, jak ważne jest, by młodzież wróciła z powrotem do parafii, jak potrzebna jest tam ewangelizacja).

To podejście do instytucji ma dwie twarze. Bo z jednej strony znamy jej siłę, ale z drugiej strony, paradoksalnie, jest jakaś niewiara w jej skuteczność. Porozmawiajcie, proszę, z biskupami. Podam świeży przykład. Wiadomo: przyjeżdża do Polski Papież. W diecezji krakowskiej, która go przyjmuje, przygotowanie ogranicza się do tego, że spotkało się grono 40 ludzi i umówili się, kto odpowiada za drogi, kto za nagłośnienie itd. Pytany przez jednego z biskupów, co myślę o przygotowaniu ludzi na papieską pielgrzymkę, odpowiedziałem mniej więcej tak: Ojczy, te 40 osób, które są w tym zespole, może się spotkać z krakowskimi biskupami na dniu skupienia. Powiedzcie nam wtedy, kim jest dla was Papież. Może pójdźmy razem do spowiedzi... Potem podzielmy te 40 osób na tyle grup, ile jest dekanatów, i roześlijmy ich po czterech, pięciu – niech głoszą katechezy, niech to pójdzie w dół. Niech będzie jakiś ruch, który nie jest tylko i wyłącznie ruchem instytucji, organizacji. Najbardziej zabolala mnie w tej rozmowie nuta niewiary, że to się może udać. Niewiary, że jest możliwy taki przekaz wiary – co jest chyba istotą Kościoła. Z jednej strony opieramy się zatem na instytucjonalnej sile Kościoła, ale z drugiej chyba nie zdajemy sobie sprawy, że czasem ta siła okazuje się słabością.



Jeszcze w czasach oazowych rozmawiałem z pewnym naprawdę świetnym proboszczem, który dzielił się z uczestnikami rekolekcji swoim doświadczeniem. Wspominał moment, kiedy odwiedzili go jacyś Włosi. Z wypiekami na twarzy opowiadał im, jak w tej parafii wszystko jest wspaniale, jak licznie ludzie chodzą do kościoła, działają w licznych grupach... Oni postawili mu jedno pytanie: ile dorosłych osób ochrzcił w ostatnim roku? Skończył się entuzjazm, bo padło pytanie, czy Ewangelia jest tutaj „zaraźliwa”, czy ona kogoś interesuje.

Powraca pytanie o to, czy jesteśmy w naszej wierze dojrzały. Żeby było jasne: wcale nie uważam, że widać tylko niedojrzałość naszego Kościoła. Nigdy nie zapomnę milczenia dwóch milionów ludzi w czasie Mszy na Błoniach, na którą nie dojechał chory Papież. I modlitwy w czasie kolejnej pielgrzymki – kiedy był z nami na Błoniach. I tej ostatniej – w przeddzień pogrzebu. To na pewno nie miało nic wspólnego z pustą obrzędowością. Ludzie przyszli, żeby przeżyć coś głębokiego w wierze. Może warto postawić pytanie, czy to ta dojrzałość rzadko dochodzi do głosu, czy raczej my sami w nią jeszcze nie wierzymy.

Uderzające jest pewnie i to, że przykłady dojrzałości, o których wspominam, pokazały się w czasie modlitwy. Tu widzę jedno z ważniejszych wyzwań dla Kościoła w Polsce – chodzi o to, by stał się w swych rozmaitych wspólnotach (od parafii począwszy) „szkołą modlitwy”. Taką szkołą, w której pewnie każdy z nas mógłby być i uczniem, i nauczycielem.

Mówią Państwo o tym, że świeccy mają „wymusić” coś na księdzu (np. zorganizowanie rady parafialnej). Nigdy niczego nie wymuszają. W ogóle wymuszanie w Kościele jest samobójcze. Wtedy, gdy będzie dojrzałość po każdej ze stron – dojrzałość ewangeliczna – to postawy będą oczywiste. Wtedy nie trzeba się będzie bać o to, co się stało z pieniędzmi, jak powoływać radę... A kiedy nie ma ewangelizacji i nie ma dojrzewania do tego, co jest dojrzałym chrześcijaństwem, to się absolutnie niczego nie wymusi. W drugą stronę także: co ksiądz może „wymusić” na wiernym świeckim? Może „wymusić” bierzmowanie (np. przed zawarciem sakramentu małżeństwa), ale czy „wymusi” dojrzałą wiarę?... Czy to, co „wymusi”, będzie sukcesem (pomijając już ten aspekt, że działa wtedy wbrew prawu kościelnemu)? Czy



fikcją? I nadużyciem sakramentu?... Do dojrzałości się dojrzewa. Mamy w Kościele podstawowe środki, w które nie wierzymy! A one są następujące: głoszenie Ewangelii i sakramenty.

Jak już mówiłem, wiele faktów świadczy o dojrzałości Kościoła. Pan Bohdan Cywiński mówił o ludziach, którzy codziennie chodzą na Mszę świętą. Ja mógłbym opowiedzieć o ludziach, którzy przez cały Wielki Post i Adwent wstają o 6 rano, żeby przyjść do kościoła na liturgię. Istnieje też wspaniały Kościół ruchów, wspólnot. A jednak, zastanawia mnie mocno kierunek troski o Kościół podpowiadany przez Jana Pawła II. Papież, wiadomo, miał doskonały ogląd całego Kościoła – i tego nakazowo-urzędowego („parafialnego”), i tego „dojrzałego” (w ruchach). I przekonywał, że parafia się nie przeżyła, że trzeba zrobić wszystko, żeby ją odnowić i uratować. Także na Zachodzie, gdzie jak grzyby po deszczu wyrastają wspólnoty nieparafialne, które skupiają najrozmaitszych ludzi, są duchowni, świeccy, małżeństwa, celibatariusze. I te wspólnoty naprawdę żyją!

A teraz uwaga o lustracji. Czego dotyczy lęk? Nie tyle tego, że prawda wyjdzie na jaw, ale tego, że my nie potrafimy z nią nic sensownego zrobić. Czemu człowiek oskarżony o to, że był „TW”, nie ma odwagi się przyznać? Bo on nie wie, co Kościół (to znaczy: my, wierzący) zrobi z tą prawdą. Problem polega na tym, że brakuje dojrzałego myślenia o grzechu. Także o takim grzechu, który bardzo wielu ludzi dotyka, jest sprawą społeczną, publiczną.

W lustrację mogę się zaangażować jako historyk, nie jako człowiek Kościoła. W gestii historyków leży opisanie tego, co się działo w czasach komunizmu. Co natomiast jest funkcją Kościoła? Wychowywanie ludzi do przyjęcia tej prawdy. Póki co, nasza reakcja na zło nie odbiega w niczym od reakcji dziennikarzy. A ona ma być inna – i to wcale nie znaczy: przeciwna; raczej: komplementarna.

DANUTA SKÓRA: Czekamy na to, że Kościół zacznie nas wychowywać do przyjęcia tej trudnej prawdy. Że przestanie milczeć.

KRZYSZTOF BIELAWSKI: Bardzo mnie zastanowiło to, co ksiądz Ryś powiedział o dojrzewaniu. Myślę, że jest w nas wszystkich pragnienie, żeby Kościół był już Kościołem ludzi dojrzałych. A to jest



niemożliwe, bo dojrzewania nie można przyspieszyć, nie da się sprawić, żeby ludzie nagle stali się dojrzałi. To dlatego Kościół-instytucja musi nieustannie wchodzić w rozmaite kompromisy: rezygnować z marzeń o dojrzałości i godzić się na to, co jest. Pamiętam, słuchałem kiedyś wykładu pewnego patrologa, który powiedział, że gdyby on był rektorem seminarium, pozostawiłby trzech kleryków, a reszcie by podziękował. Ten wykład odbywał się w poniedziałek, a we wtorek ów ksiądz profesor został mianowany... rektorem seminarium. I co? I nic. Wszystko pozostało jak wcześniej.

Dojrzałość w ludzkiej postawie kojarzy mi się z cierpliwością i szcunkiem, które wyrastają z doświadczenia nieobiektywności i słabości własnych sądów, z przeżycia niezdolności do utrzymania młodzieńczej kontroli nad biegiem wydarzeń, z oddalonej nieco perspektywy spojrzenia na to, co w bezpośrednim zbliżeniu wydaje się zamknięte, negatywne, złe. To ta perspektywa pozwala zauważyć, że wszyscy jesteśmy w drodze, że linie naszego życia są krzywe albo nawet poprzerywane. W przyrodzie dojrzałość jest kwestią czasu, a w ludzkim świecie stanowi ona efekt doświadczeń, zazwyczaj trudnych, dramatycznych, które potrafią całkowicie zmienić nasz punkt widzenia. Ludzki dramat – także dramat błędnej decyzji, odejścia, zagubienia, negacji wartości – jest miejscem ujawniania się dojrzałości. Rozumieją to rodzice, którzy kochają swoje dzieci nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy te ich pocięchy poważnie błądzą.

Jestem przedstawicielem pokolenia, które w latach osiemdziesiątych masowo uczestniczyło w rozmaitych ruchach odnowy, oazach *etc.* Mieliliśmy poczucie, że jesteśmy solą ziemi, że zmienimy oblicze świata. Dziś z przerażeniem konstatuje, że 95-97 procent ludzi ze środowiska, które wtedy współtworzyłem, ma życiorysy mniej lub bardziej rozbite. To są autentyczne ludzkie dramaty, niemniej i w nich można i należy dostrzec jakąś wartość, która będzie budować naszą dojrzałość. Ale Kościół nie chce zauważyć, że to właśnie takie doświadczenia z człowieka (i katolika) niedojrzałego mogą potencjalnie uczynić człowieka (katolika) dojrzałego.

Wydaje mi się, że Kościół charakteryzuje głęboka arogancja, która wypycha zeń każdą inność i sprawia, że ludzie przeżywający trudne doświadczenia egzystencjalne nie potrafią znaleźć sobie w nim miejsca.



Dla mnie cechą dojrzałości jest szacunek, zyczliwa ciekawość. Tymczasem wydaje mi się, że Kościół charakteryzuje głęboka arogancja, która wypycha zeń każdą inność i sprawia, że ludzie przeżywający bardzo trudne doświadczenia egzystencjalne nie potrafią znaleźć sobie w nim miejsca. A to właśnie oni są i drogą, i bogactwem Kościoła! Sądzę, że stosunek do tych właśnie ludzi będzie jakimś wyznacznikiem dojrzałości Kościoła. W tej chwili natomiast nie ma do tych ludzi dobrego nastawienia; jest ono niesłychanie negatywne, wyłącznie i uprzedzająco krytyczne – w inności dostrzega tylko dewiację, błędzenie. A ja nie wiem, czy ci ludzie błędzą. To przecież są ludzie, którzy często nie potrafią odnaleźć w tym momencie swojego miejsca w tej rzeczywistości, ale bardzo często niosą ze sobą ogromne bogactwo duchowe, niewiarygodne wartości.

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA: Inaczej mówiąc, zastanawia się Pan, kto tu właściwie błądzi...

KRZYSZTOF BIELAWSKI: Tak, rzeczywiście zastanawiam się, kto właściwie błądzi...

KAROL TARNOWSKI: Uwagi księdza Rysia o dojrzałości chrześcijańskiej są, oczywiście, fundamentalne. Tyle tylko że termin ten jest

Nie ma w polskim Kościele ducha dialogu, szczególnie między świeckimi a duchownymi, ale nie tylko: także między księżmi a biskupami.

dość nieokreślony, charakteryzuje go duży stopień ogólności. Może on oznaczać co najmniej dwie rzeczy: po pierwsze, chrześcijańską świętość, „dojrzałość do nieba”, a po drugie (mniej maksymalistycznie), rozumienie i czynne świadectwo składane Kościołowi, tak jak rysuje się on po II Soborze Watykańskim. W tym dru-

gim znaczeniu objawem niedojrzałości jest na przykład traktowanie świeckich przez duchowieństwo, ale także samoświadomość świeckich jako biernych owieczek, wikłanie Kościoła w politykę przy niezrozumieniu ważnej jego roli jako głosu sumienia społeczeństwa i polityków itd. Kluczową kwestią w dochodzeniu do tego drugiego typu dojrzałości jest duch dialogu, który zakłada wzięcie na serio idei „ludu Bożego”, czyli pewnej podstawowej wspólnoty ochrzczonych,



w c z e ś n i e j s z e j niż rozgraniczenie na duchownych i świeckich. Stoją jednak na drodze do tej dojrzałości, jak mi się zdaje, trzy podstawowe zapory. Pierwszą z tych zapór jest stała tendencja do sakralizacji instytucji jako pewnej struktury, która jest przecież sprawą tradycji i dziełem człowieka. Ta trudna do analizy właściwość jest wypadkową czcigodnej tradycji, bezwładności instytucji i fałszywego przeświadczenia, że sama przynależność do instytucji, obejmującej przede wszystkim duchowieństwo, nobilituje, by nie rzec: kanonizuje. Do tego dochodzi wciąż trwający specyficzny polski triumfalizm, zadowolony – słusznie – z pełnych kościołów, a przede wszystkim z papieża-Polaka, ale w związku z tym nieinteresujący się indywidualnym i pogłębionym duszpasterstwem, które powinno przyjąć do wiadomości, że ludzie mają dziś więcej pytań niż gotowych odpowiedzi. A oto „zapora” druga (wielokrotnie już zwracano na nią uwagę): nie ma w polskim Kościele ducha dialogu, szczególnie między świeckimi a duchownymi, ale nie tylko: także między księżmi a biskupami. Powiedziałbym więc: brak w tym Kościele wzajemnej miłości i troski o poszczególnego człowieka, nie tylko przecież „ubogiego” – i z tej racji obiektu „zawodowego” chrześcijańskiego miłosierdzia. Znam przypadki fatalnego obchodzenia się biskupów z nowo wyświęconymi księżmi i całkowitego lekceważenia ich potrzeb. Myślę, że polski Kościół w o wiele za małym stopniu jest Kościołem świadectwa chrześcijańskiego. Do tego dochodzi wspomniany lęk przed niewierzącym światem i przed ludźmi nieortodoksyjnymi, ale poszukującymi. Wreszcie „zapora” trzecia: ogólny poziom kulturalny biskupów i księży, a także świeckich, jest – ze znamienitymi wyjątkami – bardzo niski. Polska to kraj duchowo sproletaryzowany, z odruchami chłopskimi i – by tak rzec – wczesno-kapitalistycznymi, z naciskiem na spektakularne i mające imponować swymi rozmiarami zewnętrzne formy: budynków, uroczystości liturgicznych, świadectw zamożności. Stąd pewna niechęć do pogłębiania duchowości, stąd niski poziom homiletyki i oficjalnych wypowiedzi kościelnych, stąd brzydota nowych kościołów i muzyki kościelnej, stąd także niechęć do „awansu” świeckich (znakiem tego „awansu” byłoby kształcenie świeckich teologów czy zatrudnianie ich w administracji kościelnej, choćby parafialnej).



Tymczasem sprawą żywotną w przekształcaniu się Kościoła w duchu II Soboru Watykańskiego jest pogłębianie kultury, otwieranie umysłów i poszerzanie sfery wrażliwości na wysokie wartości. Oczywiście, poziom kulturalny zależy w ogromnej mierze od szkolnego wychowania, ale nie widać w Kościele nacisku na samokształcenie i poszerzanie ogólnych horyzontów. Lepiej działać mniej, a myśleć i mówić mądrzej i głębiej – ludzie potrzebują przede wszystkim, nie zdając sobie często z tego sprawy, duchowego pokarmu, rozmowy, dzielenia się doświadczeniami, świadectwa.

Dojrzewanie chrześcijańskie jest, oczywiście, sprawą przede wszystkim indywidualnych dróg poszczególnych ludzi, ale jest także sprawą zdecydowanego przełamywania skostnień wewnątrz instytucji i otwartości na wyzwania i znaki naszego czasu.

BOHDAN CYWIŃSKI: Chciałbym jednak zwrócić uwagę na wyzwania, które stoją przed polskim Kościołem. Otóż uderza mnie jedna rzecz – wbrew temu, co sądziłem przez parędziesiąt lat, widzę, jak coraz ważniejszą rolę w naszym życiu publicznym odgrywa wieś. W Polsce północno-wschodniej zmienia się poziom socjalno-edukacyjny. W promieniu 30 km od mojej wsi na Suwalszczyźnie znajduje się jedna szkoła wyższa, która daje magisterium, i trzy szkoły licencjackie. W efekcie domy, w których nie ma kogoś, kto albo studiował, albo studiuje, zaczynają być w zdecydowanej mniejszości. Jak zatem Kościół przygotowuje się do nowych zadań wychowawczo-społecznych, biorąc pod uwagę to, iż w ciągu jednego pokolenia zmieni się współczynnik wykształcenia na wsi? Niestety, jeśli chodzi o obsadę kleru, jest bardzo różnie. Przeważają wzorce niedobre kulturowo i na ogół wątpliwe moralnie. Dla mnie było zdumiewające, że po doświadczeniu PRL-owskim znów się pojawił proboszcz pogardliwie odnoszący się do świeckich. Bardzo mnie razi, kiedy na przykład dziesięciu ludzi przede mną jest traktowanych jak śmiecie, a potem mówi się do mnie grzecznie: „panie profesorze, panie redaktorze”. On wie, jak się należy zachować, ale nie uważa tego za właściwe w stosunku do ludzi ze wsi. To jest chamstwo z premedytacją!

HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Bohdan Cywiński sformułował to dosyć drastycznie, ale rzeczą dojmującą jest nieraz jakiś wyczuwalny



brak dobrego stosunku księdza do wiernych. Jakiś brak miłości, wyrażający się w braku życzliwości, uwagi, cierpliwości. Jakiś lekceważący paternalizm. Często jest to po prostu brak elementarnej kadersztuby. Na pewno dotykam sprawy trudnej, bo z jednej strony są wielkie oczekiwania wobec księży, pragnienie, żeby się niejako „rozdawali” ludziom. A z drugiej strony ten ksiądz bywa przepracowany, musi przygotować kazanie czy katechezę, a tu go zadręczają sprawami nieraz błahymi. Więc ten ksiądz musi się jakoś bronić, zachować prywatność, czas konieczny do skupienia, do odpoczynku.

Uważam jednak, że każdy kapłan powinien sobie stawiać wysoki wzór – i na swoją miarę starać się do niego zbliżyć. Takim wzorem, który wszyscy widzieli, był Jan Paweł II. Jego słowa: „Człowiek jest drogą Kościoła” uzyskują konkretną pełnię wyrazu dopiero wówczas, gdy przypomnimy sobie tego papieża, tak niesłychanie ciężko pracującego, dźwigającego na sobie najtrudniejsze sprawy świata i Kościoła – i zarazem umiającego tak głęboko skoncentrować się na pojedynczej osobie i jej sprawach.

Każdy kapłan powinien sobie stawiać wysoki wzór – i na swoją miarę starać się do niego zbliżyć.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Naszemu Kościołowi Jan Paweł II nieprawdopodobnie wysoko podniósł poprzeczkę. Myślę, że oczekiwania ludzi świeckich w stosunku do księży są bardzo zobowiązujące także ze względu na osobę Papieża.

Tymczasem formacja księży rzeczywiście szwankuje. To widać na każdym kroku. W seminarium od dziesięcioleci niewiele się zmieniło – klerycy nadal muszą parami wychodzić do miasta, o godzinie 22 gaszą światło itd., czyli przetrwały mechanizmy życia koszarowo-nakazowego. Dzisiaj świeżo upieczony licealista trafia pod klosz na sześć lat, a po sześciu latach jest spod niego wypuszczany. Z drugiej strony dawniej ksiądz musiał odpowiadać na jakieś wyzwania. Choćby takie, że działała SB, że część kleryków była powoływana na dwa lata do wojska, że nie było żadnych przywilejów socjalnych ze strony państwa. Jednym słowem: ten, kto szedł do seminarium, wiedział, że czekają go trudności, także materialne.

Inna bolesna sprawa to niespełnione oczekiwanie, że Episkopat zajmie w różnych szczegółowych sprawach jasne stanowisko. Chciał-



bym na przykład wiedzieć, jakie jest jego stanowisko w sprawie Radia Maryja, a jakie w przypadku rozmaitych afer finansowych. Brak zdania jest gorszy od możliwej pomyłki.

**Nie wolno zamiatać
brudów pod dywan.
Trzeba było aż autorytetu
Ojca Świętego, następcy
Piotra, żeby kardynałom
powiedzieć rzecz tak
oczywistą!**

Największego rozczarowania Kościołem doznałem jednak, gdy powiedziano mi, że powinienem wyrzucić swoje akta z IPN-u do pieca. Okazało się, że przełożeni wiedzieli, kto kryje się pod pseudonimami tajnych współpracowników, ale nie chcieli nic w tej sprawie zrobić. Teraz pojawia się gigantyczny problem, bo

ludzie nie są przygotowani na bolesną prawdę. Zmarnowano tyle lat, w czasie których można było z tymi księżmi porozmawiać, przygotować ich do konfrontacji z ofiarami, z samymi sobą...

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA: Podobnie było z kwestią pedofilii w Kościele amerykańskim.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ: Otóż to! Ostatni raz spotkałem się z Ojcem Świętym 23 kwietnia 2002 roku, w dniu świętego Wojciecha. Papież zaprosił wtedy wszystkich księży, którzy studiowali w tym czasie w Rzymie, na Mszę świętą. Idziemy na 6 rano, a tu na placu stoją wozy transmisyjne, tłumy dziennikarzy – nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Okazało się, że tego dnia odbyło się spotkanie Jana Pawła II z kardynałami amerykańskim w sprawie skandalu w Kościele w USA i podczas tego spotkania z ust Papieża padły stanowcze słowa, że nie wolno zamiatać brudów pod dywan. Trzeba było aż autorytetu Ojca Świętego, następcy Piotra, żeby kardynałom powiedzieć rzecz tak oczywistą! My, księża, od każdego świeckiego wymagamy w czasie spowiedzi, żeby wyznał grzechy i przyjął mocne postanowienie poprawy i zadośćuczynienia, tymczasem nie zawsze tę samą miarą odnosimy do siebie. Marnym pocieszeniem jest świadomość, że nie tylko w Kościele polskim istnieje tendencja, by rzeczy wstydlivych nie ujawniać.

I jeszcze jedna uwaga. Jest rzeczą wyjątkową na skalę światową, że w Polsce nieprzerwanie od 17 lat nuncjuszem papieskim jest jedna i ta sama osoba, która na dodatek z racji swego pochodzenia może



nie być wolna od lokalnych relacji osobowych. Czego zatem oczekuję od papieża Benedykta XVI? Że pojawi się u nas nuncjusz Azjata, Afrykańczyk czy Francuz, który będzie pełnił tę funkcję przez 3-4 lata. Że Kościół w Polsce będzie traktowany jak każdy inny Kościół.

HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Skoro przeszliśmy do zadań Kościoła, przyznam, że szalenie mnie irytuje, gdy w co drugim kazaniu słyszę słowa ukorzeniające człowieka w jego bezradności. To jest taki chwyt, którym księża chcą się zbliżyć do ludu – że niby wiedzą, jak im jest źle, ciężko, że ludzie są biedni, spauperyzowani itp., ale nic z tego dalej nie wynika! Nie ma nawet wezwania do tego, żeby bogatsi podzielili się z biednymi. Wielokrotnie słyszałem kazania, w których wzbudzano takie wspólne ubolewanie, rozciamiwanie się w tej naszej biedzie i uciśnieniu i na tym poprzestawano. To jest działanie bardzo szkodliwe! (Notabene na taką mentalność, „uciśnioną” i bezradną, łatwo padają potem niedobre ziarna rozmaitych resentymen-tów, które pochodzą z Radia Maryja).

I ostatnia rzecz: Kościół instytucjonalny powinien bardziej się chwalić swoimi osiągnięciami. W dzisiejszym medialnym świecie to jest konieczność. Kiedy czytam biuletyny KAI, widzę dużo pozytywnych rzeczy, które dzieją się w polskich diecezjach i w zakonach i nie przebijają się, niestety, do mediów. Szkoda...

KRZYSZTOF BIELAWSKI: Kilkakrotnie już uczestniczyłem w podobnych dyskusjach i wciąż zastanawiam się, czemu one służą. Może chodzi o jakąś naszą autoterapię? Bo, powiedzmy sobie szczerze, Kościół to jest ogromna machina, która się kręci, i nie bardzo widzę możliwość, żebyśmy, podkładając jakieś kamyki, zmienili jej bieg. Pamiętam, jak kilka lat temu, w tym samym miejscu, rozmawialiśmy na podobny temat – i wówczas prowadzący dyskusję Jarosław Go-win powiedział, że Kościół w Polsce przypomina mu... ogromnego dinozaura, który ma wielkie nogi ludowej i szczerzej pobożności, gigantyczny brzuch administracji i... małą główkę z małym mózgiem. To było wyjątkowo trafne podsumowanie, niestety. I co z tym zrobić?! Co my możemy z tym zrobić?



KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA: Jak wiadomo, nawet drobny kamień może zmienić bieg lawiny – ja w to wierzę! Ale potrzeba wytrwałości i konsekwencji, odwagi i zapału. Kościół ciągle na nowo musi zmierzać się z niejednym wyzwaniem. Jak w zmieniającym się społeczeństwie głosić odwieczną prawdę o Chrystusie? Jak dotrzeć do ludzi? Jak stworzyć zróżnicowany program duszpasterski w miejscu trwania „od pielgrzymki do pielgrzymki” i nieustannego podpierania się papieżem – byłym lub obecnym? Jak walczyć ze „zrzednięciem” zarówno świeckich, jak i duchownych? Co z lustracją, z formacją księży, z upolitycznieniem? Jak nie ulec sformalizowaniu i nieustannie się odnawiać?

Jean Vanier powiedział: „Jezus wzywa bogatych do dzielenia się, a ubogich do nadziei”. To stwierdzenie mówiące o wspólności, o solidarności, o współczuciu, o miłości bliźniego w imię Chrystusa, odnosi się również do Kościoła. Jednakże jego głos musi być *w i a r y g o d n y*. A bez rachunku sumienia, bez spojrzenia na siebie „w prawdzie”, bez wspólnego podejmowania bolesnych, niewygodnych problemów w duchu dialogu i braterskiej miłości – to nie będzie możliwe.

Ta rozmowa przypomina mi trochę Lekcję anatomii doktora Tulpa: konsylium lekarskie pochylające się nad pacjentem. W naszym przypadku jednak ten pacjent żyje i – głęboko w to ufamy! – będzie żył. Co więcej, nie jest to nikt obcy, ale ktoś bardzo bliski, kochany... A może w ogóle stoimy przed lustrem i próbujemy zdiagnozować samych siebie? Bo przecież stanowimy część tego Kościoła. I jest w nas paschalna nadzieja, że – mimo słabości i pokus, na jakie w s z y s c y jesteśmy narażeni – „bramy piekielne go nie przemogą”. Bo nasz „pacjent”, choć schorowany, ma mocne SERCE. A tym sercem jest Chrystus.

Dyskusję prowadził Janusz Poniewierski

KRZYSZTOF BIELAWSKI, filolog klasyczny, tłumacz, red. nac. wydawnictwa Homini, inicjator Polskiego Towarzystwa Mertonowskiego.



TEMAT MIESIĄCA

BOHDAN CYWIŃSKI, historyk, publicysta, b. działacz opozycji, dr hab., wykładowca UKSW.

MAREK DONAJ OSA, prezbiter, augustianin, proboszcz krakowskiej parafii pw. Św. Katarzyny.

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA, nadzwyczajna szafarka Eucharystii, publicystka i tłumaczka.

KS. GRZEGORZ RYŚ, prezbiter związany z kilkoma nowymi ruchami w Kościele, historyk Kościoła, dr hab., wykładowca PAT.

DANUTA SKÓRA, polonistka, dyrektor wydawnictwa ZNAK.

KAROL TARNOWSKI, filozof, prof. dr hab., wykładowca PAT.

KATARZYNA WIERZCHOSŁAWSKA, tłumaczka związana ze środowiskiem wspólnot „Arki” oraz „Wiary i Światła”.

HENRYK WOŹNIAKOWSKI, publicysta, tłumacz, działacz katolicki, prezes SIW Znak.

KS. TADEUSZ ZALESKI-ISAKOWICZ, prezbiter, b. kapelan „Solidarności”, represjonowany przez SB, współzałożyciel i prezes Fundacji im. św. Brata Alberta, duszpasterz Ormian w Polsce południowej.



Stefan Wilkanowicz

Kościół bardziej chrześcijański, bardziej katolicki i bardziej kościelny

Po raz pierwszy w dziejach ludzkości rozwinęła się na ogromną skalę współzależność między ludźmi, którzy o sobie nic nie wiedzą. Po raz pierwszy pojedynczy „szary” człowiek może mieć duży wpływ na losy społeczeństw. Równocześnie nie podnosi się jego poziom moralny i poczucie współodpowiedzialności. Stawia to przed nami wszystkimi ogromne zadania.

Związek z Chrystusem

Przed ponad pół wiekiem zdarzyło mi się usłyszeć w czasie rekolekcji, że chrześcijanin to człowiek, który się czuje osobiście związany z Chrystusem. To zdanie powraca co jakiś czas i nie daje mi spokoju. Coraz częściej zadaję sobie pytanie: czy wielu mamy takich chrześcijan i czy ja rzeczywiście taki jestem? A jeśli staram się taki być, to w jaki sposób i z jakim skutkiem? Inaczej powiedziawszy: czy staram się Go naśladować? To naśladowanie często bywa odnoszone do ludzi wyjątkowych, „dusz wybranych”. Budzi ono nawet lęk. Pamiętam jakąś dyskusję, kiedy ktoś bardzo aktywny i dla Kościoła



zasłużony w odpowiedzi na postulat naśladownictwa zrobił gest wskazujący, że ma ochotę schować się pod stół. I ja też lękałem się tego słowa, odnosiłem je do mistyków i męczenników. Ale w końcu zrozumiałem, że dotyczy ono wszystkich chrześcijan i że na co dzień wyraża się na przykład w sprawach bardzo zwyczajnych – pozostawaniu w modlitewnej łączności z Nim i cichej życzliwości wobec wszystkich spotykanych ludzi.

Ale jak ma się to naśladowanie odnosić do życia w rodzinie, do pracy zawodowej, do działalności społecznej czy politycznej?

Próbowałem odnieść je do pracy dziennikarza. Oczywiście musiało to prowadzić do tezy, że dziennikarz ma kochać swoich czytelników, słuchaczy czy widzów. Ale co to w praktyce znaczy? Że musi pragnąć ich dobra. A najpierw uznawać ich prawo do informacji, do wiedzy.

I tu od razu problem – wybór informacji. „Naturalną” tendencją współczesnych mediów jest podwójne fałszowanie obrazu świata – z jednej strony jego pogarszanie, z drugiej upiększanie. Sensacyjne zło sprzedaje się lepiej niż skromne dobro, zatem trzeba je pokazywać, aby zyskiwać widzów i czytelników. Równocześnie konieczne są reklamy, które obiecują łatwe i natychmiastowe „szczęście” – wystarczy używać odpowiedniego proszku do prania czy też kosmetyków. Nie ma co ukrywać – wolność dziennikarza bywa ograniczana od strony politycznej czy ideologicznej, ale najmniej widoczne jest ograniczenie ekonomiczne – przez właściciela i reklamodawców – dzisiaj być może najbardziej niebezpieczne i powszechne.

Drugi dylemat: ulegać „pluralizmowi chaotycznemu”, który wprowadza relatywizm i rozbija człowieka, czy też starać się dokształcać go w sposób ułatwiający mu budowanie ładu wewnętrznego i społecznego? Ale przecież nie można go zanudzać wykładami, jak to więc robić? Drogą dyskusji? Jak łatwo przekształcają się one w demagogiczne popisy albo i pyskówki! Dialog bardzo łatwo przechodzi w kiepski teatr lub przepychanki, budzące złość lub odruchy wymiotne. Czasem myślę, że potrzebne są nam dyskusje całkiem anonimowe, bo biorąc w nich udział, można by mówić najszczerzej, poruszać najtrudniejsze i najbardziej delikatne, nawet intymne tematy, w sposób wnikliwy i swobodny. I wreszcie może najgłębszy



problem: pomaganie w rozwoju to także dawanie możliwości wypowiedzenia się, zachęta do własnej refleksji i dzielenia się własnymi doświadczeniami. Ale przecież sondaż opinii tego nie dają, raczej pokazują myśl zredukowaną i powierzchowne emocje. Trzeba szukać, skądinąd znanych, innych sposobów – na przykład ankiet będących zachętą do głębszej refleksji. Do powołania dziennikarza należy poszukiwanie mądrości i dobra ukrytego, pokazywanie najlepszych „szarych ludzi”. Ale jest to łatwe i nieraz sporo kosztuje – i czasu, i pieniędzy. Dobry dziennikarz, naśladowca Chrystusa, musi więc być bardzo dobrym dziennikarzem – tu nie wystarczą dobre chęci, jakaś niezobowiązująca życzliwość. Ani też kodeks etyczny, z konieczności wybiórczy, określający głównie to, czego nie wolno.

Związek z Chrystusem – od dzieciństwa

Czy nie potrzeba więc przemyśleć całej katechezy z punktu widzenia naśladowania Chrystusa? Być może nie jest to takie trudne, a dzieci bywają też święte, zawstydzają dorosłych. Warto je pokazywać wszystkim. Nie tak dawno byłem na pogrzebie dwunastoletniej dziewczynki, unieruchomionej na wózku inwalidzkim od wczesnego dzieciństwa, której proboszcz ze wzruszeniem dziękował za to, co zrobiła dla parafii (m.in. jako harcerka), a ludzie podchodzili do otwartej trumny i całowali ją. To może najwymowniej pokazuje powszechne powołanie chrześcijan i potrzebę wypracowywania różnych typów duchowości – czyli różnych sposobów bycia uczniami Chrystusa. I natychmiast pojawia się problem powszechnej, całościowej formacji dorosłych. W praktyce jej nie ma – bo niedzielne kazania nie mogą jej dać, mimo ogólnopolskich programów duszpasterskich. Największą trudnością jest przełożenie zasad na praktykę codziennego życia – jak to ma zrobić kaznodzieja mówiący do dzieci i staruszek, do rolników i techników, do pracowników administracji i bezrobotnych, do handlowców i nauczycieli? Z konieczności mówi o zasadach, często brzmiących jak ogólniki, z których trudno wyciągnąć praktyczne wnioski („ksiądz mówił tak słusznie, że nie zapamiętałem ani jednego zdania...”). Powiększa się więc rozdziew pomiędzy



zasadami i życiem, postępuje nieświadoma laicyzacja. Trudno będzie ją zahamować, jeśli nie zdołamy wypracować sposobów powszechnego kształcenia i samokształcenia. Opowiadano mi przed wielu laty, że w diecezji lublańskiej (w Słowenii) pracuje 100 prelegentów, którzy mają opracowane 333 tematy i systematycznie objeżdżają z nimi parafie. Ale i to nie wystarczy – podstawą musi być dzielenie się doświadczeniami życia chrześcijańskiego, kiedy duszpasterz daje ogólną orientację i pomaga oceniać wnioski, ale wszyscy muszą być czynni i odpowiedzialni – wszyscy muszą się zastanawiać, jak być dobrymi rodzicami, pracownikami, kolegami, sąsiadami, obywatelami. Tak się dzieje w wielu organizacjach i ruchach, ale muszą być one realnie włączone w parafialną wspólnotę, a nie nieświadomie ulegać „gettoizacji”. Nacisk współczesnej kultury (czy antykultury) powoduje pluralizm relatywistyczny i redukcjonistyczny, rozbija wewnętrznie człowieka i osłabia solidarność, promuje egoistyczną konkurencję, a nie dobro wspólne. Tylko głębszy związek z Chrystusem, najszerzej rozumiany, może się jej skutecznie przeciwstawić.

Kościół bardziej katolicki

Tę jego katolickość rozumiem nie tylko jako sakramentalną przynależność do wspólnoty Jego wyznawców, ale także jako powszechne poczucie współodpowiedzialności za wszystkich, za sąsiadów i za całą ludzkość. Tak jak Chrystus ofiarował się za wszystkich, także za tych, którzy Go nie znają albo nawet z Nim walczą. W dzisiejszej sytuacji człowieka i ludzkości jest to szczególnie ważne. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości rozwinęła się na ogromną skalę współzależność między ludźmi, którzy o sobie nic nie wiedzą. Ta współzależność radykalnie wyprzedza poczucie współodpowiedzialności, co stwarza groźną sytuację. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości pojedynczy „szary” człowiek może mieć duży wpływ na losy społeczeństw. Ma wielkie możliwości szkodzenia, i wydaje się, że te możliwości będą rosły. A równocześnie nie podnosi się jego poziom moralny i poczucie współodpowiedzialności. Przeciwnie, szerzy się ślepa nienawiść.



Stawia to przed nami wszystkimi tak ogromne zadania, że trudno nawet pojąć ich głębię i zakres. Narodowy socjalizm wprowadził kult nagiej siły. Komunizm zastąpił prawdę ideologią. W społeczeń-

Współdziałanie ludzi wierzących staje się koniecznością, a ratowanie człowieka i cywilizacji ich wspólnym zadaniem.

stwach liberalnych zakwestionowano możliwość prawdy. Wydaje się, że człowiek traci wycucie Transcendencji czy transcendencji (poczucia swego szczególnego powołania), zdolność do kontemplacji (religijnej lub naturalnej) oraz poczucie solidarności. Zysk i konkurencja stają się ideologią. W skali globalnej prowadzi to do atrofii

dobrych wspólnych, dominacji gospodarczych koncernów nad państwami. Gospodarka wolnorynkowa i demokracja rozchodzą się. Zmienność staje się wartością samą w sobie. Pluralizm ma więc charakter chaotyczny, pogłębiający kryzys. Nie wiadomo, jak i po co człowiek ma się rozwijać – poza zdobywaniem sprawności w konkurencji z innymi. W tej sytuacji współdziałanie ludzi wierzących staje się koniecznością, a ratowanie człowieka i cywilizacji ich wspólnym zadaniem. Ich współdziałanie musi być jednocześnie ich oczyszczaniem, usuwaniem niebezpieczeństwa agresywnego fundamentalizmu, nieraz ocierającego się o kryptosatanizm – co jest widoczne w postawach ideologicznych terrorystów. Wszelkie konflikty między wyznawcami różnych religii nie są jedynie ich „wewnętrzny” sprawami, szkodzą nie tylko im, ale całej ludzkości. Chrześcijanom praktyczny chrystocentryzm jest więc potrzebny jak powietrze – aby byli prawdziwymi chrześcijanami, aby byli zdolni do dialogu, aby służyli ludzkości.

Także więc ekumenizm nie powinien ograniczać się do dialogu teologów, ale położyć nacisk na dzielenie się doświadczeniami życia chrześcijańskiego, aby być lepszymi uczniami Chrystusa, aby lepiej służyć ludziom.

Kościół bardziej kościelny

Czyli bardziej wspólnotowy, a nawet rodzinny. Taki powinien być. Takim założył go Chrystus i takiego potrzebuje ludzkość. Co to jednak w praktyce znaczy? Może najprościej pokaże to konkretna



sytuacja. Kiedyś byłem na sumie w rzymskiej bazylice Santa Maria in Trastevere. Rozumiałem mniej niż połowę z tego, co tam mówiono, ale chyba po raz pierwszy w życiu czułem się za granicą jak członek parafialnej wspólnoty. Dlaczego?

Bo ta msza była wspólnym dziełem parafian. Nie było na przykład monotonnie i pośpiesznie odczytywanych ogłoszeń duszpasterskich, lecz wielogłos różnych grup działających na terenie parafii. Każda z nich mówiła o tym, co ostatnio robi, jakie ma problemy i plany, do czego zaprasza. Śpiewy były też przygotowane przez poszczególne grupy. Czuło się, że ta parafia jest rzeczywistą wspólnotą wspólnot.

Najważniejszym „kościelnym” doświadczeniem mego życia był Duszpasterski Synod Archidiecezji Krakowskiej, który pracował przez siedem lat, kierowany przez kardynała Karola Wojtyłę i przez Niego zakończony – już jako Jana Pawła II w czasie Jego pierwszej pielgrzymki do Polski. Synod otwarty dla wszystkich, w którym pracowało około 500 synodalnych zespołów studyjnych, w większości złożonych z bardzo rozmaitych świeckich. Zespoły te otrzymywały z Komisji Głównej Synodu jedynie założenia teologiczne poszczególnych dokumentów oraz pytania dotyczące sytuacji w ich środowiskach, ich potrzeb i zaleceń czy projektów odpowiednich działań.

Dokumenty były uszeregowane w ramach *tria munera Christi* (trzy posługi Chrystusa) – zatem obejmowały sprawy modlitwy i ofiary, przekaz Dobrej Nowiny i czynienie dobra. Mieściły się więc tam także zagadnienia rodziny, kultury, pracy i życia społecznego (niestety, nie udało się opracować dokumentu o sporcie). Zespoły, które podejmowały się pracy nad poszczególnymi dokumentami, przesyłały najpierw do odpowiednich zespołów redakcyjnych wstępne ich wersje (opis sytuacji i zalecenia). Zespoły redakcyjne dokonywały ich syntezy i odsyłały do zespołów studyjnych, które dalej dyskutowały ich treść. Następnie ich przedstawiciele spotykali się raz lub dwa, aby dalej dyskutować „na żywo”. W ten sposób projekt dokumentu dojrzewał stopniowo, aż do głosowania na sesji plenarnej. Była to metoda żmudna, ale potrójnie skuteczna: dokumenty były dobrze zakorzenione w lokalnej rzeczywistości, praca w zespołach była dobrą formą samokształcenia, a jednocześnie uczyła współdziałania i budowała wspólnotę ludzi, którzy się czuli odpowiedzialni za Kościół i na swój sposób uczestniczyli w potrójnej misji Chrystusa. Czegóż trzeba więcej?



Dziś myślę, że ten synod jest modelem Kościoła przyszłości – wspólnoty modlącej się, uczącej, gotowej do współdziałania, otwartej na potrzeby innych. I że ten system pracy nadaje się najpierw dla parafii, która normalnie powinna być wspólnotą wspólnot stale troszczących się o społeczność mieszkańców parafii, także niepraktykujących czy niewierzących. Spójrzmy na to od praktycznej strony: przecież w katolickiej Polsce niespełna połowa ochrzczonych praktykuje regularnie, a więc ma tylko sporadyczny kontakt z Ewangelią. A zatem nieuchronnie się laicyzuje, w praktyce odchodzi od chrześcijaństwa, zachowując niektóre obyczaje i resztki wiary, niemającej już realnego związku z życiem. Do niektórych z niepraktykujących księży docierają raz w roku na kilkanaście minut. Zatem bez zaangażowanych świeckich kontakt z nimi jest w praktyce niemożliwy.

Jego formy mogą być różne. I są, tylko mało się je zna – nie ma zwyczaju dzielenia się doświadczeniami, choć często jest czym. Indywidualizm, rutyna, brak wyobraźni – to bodajże podstawowe zagrożenia. A przecież tak łatwo jest się dziś komunikować – choćby przez Internet. Nowoczesna parafia – Chrystusowa wspólnota wspólnot – to także wzorzec i stymulator przekształcania naszej chorej cywilizacji.

Katolicy zorganizowani

Oczywiście nie tylko parafia – istnieją przecież rozmaite organizacje i duszpasterstwa zawodowe. Ale nie ma co ukrywać, że ich oddziaływanie jest raczej słabe, a działalność niekiedy symboliczna – jakieś nabożeństwo i spotkanie od czasu do czasu. Ponadto mają one zbyt często charakter „konsumpcyjny”, ludzie chętnie czegoś posłuchają i podyskutują, ale do działania się nie spieszą. Być może zresztą jest lepiej, niż to wygląda, bo nie ma zwyczaju dzielenia się doświadczeniami życia chrześcijańskiego – czasem dlatego, że dobro nie lubi się chwalić, a czasem dlatego, że działa tradycyjny polski indywidualizm oraz indywidualizm nowoczesny – konkurencja w zdobywaniu grantów.

Zatem Kościół kościelny to także realna i codzienna współpraca różnych organizacji, ruchów i duszpasterstw. Na terenie parafii i w in-



nym wymiarach. Nowoczesne duszpasterstwo zawodowe wyobrażam sobie też podobnie do pracy synodu – trzeba sformułować dobry wstęp teologiczny, rozpowszechnić go przez Internet, a potem pytać ludzi o ich problemy i trudności, dalej proponować dzielenie się doświadczeniami i formułować nowe projekty. Powinno się to odbywać po części anonimowo, bo w wielu wypadkach anonimowość zapewnia szczerłość – i poczucie bezpieczeństwa. Nieraz nie da się bezkarnie pokazywać sytuacji gorszących, nie zawsze należy narażać się przełożonym, nie zawsze należy wszystko pokazywać konkurentom. Jak tu otwarcie i konkretnie dyskutować o „szarej strefie” gospodarki, o sytuacjach korupcyjnych nacisków czy finansowych manipulacjach albo o trudnych sprawach małżeńskich? Czasem dyskrecja jest konieczna, a równocześnie konieczna szczerłość, bez której dyskusja nie ma sensu. Spowiedź przez Internet byłaby niewątpliwie nieporozumieniem, ale czasem to medium może służyć wzajemnej pomocy w przezwyciężaniu swoich grzechów i słabości, w szukaniu drogi.

Trzy kryzysy

Mamy do czynienia z trzema kryzysami, które w rozmaity sposób i w rozmaitym stopniu ujawniają się w skali lokalnej i globalnej. To:

- kryzys człowieka,
- kryzys społeczeństwa,
- kryzys władzy.

O kryzysie czy kryzysach człowieka wspomniałem powyżej. Oczywiście trzeba by tu wziąć pod uwagę różnice między różnymi kręgami kulturowym, ale ograniczając się do naszego, nie mogę się oprzeć coraz silniejszemu przekonaniu, że ludzie współcześni są jakby „nieadekwatni” wobec potrzeb ludzkości, ich ewolucja jest sprzeczna z jej potrzebami. Społeczeństwa pękają, dzielą się na „normalnych”, mających jako tako zapewniony byt i możliwość korzystania z praw ludzkich, i „odrzuconych”, trwale bezrobotnych czy bezdomnych lub też trwale bezsilnych wobec zdegenerowanej władzy. Będą się oni degenerowali, stając się coraz większym obciążeniem dla społeczeństwa, albo się zbuntują. Niektórzy sądzą, że pierwszym kra-



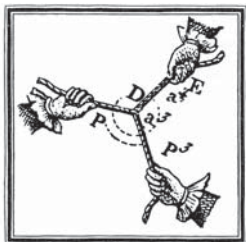
jem, który przeżyje gwałtowną rewolucję na tym tle, będą Chiny. Mamy do czynienia z trzema rodzajami władzy: państwową, gospodarczą i społeczną. We współczesnym świecie władza gospodarcza (głównie decydenci wielkich korporacji) coraz częściej dominuje nad państwową, zwłaszcza w biednych krajach Afryki czy Azji. Prowadzi do dominacji interesów pewnych grup nad dobrem wspólnym (bo celem każdego przedsiębiorstwa jest zysk, a o dobro wspólne ma się troszczyć państwo).

Władza społeczna, czyli dobrowolne instytucje samoorganizującego się społeczeństwa (wszelkiego rodzaju organizacje obywatelskie czy społeczne), wprawdzie się rozwija, ale daleko jej jeszcze do jakości i rozmiarów niezbędnych dla dobrego funkcjonowania całości społeczeństwa czy ludzkości.

Poziom kultury społecznej i politycznej rażąco odbiega od potrzeb poszczególnych krajów i całej ludzkości. Najczęściej brakuje nastawienia na dobro wspólne, wiedzy i umiejętności społecznego działania (czyli najpierw zdolności do empatii i dialogu).

Groźnym paradoksem jest przy tym to, że partie polityczne, zwłaszcza w czasie kampanii wyborczych, kulturę polityczną niszczą, w praktyce szerząc niezdolność do uznawania prymatu dobra wspólnego oraz do dialogu. Zachowują się tak jak przedsiębiorstwa, które dążą do zysku oraz eliminacji konkurentów, marząc o monopolu. Powoduje to także coraz większą krótkowzroczność, niezdolność do długofalowego planowania. Co ma do tego wszystkiego Kościół? Wszyscy jego członkowie mają obowiązek budowania kultury społecznej i politycznej opartej na poczuciu współodpowiedzialności i solidarności, niektórzy zaś angażują się – na własną odpowiedzialność – w działalność partii politycznych. Oby je uzdrawiali i uwrażliwiali na dobro wspólne.

STEFAN WILKANOWICZ, ur. 1924, b. redaktor „Tygodnika Powszechnego”, b. redaktor naczelny „Znaku”, kieruje Fundacją Kultury Chrześcijańskiej „Znak”.



Janusz Pyda OP

Jak pisać o Kościele?

Kiedy coś przestaje być prawdziwe albo fałszywe, dobre czy złe, ewangeliczne bądź nieewangeliczne, a staje się w zamian przedsoborowe albo posoborowe, otwarte czy zamknięte, „moherowe” bądź „tygodnikowe”, kategorie te nie służą już do opisu czy nawet do uczciwej oceny sytuacji. Stają się jedynie wyzwaniem rzuconym drugiej stronie.

Przyznam szczerze, że kiedy czytam mnożące się ostatnimi czasy wszelkiego typu prognozy, diagnozy, proroctwa i przepowiednie dotyczące stanu Kościoła w Polsce, mam wrażenie, że sam Kościół może być już solidnie znudzony natężeniem tego zainteresowania. Tym bardziej iż metodologia stosowana przez analityków sytuacji Kościoła w Polsce jest zaskakująco jednolita i od lat nużąco niezmienna. Można swobodnie wyróżnić przynajmniej kilka jej stałych elementów.

Otóż na samym początku należy dokonać, niezbyt drobiazgowego i możliwie zgodnego z publicystyczną tradycją, podziału Kościoła na: otwarty i zamknięty, soborowy i przedsoborowy, „tygodnikowy” i „moherowy”, ludowy i inteligencki, Kościół dialogu i Kościół dogmatu, łagiewnicki i toruński. Jak widać, każde z powyższych różnic oparte jest na dosyć podobnym schemacie myślenia.



Następnie należy dokonać identyfikacji biskupów, księży i publicystów oraz przyporządkować ich właściwym częściom Kościoła, wyróżnionym przez wcześniejszy podział. Ponieważ zwykle od samego początku widać wyraźnie, której ze stron sympatykiem jest przeprowadzający analizę, nie ma już potrzeby tego ujawniać. Teraz przychodzi czas na punkt trzeci i kulminacyjny dla większości analiz. Należy przedstawić nadzieje, jakie słusznie wiązać można i trzeba z przewagą „zwoleńników” Kościoła jednego typu nad zwolennikami Kościoła drugiego typu. W zależności od tego, czy analityk jest „tygodnikowy” czy „moherowy”, nadziejami i zagrożeniami są odpowiednio: dialog Kościoła ze współczesnym światem, zagrożeniem zaś osunięcie się w otchłań bezrefleksyjnej, podatnej na manipulacje pobożności zamkniętej albo – w wypadku analityka „moherowego” – nadzieją jest Kościół, który potrafi strzec prawdy przed relatywizmem napływającym ze współczesnej kultury i Europy, zagrożeniem zaś Kościół liberałów funkcjonujący równie pręźnie i wywierający wpływ na rzeczywistość równie wielki jak każdy inny związek wyznaniowy w Polsce. Charakterystyki i diagnozy polskiego Kościoła, dokonywane wedle tego typu schematów są tak powszechne i niezmiennie, że muszą powodować znużenie każdego, kto ma jakikolwiek zapał, aby próbować docierać do prawdy o rzeczywistości, stosując jednak różne punkty widzenia i modele poznawcze. Niestety rzecz jest zbyt poważna, by traktować ją jedynie jako powód do intelektualnej nudy. Przyczyn, dla których tego typu analityka rzeczywistości życia Kościoła w Polsce jest groźna, można wymienić co najmniej kilka.

O znakach czasu i socjologii Kościoła

Wszystkiemu, co napisałem, można postawić jeden, za to zdecydowanie fundamentalny zarzut. Otóż, czy jako chrześcijanie należący do Kościoła nie jesteśmy wręcz zobowiązani do rozpoznawania i odczytywania znaków czasu? Czy zaś zjawiska tego typu jak Radio Maryja, nurty bezpośredniego manifestu ortodoksji, takie jak środowiska „Frondy” czy „Christianitas”, czy wreszcie bezpośredni wpływ Kościoła na rzeczywistość polityczną nie są współczesnymi znakami



czasu, które trzeba zauważyć i mądrze odczytać? Czy zatem do tego celu nie są konieczne – być może uproszczone nawet, ale jednak użyteczne – podziały i rozróżnienia? Czy narzekanie na nudę i trywialność wspomnianych wyżej opisów Kościoła nie jest więc jedynie ucieczką przed realnymi problemami i znakami czasu?

Jestem głęboko przekonany co do słuszności tezy zdecydowanie przeciwnej, tej mianowicie, iż wspomnianego typu podziały przeszkadzają i w rozumieniu rzeczywistości Kościoła, i w jej opisie, i w odczytaniu znaków czasu. Zacznijmy jednak od początku.

Miejsce eklezjologów zajęli ostatnio socjologowie. Różnica między jednymi a drugimi jest zasadnicza. O ile eklezjolog „starej daty” za pierwsze swoje narzędzie uważał doskonałą znajomość historii i tradycji Kościoła, o tyle współczesny socjolog zajmujący jego miejsce za swoje podstawowe i wystarczające narzędzie uważa znajomość faktów medialnych z ostatnich dziesięcioleci. O ile dawni analitycy tajemnicy Kościoła czytali przede wszystkim traktaty teologiczne i dokumenty historyczne, o tyle współcześni komentatorzy sytuacji Kościoła czytają przede wszystkim gazety. Zmiana jest istotna. Pytanie tylko, czy na złe czy na dobre? Ja osobiście sądzę jednak, że zmysł obserwacji i zdolność oceny sytuacji zdecydowanie bardziej wyrabiają się przez krytyczne spoglądanie w przeszłość niż pewne siebie ocenianie i apodyktyczne analizowanie sytuacji obecnej. Dlaczego? Profesor Tatarkiewicz pisał kiedyś, że to właśnie po przeszłości „umysłowi najłatwiej się poruszać. Trudniej już jest z terażniejszością, którą mało znamy, choć jest obecna. A o przyszłości nic prawie przewidzieć nie możemy”¹. Myślę, że wiele jest mądrości w stwierdzeniu, iż terażniejszość mało znamy, mimo że ona właśnie jest obecna. Także terażniejszość Kościoła mało znamy, choć w niej uczestniczymy, żyjemy nią i ją właśnie tworzymy. Być może trzeba się trochę odsunąć, oddalić, aby wydać słuszny osąd i przeprowadzić niebanalną analizę. Ale do tego potrzebna jest bardziej cierpliwość mędrca niż polemiczny żar publicysty. Ilu to już publicystycznych prognoz dotyczących Kościoła w Polsce mogliśmy wysłuchać? Miał upaść po roku 1989, zaufanie do niego miały zniszczyć afery takie jak sprawa

¹ T. i W. Tatarkiewiczowie, *Wspomnienia*, Warszawa 1979, s. 143.



arcybiskupa Paetza czy ojca Hejmy, później autorytet Kościoła załamać miał się po śmierci Jana Pawła II. Jak dotąd żadna z przepowiedni socjologicznych proroków się nie sprawdziła. Co dziwne jednak, zupełnie nie odebrało to nikomu z odważnych analityków rezonu i pewności siebie w formułowaniu nowych odważnych scenariuszy i diagnoz sytuacji Kościoła w Polsce.

Jaka jest zatem recepta na skuteczne, intelektualne zaangażowanie się w aktualne sprawy Kościoła? Przychodzi mi na myśl postać kardynała Newmana, o którego myśli teologicznej Zygmunt Kubiak słusznie napisał, iż nie jest ona ani „przedsoborowa”, ani „posoborowa”, ale kieruje ku temu, co zawsze aktualne. Otóż Newman znalazł się w samym sercu wszystkich najbardziej aktualnych sporów, które toczyło ówczesne chrześcijaństwo – sporu o katolickość anglikanizmu, o możliwość rozwoju doktryny chrześcijańskiej z jednoczesnym zachowaniem niezmiennego charakteru orzeczeń dogmatycznych czy wreszcie sporu z całym brytyjskim empiryzmem o racjonalne uzasadnienie aktu przyświadczenia religijnego. Aktywność Newmana była zdecydowanie „na czasie”. Patrzył na współczesny mu Kościół – anglikański i rzymski – widząc z pełną ostrością i za-

Podstawową bolączką współczesnego Kościoła, szczególnie w Polsce, jest brak rzetelnych teologów.

skakującą wyrazistością wszystkie jego ówczesne problemy i potrzeby. Jednakże, aby je rozjaśnić i rozwiązać, sięgał przede wszystkim do teologii Ojców Kościoła. Główne dzieło Newmana – *O rozwoju doktryny chrześcijańskiej* –

które do dziś nie straciło nic ze swej aktualności, wówczas zaś było wręcz rewolucyjne, nie powstało w ferworze publicystycznych analiz, ale w toku studiów nad historią wiary Kościoła.

Myślę, że podstawową bolączką współczesnego Kościoła, szczególnie w Polsce, jest brak rzetelnych teologów. Dyskusje na podstawowe i najważniejsze tematy wiary, takie jak autonomia sumienia, wolność teologizowania czy posłuszeństwo instytucji Kościoła, zaczynają i kończą swój żywot nie na warsztatach badaczy i teologów, ale na szpaltach dzienników. Stwarza to niewątpliwie pozory dyskusji pomiędzy oponentami. W istocie jest jednak wyłącznie krzykliwym manifestem jedynie słusznych poglądów na wszystko. Chcę być dobrze zrozumiany: nie mam nic przeciwko publicznym dyskusjom na kon-



trowsyjne tematy dotyczące wiary. Idzie mi jedynie o to, iż tego typu debaty nie znajdują zazwyczaj przedłużenia w spokojnej i fachowej refleksji teologicznej. Publiczna dyskusja nie stymuluje rozwoju teologii, a rzetelnych i fachowych teologów mamy w Polsce, kraju przecież katolickim i szczącym się powszechnością wiary, jak na lekarstwo. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego niewątpliwie potężna polska wiara i pobożność nie rodzą równie wielkiej teologii? Obawiam się, że jedną z możliwych odpowiedzi na tak postawione pytanie jest teza, iż nasze narodowe pieniactwo i kłótniwość powodują – także w tej materii – „skierowanie pary w gwizdek”. Nasi teologowie wyżywają się i realizują w toku publicystycznej debaty. Nie zostaje im niestety zazwyczaj siły i energii na niewdzięczną i skrupulatną pracę nad źródłami wiary Kościoła. Rzecz jasna, w Kościele, jak w życiu, nie istnieją przyczyny izolowane. Żaden skutek nie dokonuje się za sprawą wyłącznie jednej, jedynej przyczyny. Brak dobrej teologii w Polsce to także pokłosie długich dziesięcioleci komunizmu, dwóch wojen światowych, które przetoczyły się przez nasze ziemie, nie oszczędzając elity duchowieństwa, czy wreszcie lat zaborów, które nie były czasem sprzyjającym teologicznej pracy. Niemniej jednak żadne uwarunkowania dziejowe nie tłumaczą chyba jednak do końca tego, iż najwyższe – co nie znaczy, że najwyższych lotów – dyskusje teologiczne dokonują się na łamach świątecznej „Gazety Wyborczej”, nie zaś na uniwersyteckich katedrach.

Przykład Newmana, który pozwoliłem sobie przywołać, jest dla mnie jednym z wielu dowodów na to, iż rzeczywiście twórczo można się zaangażować we wszystkie aktualne i bieżące dyskusje w Kościele i o Kościele jedynie wówczas, kiedy mocno tkwi się w znajomości historii i teologii Kościoła. W przeciwnym wypadku prawdziwa debata zastąpiona zostanie jedynie spotkaniem „gadających głów”, które tym się charakteryzują, iż mówić mogą o wszystkim długo i wytrwale – bez najmniejszych konsekwencji dla życia i wiary.

Historia lubi się powtarzać

Spoglądanie w przeszłość w wypadku dyskusji o aktualnym stanie Kościoła ma jeszcze jeden pozytywny wymiar – studzi emocje.



Kiedy czytam zaciekle polemiki mające wykazać wyższość duchowości „moherowej” nad „tygodnikową” czy też odwrotnie, jak kto woli, przypomina mi się sytuacja, która nie tak przecież dawno wycisnęła się pozytywnym piętnem na polskim katolicyzmie. Mam na myśli okres przedwojenny, kiedy to polską pobożność określało się albo przez odniesienie do ludowego Niepokalanowa, albo intelektualnych Lasek. Oba środowiska wydały świętych i oba przyczyniły się do rozwoju polskiego Kościoła. Przypomina mi się świetny esej Jana Józefa Szczepańskiego pt. *Święty*. Tekst zamieszczony w zbiorze *Przed nieznanym trybunałem* jest próbą charakterystyki postaci świętego Maksymiliana Marii Kolbego wolną od hagiograficznej czołobitności. Szczepański wprost przyznaje, że najprawdopodobniej w przedwojennych latach nie byłoby mu najbliższej do postaci świętego z Niepokalanowa. Styl duszpasterstwa, typ pobożności czy wreszcie zaściankowe i miejscami ponoć antysemityczne treści, które pojawiały się w publikacjach płynących z Niepokalanowa, nie pozwoliłyby katolicyzmowi intelektualistom na zbliżenie się do franciszkanina spod Warszawy. A jednak okazało się, że jego „uproszczony katolicyzm” wytrzymał próbę najtrudniejszą z możliwych, a jego pewnie niespecjalnie pogłębiona intelektualnie wiara stała się świadectwem prawdy o czło-

**Szczera pobożność,
niezależnie od uproszczeń,
którymi się posługuje,
potrafi rodzić
świętych.**

wieku w czasie największej pogardy. Nie idzie tu rzecz jasna o skojarzenia konkretnych osób i konkretnych dzieł ze współczesnego życia Kościoła z postaciami i inicjatywami sprzed bez mała wieku. Mam na myśli raczej to, iż szczera pobożność, niezależnie od swojego intelektualnego pogłębienia czy też jego braku, niezależnie od uproszczeń, którymi się posługuje, niezależnie od typu, do którego zostanie przypisana i zakwalifikowana – „moherowego” czy „tygodnikowego” – potrafi rodzić świętych. Czasami trudno to jednak zobaczyć.

Weźmy jednak przykład z drugiej strony historycznej barykady. Wydawnictwo PAX, środowisko z nim związane czy wreszcie sama postać Bolesława Piaseckiego muszą być oceniane krytycznie. Ale czy jednocześnie ktokolwiek zaprzeczy twierdzeniu o ogromnym wkładzie tego właśnie środowiska w kształt i rozwój intelektualny i duchowy Kościoła w Polsce? Mój znajomy zwykł był żartować, że



Bolesław Piasecki stawi się na sądzie Bożym z listą książek, które dzięki niemu i z jego inicjatywy zostały przetłumaczone i wydane – i to mu bardzo pomoże. Przywołuję ten przykład, żeby pokazać, iż rzeczywistość Kościoła potrafi być bardziej skomplikowana niż publicystyczne kategorie podziałów i rozróżnień. Trzeba zaś albo dużo mądrości, albo sporego dystansu czasowego, żeby właściwie ocenić, co było dobre, a co złe w konkretnych postaciach, środowiskach, wydarzeniach. Jeśli nie starczy na to cierpliwości, którą łatwo zastąpić telewizyjną zaciekłością „gadających głów”, być może zniszczone zostanie dobro, które mogło się jeszcze rozwinąć. Niewątpliwie zaś polemiczna zaciekłość służy wydatnie dodatkowej polaryzacji stanowisk i utrudnia jakiegokolwiek przerzucanie mostów pomiędzy i tak odległymi już brzegami.

Być może polscy katolicy mają dziś do siebie nawzajem znacznie mniej cierpliwości i znacznie mniej mądrości potrafią wykazać wobec sytuacji wewnątrz Kościoła, niż bez mała dwa tysiące lat temu wykazał pewien Żyd, faryzeusz, który przypatrywał się temu, co w związku z wystąpieniem Jezusa z Nazaretu działo się w obrębie Synagogi. Słowa Gamaliela mogą być dobrą radą dla wszystkich współczesnych analityków sytuacji Kościoła w Polsce: „Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeśli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie ich zniszczyć i może się czasem okazać, że walczycie z Bogiem” (Dz 5, 38-39). Jaka dziś jest ta „myśl” i kim są ci „oni”, każdy może sobie odpowiedzieć sam – w zależności od tego, czy osobiście uważa się za „moherowca” czy „tygodnikowca”, zobowiązany będzie do dokonania odpowiednich podstawień.

O powrocie do pewnych starych kategorii

Jestem przekonany, że stosowanie utartych kategorii w opisie Kościoła w rzeczywistości utrudnia jego adekwatną charakterystykę i właściwe odczytanie ważkich znaków czasu. Kiedy coś przestaje być prawdziwe albo fałszywe, dobre czy złe, ewangeliczne bądź niewangeliczne, a staje się w zamian przedsoborowe albo posoborowe, otwarte czy zamknięte, „moherowe” bądź „tygodnikowe”, kate-



gorie te nie służą już do opisu czy nawet do uczciwej oceny sytuacji. Stają się jedynie wyzwaniem rzuconym drugiej stronie. Natomiast „druga strona” zazwyczaj dumna jest ze swojego stanu i chętnie przyjmuje wszelkie możliwe określenia, które pozwalają wyostrzyć jej wizerunek. Sposób, w jaki określenie „moherowe berety” zrobiło karierę, jest tego najlepszym przykładem. Mechanizm ten działa rzecz jasna w obu kierunkach.

Chciałbym jednak pokazać przykład sytuacji, w którym zastąpienie prostych kategorii ewangelicznych kategoriami publicystycznymi zdecydowanie utrudnia ocenę rzeczywistości. Otóż, co jakiś czas na nowo rodzi się debata dotycząca roli świeckich w Kościele – zwłaszcza oczywiście w kontekście posoborowym. Nikt nie ma wątpliwości, że świeccy zaangażowani w Kościół być powinni. Problem tylko: jak to zrobić? W ostatniej odsłonie sporu o rolę świeckich w Kościele borykaliśmy się z problemem zasadności wprowadzenia w Polsce większej liczby świeckich szafarzy Eucharystii bądź stałego diakonatu mężczyzn żonatych i żyjących „w świecie”. Dla ścisłości dodajmy, że święcenia diakonatu *de facto* przenoszą zainteresowanego w szeregi stanu duchownego. Nie o to jednak tu idzie.

Integryści, czyli „przedsoborowcy”, byli przeciwni, progresiści, czyli „posoborowcy”, byli zdecydowanie za tego typu pomysłami. Jedni argumentowali, że jest to niepotrzebne zaciemnianie hierarchicznej struktury Kościoła i pomieszanie kapłaństwa powszechnego z kapłaństwem urzędowym. Drudzy twierdzili, że jest to próba otwarcia się na ducha Soboru i przełamanie monopolu księży na szafowanie sakramentami. Zdecydowanie mało było analiz stawiających sobie pytanie, jakie dobro w polskich warunkach pociągnie za sobą wprowadzenie stałego diakonatu, a jakie może nieść ze sobą niebezpieczeństwo. Osobiście słyszałem tylko, iż tego typu posunięcie ułatwi dostęp do Eucharystii osobom chorym. Problem tylko w tym, że każdy kij ma dwa końce. Dostęp do Eucharystii przynoszony przez diakona jednocześnie utrudni chorym dostęp do księdza, czyli np. do sakramentu pojednania, którego szafarzem diakon być nie może. Wiem z własnego doświadczenia, że pozostawienie troski o posługę sakramentalną osobom chorym wyłącznie szafarzom nadzwyczajnym Eucharystii czy nawet diakonom oznacza w pierwszym rzędzie to, że chorzy widywać



będą księdza dwa razy do roku – przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. A są to przecież ludzie, którzy często stoją na progu śmierci czy też doświadczają ogromnego cierpienia. Wymagają zatem szczególnej troski, być może nawet samego proboszcza parafii, który od czasu do czasu mógłby przecież celebrować Mszę w domu chorego, nie tłumacząc się istnieniem Mszy radiowej. Posługa spowiedzi wobec takich ludzi również powinna być szczególnie częsta. A ileż to razy się zdarza, że zwykła rozmowa z chorym człowiekiem przekształcić się może nieoczekiwanie w spowiedź z całego życia. Diakon w takiej sytuacji na nic się nie przyda. Nie odprawi Mszy i nie wyspowiada. Czy rzeczywiście kapłani w pierwszym rzędzie powinni odciążać się z obowiązków posługi sakramentalnej wobec chorych? Dlaczego tak łatwo znaleźć jest w parafii świeckich chętnych do przejścia kursu na nadzwyczajnego szafarza Eucharystii, a tak trudno znaleźć świeckich chętnych do utworzenia czy prowadzenia fundacji charytatywnej? A przecież w pierwotnym Kościele posługa Eucharystii zawsze ściśle związana była z troską o ubogich i chorych. Bo nie chodzi tu przecież o to, aby stać się na chwilę „półksiędzem”, ale by służyć. Czy rzeczywiście świeccy w pierwszym rzędzie powinni przejmować w Kościele te właśnie funkcje, które dotyczą udzielania sakramentów? Jeśli zaś kapłan z braku czasu w pierwszym rzędzie rezygnuje z posługi sakramentalnej chorym i cierpiącym, wówczas żadne powoływanie się na słowa Jana Pawła II, iż chorzy są skarbem Kościoła, żadne uroczyste Msze święte w dniu Matki Bożej z Lourdes nie potrafią go usprawiedliwić. Szczególnie mówiąc, bardziej ucieszyłaby mnie informacja, że biskup mianował świeckich administratorów dóbr materialnych parafii, niż to, że powołani zostali świeccy szafarze Komunii czy stali diakoni. I nie chodzi tu o to, czy jest to decyzja przedsoborowa czy posoborowa, ale o to, jakie dobro i dla jakich konkretnych ludzi może z niej wynikać.

Bardziej ucieszyłaby mnie informacja, że biskup mianował świeckich administratorów dóbr materialnych parafii, niż to, że powołani zostali świeccy szafarze Eucharystii.

Jeśli chociażby dyskusję o stałym diakonacie wciśniemy w kategorię debaty o Kościele przed- i posoborowym, otwartym i zamkniętym, klerykalnym i Kościele świeckich, wówczas nie zobaczymy spr-



wy jaśniej, a nasze horyzonty rozumienia sytuacji wcale się nie poszerzą. Wręcz przeciwnie, przegapimy wiele istotnych i decydujących szczegółów, które w żaden sposób nie pasują do publicystycznych schematów podziału Kościoła. Wspomniana kwestia to jedynie przykład – ale jest takich przykładów wiele.

Hiob i nowe kategorie

Zamiast podsumowania chciałbym sformułować dwie przestrogi dla wszystkich piszących i debatujących o Kościele.

Po pierwsze, trzeba bardzo troszczyć się o to, aby nie znaleźć się w sytuacji analogicznej do sytuacji przyjaciół Hioba. Kościół w Polsce rzeczywiście cierpi z powodu podziałów, grzechów i kłótni. Cierpienie Kościoła może wywoływać różne reakcje. Ważne, żeby nie wywołało takich jak reakcje Elifaza, Bildada czy Sofara wobec cierpienia Hioba. Być może nie warto się od razu wymądrzać i lepiej trochę poczekać z ferowaniem wyroków i obiegowych mądrości. Być może nawet cierpienie Kościoła nie warto zawsze wiązać z grzechem, który niewątpliwie jest obecny także w „świętym Kościele grzesznych ludzi”? Przypomina mi się historia rabina, który zwykł był mawiać: „Grzechy naszego ludu są liczniejsze niż piasek morski, ale nie z powodu tych grzechów nasz lud jest nienawidzony; ludzie nas nienawidzą z powodu naszych zalet”.

Druga przestroga – a właściwie rada – jest mniejszego kalibru, niemniej jednak uważam ją za istotną. Otóż warto poszukać nowych kategorii i nowych podziałów dla opisu rzeczywistości Kościoła w Polsce. Jeśli ciągle będziemy uparcie opisywać Kościół za pomocą dychotomicznych kategorii z niewielkimi modyfikacjami stosowanymi od lat, zanudzimy się na śmierć, a co gorsze niczego nowego w tajemnicy Kościoła nie dostrzeżemy – wszak granice naszego języka są granicami naszego świata.

JANUSZ PYDA OP, sekretarz Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów. Publikował w piśmie „Teofil”.



Ankieta

Czuć się jak w domu...

O wypowiedź na temat sytuacji polskiego Kościoła poprosiliśmy młodych ludzi. Zadaliśmy im trzy pytania: „Czego szukasz w Kościele? Co w nim odnalazłeś? Co Cię w nim rozczarowało?”. Ich głos – choć czasem mało dyplomatyczny, a często szorstki i buntowniczy – odczytujemy jako głos prawdy, godny naszego przemyślenia. Przecież to właśnie z młodzieżą Jan Paweł II wiązał szczególną nadzieję – nadzieję na przyszłość chrześcijaństwa. Słuchał jej cierpliwie i z pokorą, bo wiedział, że przywilejem młodości jest bystre i szczerze odszyfrowywanie zakłamania, skostnienia, formalizmu, rutyny – także wobec Kościoła, w którym – jak napisali uczestnicy ankiety – chcieliby czuć się zrozumiani, jak w domu...

Redakcja

Sabina Praski

Czego szukam w Kościele? Przede wszystkim tego, czego nie mogę odnaleźć albo czego po prostu poza nim nie ma: jakiejś pewności, stałości, równowagi. Kościół to bodaj jedyne miejsce, w którym można znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania, nawet jeśli czasem



odpowiedź ta brzmi: „bo Bóg tak chce”. To, z jednej strony, uczy człowieka pokory, z drugiej – paradoksalnie – pozwala mu odnaleźć najgłębszy chyba sens jego istnienia. Przekonujemy się, że czasem nie trzeba wszystkiego wiedzieć, nie trzeba rozumieć. Wystarczy po prostu wierzyć. Ale wiara ta nie jest ani naiwna, ani ślepa – Bóg, jakiego poznajemy poprzez nauczanie Kościoła, jest Bogiem miłosiernym oraz sprawiedliwym. Człowiek jest tym, którego ukochał On najbardziej i dzięki temu możemy sobie pozwolić na pełne zaufanie wobec Jego dzieła, a to dar, którego nie sposób nie docenić. Powtarzane w modlitwie „Ojciec nasz” słowa „bądź wola Twoja” są świadectwem naszej wiary, naszego oddania i zaufania właśnie; w trudnych momentach warto się w nie wsłuchiwać.

Bywa, że szukam także konkretnych odpowiedzi. To dziwne, ale czasami wystarczy tylko otworzyć Pismo Święte, by wiedzieć, co robić dalej. Podobnie jest z Kościołem – zdarza się, że z niedzielnej liturgii wychodzę niemal ośniona; a najpiękniejsza w tym wszystkim jest niezwykła prostota słowa Bożego, ot choćby takie: „mówić oznacza mówić prawdę”...

W Kościele szukam również samego Boga i Jego tajemnicy. Żeby powiedzieć, że się kogoś kocha, trzeba go najpierw znać, a to Kościół właśnie jest miejscem, w którym najpełniej mówi się o Bogu, tam też można Go prawdziwie poznać. Poznanie wymaga jednak pracy i poświęcenia – to coś, co nie jest nam dane. Kościół to miejsce, które, owszem, pokazuje drogę, ale równocześnie daje wolność jej wyboru. Uważam, że Kościół to miejsce rzeczywiście dla wybranych. Może nie wszyscy tak to widzą, ale – według mnie – we współczesnym świecie można nawet powiedzieć, że to miejsce dla ludzi... po prostu ambitnych, bo wymaga sporo samozaparcia i – jeszcze raz – pracy.

W Kościele szukam wreszcie ludzi, dobrych ludzi – którzy w życiu kierują się jego naukami. Ludzi z tak zwanym „moralnym kręgosłupem”. Sama chciałabym taka być i tylko takimi ludźmi pragnę się otaczać.

Co w nim znalazłam? Sens tego, co dzieje się wokół, a przede wszystkim prawdziwą siebie. W Kościele znalazłam odpowiedź na pytanie, jaka powinnam być, a właściwie – jaki powinien być każdy człowiek. To między innymi „prawda, sprawiedliwość i piękno” win-



ny rządzić naszym światem. Moja mama od najmłodszych lat powtarza mi, że „sprawiedliwość będzie dopiero na Tamtym Świecie”. Zgadza się. Twierdząc inaczej, oszukujemy samych siebie, z drugiej strony jednak na urzeczywistnienie tej sprawiedliwości, prawdy i piękna mamy spory wpływ. Może nie uda nam się uszczęśliwić, zmienić na lepsze całego świata, ale zawsze można zmienić choć siebie.

Niestety, w Kościele rzeczywiście kilka spraw mnie rozczarowało. Przede wszystkim ludzie. Księża, którzy powinni „świecić przykładem”. Wiem, że trudno jest oczekiwać od nich, by byli „chodzącą świętością”, żeby byli lepsi od nas, ale jednak od nich, mimo wszystko, oczekuje się więcej (zresztą na ich własne życzenie, bo przecież wiedzą, że życie poświęcone Bogu, Kościołowi i, na przykład, społeczności danej parafii jest inne niż to, które przeżywa osoba świecka – ona zawsze może zdecydować się na samotne życie tylko dla siebie, a ksiądz nie). Przykładów na nieodpowiedzialne zachowanie księży jest wiele i nie chodzi tu tylko o potworne skandale związane na przykład z pedofilią. Zupełnie inny, ale również bardzo przykry incydent znam z własnego doświadczenia. W moim rodzinnym mieście jeden z proboszczów miał nader wielkie ambicje, również polityczne (do tej pory nie wie on chyba, co znaczy słowo „pokora”). Niestety, wyżsi hierarchowie na to nie zareagowali, a wszystko skończyło się zniszczeniem pięknej idei katolickiego liceum...

SABINA PRASKI, studentka stosunków międzynarodowych (WSE im. ks. J. Tischnera) i bohemistki (UJ).

Olka K.

W Kościele szukam tego, czego najbardziej mi brak – wiary i nadziei. Wiary w to, że życie jest radosne, oraz nadziei, że wszystko ma jednak sens. Szczerze mówiąc, rzadko je tam znajduję. Dlaczego? Nie wiem. Jest kilka trudności, które nie pozwalają mi w pełni odnaleźć się w Kościele.

Po pierwsze, uważam, że Pismo Święte dla młodych ludzi nie jest łatwo przyswajalne, archaizmy utrudniają interpretację, a cała Świę-



ta Księga pełna jest sprzeczności, których zwykły człowiek nie jest w stanie ogarnąć. Trudno postępować wedle jej nakazów, kiedy z jednej strony każe nam kajać się i pamiętać, że jesteśmy marnym pyłem, a z drugiej – radować się wszystkim, co nas otacza; gardzić swoją osobą, ale jednocześnie kochać siebie jako dzieło samego Boga. Głosi równość, ale podkreśla, że kobieta powinna podlegać mężowi. Przykłady można by mnożyć. Do tego dochodzą rozmaite interpretacje różnych kaznodziejów powodujące mętlik myśli. Trudno w tej sytuacji traktować Biblię jako drogowskaz.

Po drugie, księża. Oczywiście, istnieją wspaniali duszpasterze z charyzmą, ale są oni, niestety, „towarem deficytowym”. Trudno skupić się na życiu duchowym, gdy tematem najzarliwiej poruszanym przez kaznodzieję jest wysokość ofiary pieniężnej. Osobiście spotkałam się z księdzem, który wymuszał wyższe składki, odczytywał, które małżeństwa „finansowały figurę”, oraz sugerował, na czym można oszczędzić, żeby „taca była cięższa”! Kogoś, kto wiarę opiera na kruchych podstawach, takie uwagi mogą skutecznie zniechęcić do pójścia na mszę, a człowiek niezamożny może poczuć się urażony. Pomijam już kwestię, gdy ksiądz alkoholik grzmi z ambony, nie zostawiając suchej nitki na pijących alkohol, a ten, o którym wiadomo, że ma dzieci, potępia cudzołożników. Jednak zjawiskiem najczęściej spotykanym jest nic niewnoszące kazanie, odbębnione byle szybko i byle jak.

Po trzecie, przeważnie niski poziom tzw. sztuki sakralnej. Być może się mylę, ale uważam, że jeśli ktoś tworzy coś z miłości do Boga, powinien to zrobić z pełnym oddaniem i całym sercem, maksymalnie wykorzystując swój talent. Mierne wytwory uwłaczają Bogu. W mojej parafii istnieje chór dziecięcy, który przeraźliwie fałszuje – Eucharystia z ich udziałem to jarmarczna kakofonia drażniąca wrażliwe uszy. Niech sobie dzieci śpiewają, oczywiście, tylko dłaczego od razu na forum publicznym? Nie rozumiem tego. Ważne treści nie powinny być przedstawiane w sposób karykaturalny. Jeśli nie można stworzyć w kościele sztuki najwyższej próby, to lepiej nie przedstawiać nic.

To wszystko, niestety, rozczarowuje. Być może jestem zbyt krytyczna, ale nic na to nie poradzę.



W Kościele odnalazłam, wbrew pozorom, dużo cennych rzeczy, tyle że najczęściej nie na mszy. Wiara chrześcijańska najbardziej trafia do mnie poprzez paradoks, tzn. poprzez lekturę dzieł o innych religiach czy też pozycji psychologicznych. Dużo zagadnień przedstawia się tam bowiem niemal identycznie, tylko jest to inaczej – przystępniej – ukazane. Również kontrowersyjne z punktu widzenia naszej religii książki wpływają na mnie podobnie. Kiedy przeczytałam *Ewangelię według Pilata*, Jezus stał mi się bliższy niż kiedykolwiek!

Smutne jest to, że dzisiejsza wiara jest nieelastyczna i zimna. Brakuje spontaniczności, zwyczajnego ludzkiego ciepła, poczucia wspólnoty. Niedzielna msza to dla większości jedynie obowiązek do zaliczenia. Jak inne.

Mam wielką nadzieję, że się mylę, że może w Kościele wcale nie jest tak źle, że może to tylko mój pesymizm ukazuje to w ten sposób. Hm... Więc jednak mam j a k ą ś nadzieję...

OLKA K., studentka resocjalizacji, nazwisko znane redakcji.

Anna M. Potrzeszcz

– Pewien proboszcz powiedział mi kiedyś, że szkodzi go, iż starsi ludzie mają większą wiedzę religijną niż młodzież zaraz po szkole – mówi mi Adam Izdebski, student Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. – Ci młodzi ludzie mają za sobą dwanaście lat nauki religii i nie do końca rozumieją, o co chodzi w podstawowych prawdach wiary. To wynika między innymi z koncepcji katechezy, jaka dominuje w Polsce. Mam wrażenie, że brakuje nastawienia na to, aby uczeń dowiedział się czegoś z historii Kościoła, żeby potrafił wyjaśnić dogmaty. Jakikolwiek sprawdzian z religii jest traktowany jak totalne kuriozum.

– Katecheza zamienia się często w luźną pogadankę... – dodaje Adam Gendźwiłł, także student MISH.

– I ludzie nie potrafią potem odpowiedzieć na pytania, które stawia im otoczenie, choćby na uniwersytecie – kontynuuje Izdebski. – A przecież trzeba umieć się obronić intelektualnie. Wiele katolickich



zasad moralnych wywołuje sprzeciw, bo wydają się irracjonalne. Ktoś musi umieć pokazać i uargumentować, że katolicyzm proponuje piękne i rozumne życie. Trzeba pokazywać, jak się obronić przed myślą, że chrześcijaństwo jest trudne i bezsensowne.

– Trudne może i tak – dopowiada Gendźwiłł. – Ale nie bezsensowne!

– Kiedy sięgnąłem po katechezy papieskie na temat małżeństwa, odkryłem piękny zarys duchowości – ciągnie Adam Izdebski. – Odkąd zacząłem się tym zajmować, zobaczyłem, jaką jedność stanowią prawdy wiary i wskazówki, jak mamy postępować.

– Do wielu ludzi przemawia też świadectwo autora takich wskazań – mówi Adam Gendźwiłł. – W tym wypadku jest nim Jan Paweł II. Ja sięgnąłem po jego encykliki: *Fides et ratio* i *Veritatis splendor*. Tam widać wyraźnie, że Kościół ma do odegrania dużą rolę w kształtowaniu wrażliwości na prawdę. Jest to szczególnie ważne obecnie, kiedy postawa nihilistyczna, również wśród młodzieży, staje się nadzwyczaj modna. Taka postawa niweczy zdolność do obrony przed złem. Chcemy być panami własnego systemu wartości, siebie czyniąc jego centrum. Mało kto jednak zajmuje się weryfikacją takiej konstrukcji – każdy może sobie wymyślić zbiór sprzecznych zdań i mówić: „to moje życiowe *credo*”. A przecież Ewangelia, Kościół, Prawda to autentyczne fundamenty, na których człowiek jest w stanie coś zbudować.

– Gdybym nie usłyszał orędzia Bożej Miłości, które przekazuje Kościół – konkluduje Adam Izdebski – pogrążyłbym się w nerwowych poszukiwaniach sensu. Łaska Boża, którą w wierze Kościoła otrzymuję, podnosi mnie z grzechu, czyni lepszym człowiekiem. To jest moje doświadczenie, jak najbardziej rzeczywiste.

ANNA M. POTRZESZCZ, studentka polonistyki (UW).

Marta Strzelecka

Rodzinne miasto. Kościół. Mury z czerwonej cegły. Duże prostokątne okna. Kolorowy witraż z wizerunkiem św. Stanisława Kostki.



Tuż pod nim główne wejście. Wieczór. Kościół oświetlony ze wszystkich stron. Uświadamiam sobie, że jestem tu zawsze mile widziana. Czy jednak chętnie korzystam z tego zaproszenia?

Niedzielne przedpołudnie. Kościół wypełniony po brzegi. Atmosfera wspólnej modlitwy.

– Zebraliśmy się tu dziś, aby wspólnie zastanowić się, czym jest cierpienie. Jaką wartość stanowi ono w życiu każdego chrześcijanina?

W tej chwili zdaje sobie sprawę, że trafiłam w odpowiednie miejsce. Tu zawsze znajdę odpowiedzi na nurtujące mnie od dłuższego czasu pytania. Rozmyślenia przerywa mi głos młodej kobiety:

– Arturku, bądź cicho, bo Bozia pogrozi ci paluszkami.

Do konfesjonau ustawia się długa kolejka. Zapewne wierni dostrzegli księdza, który z Pismem Świętym pod pachą zmierza, aby nauczać i nawracać wiernych.

Drewniany krzyż z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa przypomina mi, jak ważne jest cierpienie. A ja cierpię. Właśnie dzisiaj. Czuje się niezwykle samotna. Stoję wśród tłumu jako jedna z Bożych owieczek, a jednocześnie wierzę, że Ojciec zna mnie bardzo dobrze. Rozumie do głębi. Dostrzega mnie. I to mi pomaga.

Rozglądam się dookoła. Wysoki monumentalny budynek. Białe ściany, na których wiszą obrazy drogi krzyżowej. Uświadamiam sobie, że życie każdego chrześcijanina to właśnie taka droga krzyżowa. Ale czy to nie jest piękne?

– Cierpienie umacnia nas duchowo i zbliża do Boga – słyszę głos księdza właśnie rozpoczynającego kazanie.

Czasami wątpię... Wątpię w sens życia, w sens wiary. Wtedy niezwłocznie podążam do kościoła. I się wstydzę. Wstydzę się przed Bogiem, że nawiedzają mnie takie myśli. Klękam przed ołtarzem i usilnie modłę się do Ojca o przebaczenie. Oczekuję zrozumienia.

W kościele cisza. Pustka. Kościelny zamiata podłogę. Zastanawiam się, jak niezwykle moc ma w sobie Kościół. To miejsce, ta nieprzejednana cisza, pozwala mi, jak nigdzie, skupić się na własnym wnętrzu – na duchowym przeżywaniu. Spokój to coś, co zawsze mogę



odnaleźć w domu Bożym. I to niezwykle poczucie *katharsis* – oczyszczenia duszy i ciała ze słabości i wątpliwości poprzez modlitwę.

Henryk Sienkiewicz pisał: „Kościół jest stróżem przeszłości, piastunem teraźniejszości i siewcą przyszłości”. Kościół to niewątpliwie znak czasu. Święte miejsce, gdzie można zawsze zastanowić się: „Z jakim pytaniem zwraca się do mnie w tej chwili Bóg?”. Czy Kościół nadaje kierunek i sens życiu? Niewątpliwie jego nauka jest dla mnie opoką, na której zawsze mogę się oprzeć zarówno w tych miłych, jak i trudnych chwilach. To dzięki niej jestem pełna energii do życia, radosna i gotowa na nowe wyzwania... I za to wszystko jestem mu wdzięczna.

MARTA STRZELECKA, studentka filologii białoruskiej (UW).

Cartman

W kościele chciałbym czuć się jak w domu. Gdy jest mi źle, chciałbym do niego wejść i wiedzieć, że jestem u siebie. Kiedyś chciałem w nim znaleźć Boga, nawet wydaje mi się, że szedłem w dobrym kierunku, ale w pewnym momencie trochę się zagubiłem. Może po prostu dorosłem? Gdy byłem mały, mama i tata powiedzieli mi, że w kościele jest bozia. I była tam bozia. Przychodziłem do bozi – i razem śpiewaliśmy, i słuchaliśmy różnych historii, bardzo nam razem było dobrze i ja naprawdę bożię bardzo kochałem. Ale ja urosłem, a bozia nie. I tak ciągle do niej przychodzę i co tydzień razem oglądamy to samo przedstawienie. Bozia i ja. Ksiądz mi mówi, że Pan Bóg mnie kocha, że jest w trzech Osobach i że Jego Syn umarł dla mnie. I ja chciałbym wreszcie spotkać Pana Boga. Ale cały czas jest tylko bozia. A niestety ani ona, ani ksiądz nie chcą mi wyjaśnić niektórych spraw. Może nie jestem zbyt mądry – nie wiem, co to znaczy, że Bóg jest miłością, a bardzo chciałbym to wiedzieć. I czemu Pan Jezus musiał tak cierpieć, dlaczego Pan Bóg nie mógł powiedzieć: okey, w porządku, już się na was nie gniewam, bez całego tego cierpienia i nienawiści (bo budzi się we mnie nienawiść za każdym razem, gdy myślę o Piłacie, Judaszu, legionistach rzucających losy i od zawsze aż



po wieczność ogłupiałym tłumie krzyczącym „ukrzyżuj...”). Chcę się dowiedzieć, co ta śmierć zmieniła? Dlaczego bez zmartwychwstania nasza wiara nie miałaby sensu? Przecież Bóg stworzył wszystko, więc stworzył też śmierć. Bóg jest wszechpotężny (obydwoje z bożą to wielokrotnie słyszeliśmy), więc dlaczego musiał „pokonywać” śmierć? Przecież to Bóg ją stworzył i jak będzie chciał, to po prostu ją unicestwi. Bez walki. Tylko dlatego, że tak sobie zażyczy.

Czuję się więc rozczarowany. W Kościele nie odnalazłem prawdziwego Boga, takiego, w którego wierzę – Boga, który byłby mi bliski, którego mógłbym chociaż spróbować zrozumieć, patrzeć na to, jak działa (bo wierzę że działa w każdej chwili mojego życia). W Kościele Bóg nie jest dla mnie żywy, obecny. Odkrywanie Boga wydaje mi się czymś podobnym do sztuki – na niedzielnej mszy czuję się jak gość w galerii pełnej wspaniałych obrazów. Chciałbym dowiedzieć się, kto i dlaczego namalował te dzieła, chcę poczuć to, co czuł artysta, który je tworzył, chcę go zrozumieć, zobaczyć to, co chciał w tym obrazie przekazać. Zamiast mi pomóc, oprowadzający mnie po tej galerii powtarza tylko, że obraz jest wspaniały – godzinami, na sto różnych sposobów. I że musi mi się podobać.

Kościół zgubił dla mnie Boga w pięknych pozbawionych znaczeń słowach i wyuczonych gestach powtarzanych ze znużeniem. Bóg w nich umiera i kamienieje, zmieniając się we własną statuetę.

I gdy ksiądz mówi o złotym cielcu Izraelitów, wydaje mi się, że słyszę cichy ironiczny śmiech czegoś złego.

A ja i tak wiem, że mój Bóg jest.

I wiem, że chce żyć z nami i że chce być blisko.

I będę Go szukał.

Może bozia mi pomoże...

CARTMAN, student prawa (UJ), imię i nazwisko znane redakcji.

Barbara

Nie należę do osób, które bardzo aktywnie uczestniczą w życiu Kościoła, ale całym sercem należę do tej instytucji. Mimo swojego



dość młodego wieku, nigdy nie przechodziłam żadnego okresu buntu czy odejścia od katolicyzmu. Owszem, znajduję parę rzeczy, które uważam za karygodne i niedopuszczalne w Kościele, ale pamiętajmy, że tworzą go ludzie, to znaczy my wszyscy, dlatego zbyt surowa i bezpodstawna czasem krytyka jego poczynań bardzo mnie drażni.

W Kościele zawsze poszukiwałam tego, co w nim najważniejsze, czyli obecności samego Boga. W jakimkolwiek położeniu w życiu się znajdowałam, otwarte drzwi Kościoła były dla mnie ostoją. Wiele pomocy duchowej uzyskałam od księży. Obecnie przychodząc do Kościoła, już jako osoba w miarę dojrzała i z uporządkowanym systemem wartości, szukam wytchnienia i spokoju od wciąż szalejącego i zmieniającego się świata. Wydaje mi się, że siła Kościoła polega właśnie na tej stałości i mądrości.

Jednocześnie trzeba zaznaczyć, że pod pewnymi względami – tam, gdzie widać jego niereformowalność – Kościół wydaje się instytucją staroświecką. Zwłaszcza na młodych ludzi brak łatwiejszych rozwiązań w kwestiach takich jak na przykład ponowne zawieranie małżeństw działa zniechęcająco. Mnie jednak najmocniej rozczarowują do Kościoła niektórzy duszpasterze, których brak wiary i zainteresowanie jedynie własnym życiem budzą moralny sprzeciw.

Na koniec mogę stwierdzić, że Kościół mimo swej małości i słabości zawsze będzie stanowił dla mnie oparcie. Mam nadzieję, że nigdy nie zmienię swojej wiary. Może na moją decyzję ma wpływ katolickie wychowanie, ale na pewno także moje własne przemyślenia. Myślę również, że Kościół pomoże mi wytrwać przy Bogu i nie zwariować – albo raczej: nie zdziczeć – w dzisiejszym świecie.

BARBARA, studentka politologii (UJ), nazwisko znane redakcji.

Sławomir Szopa

Niewątpliwie w kwestii wiary balansuję na granicy. Zostałem wychowany w duchu katolickich wartości i tradycji, jednak całą otoczkę symboliczną religii uważam za przerost formy nad treścią. Ma na to istotny wpływ mój pogląd, iż to nie zewnętrzna żarliwość wiary, a ja-



kość życia wpływa na rzeczywistą wartość chrześcijanina. Krótko mówiąc, nie mogę pojąć, jak w ostatecznym rozrachunku miałyby mieć jakiegokolwiek znaczenie takie sprawy jak to, czy chodziłem na msze, czy jadłem mięso w Popielec albo czy potępiłem publicznie takie, a nie inne dzieło sztuki. To wszystko są tylko symbole – nie wiem, jaki jest ich cel, ale to nie one decydują o ewentualnym zbawieniu. Z tego wszystkiego wynika specyfika roli wiary w moim życiu.

Otóż, w moim wyobrażeniu życie jest podróżą, której początkiem jest moment narodzin, końcem zaś poczucie szczęścia w chwili śmierci. Szczęście to ma wynikać z wewnętrznego poczucia dobrze spełnionego obowiązku godnego życia i wypływać z najgłębszych pokładów świadomości, nietkniętych złem. W związku z tym od Kościoła oczekuję raczej, by był mi kompasem wskazującym właściwy kierunek postępowania niż dostarczycielem gotowych rozwiązań. Używając metafory podróży, chcę być sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, potrzebuję zaś jedynie instrumentów nawigacyjnych. Ścisłe kierowanie się wolą i zaleceniami Kościoła można z kolei przyrównać do wejścia na pokład wielkiego liniowca, który niechybnie dowiezie nas do celu, jednak wówczas, u kresu podróży, może pojawić się niedosyt. Znam dobrze niedosyt po szkolnej wycieczce, kiedy uświadamiam sobie, że wystarczyło nieco zbroczyć z drogi, by przeżyć coś wyjątkowego, bliższego własnym pragnieniom. Dlatego nie chcę, by Kościół mną ściśle kierował. Jestem również świadom tego, że nieumiejętna nawigacja może doprowadzić do katastrofy i śmierci przed osiągnięciem celu, jednak chętnie podejmuję takie ryzyko. I na razie, jak mi się wydaje, odnoszę sukces.

Kościół na ogół wyraźnie pokazuje właściwy kierunek. Zapewnia także poczucie wspólnoty, ważne w momentach podejmowania trudnych decyzji. Nie można jednak przemilczeć wielu drobnych i poważniejszych mankamentów. Istotnym, w moim przekonaniu, problemem Kościoła jest nieumiejętność modyfikowania swoich poglądów w obliczu rzeczywistości zmieniającej się pod wpływem nauki. Ponadto wielu księży, głównie tych „szeregowych”, nie chce w ogóle rozmawiać na tzw. trudne tematy, twierdząc, że „tak jest i koniec”. To zniechęca do myślenia albo do religii. Z mojego punktu widzenia niekorzystne jest także mieszanie się Kościoła, a zwłaszcza

znak



Jarosław Kupczak OP

Dar i komunia

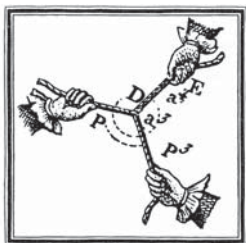
**Teologia ciała w ujęciu
Jana Pawła II**

To jedna z nielicznych polskich prac naukowych poświęconych istotnemu, a zarazem kontrowersyjnemu elementowi nauczania Jana Pawła II, jakim jest rozumienie ciała i ludzkiej seksualności. Autor analizuje głównie tzw. katechezy środowowe, głoszone w latach 1979-1984, poświęcone właśnie teologii ciała. Są to teksty mniej znane i rzadziej omawiane niż encykliki i inne oficjalne dokumenty Kościoła – tym większa jest zatem wartość książki, która będzie cenną pomocą dla wszystkich studiujących myśl Jana Pawła II.

pewnego jego odłamku, do polityki. Wskutek tego część społeczeństwa, w tym i ja, postrzega rząd jako „sterowany Radiem”, i to nie przez hierarchię rzymskokatolicką, a raczej element „toruńskokatolicki”, charakteryzujący się niesubordynacją wobec władz zwierzchnich i ambicjami politycznymi, a także wielką dozą nienawiści do coraz to nowych wrogów. Wydaje mi się to głęboko niechrześcijańskie, szczególnie, że jako liberał też czuję się owym wrogiem.

Mam nadzieję, że moja opinia nie urazi niczyich uczuć religijnych, a nawet gdyby tak się stało, liczę na wyrozumiałość. Popieram wiarę w kształcie, we jakim pokazywał ją Jan Paweł II – nieodrzucającą nikogo, akceptującą różne formy jej wyznawania i tolerującą odmienność.

SŁAWOMIR SZOPA, student
stosunków międzynarodowych
(UJ).



Ks. Jarosław Wiśniewski

Proszę, nie milczcie

Raport misyjny z Donbasu

Nie, nie mam pistoletu, by palnąć sobie w łeb, nie mam też ochoty umierać z głodu jak Yi Bok, choć potrafię głodować. Mam jednak jeszcze kilkudniowy abonament na Internet i nierdzewiący długopis. Może ten artykuł pomoże mi przetrwać lub jak skalpel rozetnie gordyjski węzeł, który tak mocno przywiązał mnie do misji na ukraińskim Wschodzie.

Kiedy zaczynałem pracę na Wschodzie, dowiedziałem się o strasliwym wypadku, jaki wydarzył się w Pakistanie: tamtejszy biskup popełnił samobójstwo. Znalaziono przy nim notatkę, że nie ma już sił walczyć ani spokojnie patrzeć na los chrześcijan w świecie muzułmańskim. Z punktu widzenia teologii postąpił strasznie: zgrzeszył przeciwko Duchowi Świętemu...

Kilka lat później, kiedy odwiedziłem Koreę, opowiedziano mi o Yi Boku, młodym koreańskim arystokracie, który żył dwieście lat temu i na studiach w Chinach zetknął się z jezuitami. Powróciwszy do domu, Yi Bok głosił Chrystusa w szkole Myong Dong w centrum Seulu, a także w licznych klasztorach buddyjskich, gdzie go uważnie słuchano. Władca Korei zagroził jednak ojcu Yi Boka, mówiąc mu, że syn chrześcijanin rzuca cień na dobre imię sędziwego dworzanina.



To miał być sygnał do dymisji, a nawet „rytualnego samobójstwa”. Starzec podzielił się z synem swoimi obawami, ale Yi Bok uspokoił ojca, że sam zmyje „hańbę” – przez dwa tygodnie nie przyjmował żadnych posiłków ani napojów. Umarł, lecz w ten sposób ocalił ojca, zapewnił sobie szacunek i ochronił chrześcijan od nagłych prześladowań (one nastąpiły później). W oczach Koreańczyków Yi Bok jest męczennikiem. Watykan jednak się waha i zachowuje dystans wobec tych ekstremalnych, wschodnich metod samoobrony.

*

Ukraina, dokąd rzucił mnie los po dziesięciu latach spędzonych w Rosji, jest bez wątpienia krajem europejskim, a jednak – gdy patrzymy na ten kraj z perspektywy wschodnich rubieży, na przykład z dalekiego Donbasu – myśl o Korei czy Pakistanie powraca. Przybysz z Polski łatwo może się tu zagubić pośród oznak despotyzmu, biurokracji i nietolerancji. Pomimo euforii Pomarańczowej Rewolucji ten kraj nadal jest dziwny (myślę tu zwłaszcza o tzw. Lewym Brzegu Dniepru, a przede wszystkim o zrusyfikowanym Donbasie). Katolicyzm – podobnie jak gdzieś, w dalekiej Azji – jest tutaj nadal spychany na margines.

Prehistoria budowy kościółka w Makiejewce

W ciągu ostatniego lata udało nam się wspólnie z parafianami zbudować kaplicę w ogródku. Pieniądze wpłynęły najpierw od darczyńców z Warszawy. Potem odwiedzili mnie: pani Ałła, starościna z parafii z Nowoczerkaska (Rosja), i pewien włoski biznesmen, który podwoili pierwotny kapitał. Włoch znalazł sobie w Makiejewce kandydatkę na żonę – zależało mu zatem, żeby kaplica była ładna. Wcale się temu nie dziwię. Zdumiała mnie jednak pani Ałła. Kiedy przed laty zaczynałem pracować na Wschodzie, ofiary były mizerne i płynęły głównie z Zachodu. Nie mogłem nawet marzyć, że kiedyś sytuacja się odwróci i że środki na moje misyjne utrzymanie będą pochodzić z Rosji.



Dziwna lista dziwnych sponsorów

Proszę się uważnie przysłuchać mojej opowieści. Będę wyliczał szczegóły dotyczące budowy i wydatków na jedyny katolicki kościółek w półmilionowym mieście w Donbasie. To są mikrowydatki i mikrosukcesy, wysiłek jednak był w skali makro.

Policzyłem niedawno w pamięci, że cała kapliczka (długa na 12, a szeroka na 6 metrów) kosztowała około 6 tysięcy dolarów. Wiele materiałów dostałem bezpłatnie od proboszczów z Zaporozża i Doniecka, jeszcze więcej z fabryki mebli „Forte”, gdzie pracują Polacy. Najbardziej wzruszający był jednak „wdowi grosz”, przynoszony mi nieustannie przez staruszki, moje parafianki... Każdego miesiąca – tuż po otrzymaniu renty – cichutko, bez rozgłosu, w ciemnym korytarzyku wręczały mi 10, 20, a czasem i 200 hrywien.

Ekipa budowniczych

Budowniczych trzeba było kilkakrotnie zmieniać. Mam tu na myśli „najemników”. Przychodzili nieregularnie. Żądali, żebym ich dowoził do pracy jak taksówkarz; zdarzało się, że sam im gotowałem i krzątałem się przy nich jak kelner, dopóki nie zauważyli tego (i nie zrozumieli) moi parafianie. Były to chwile naprawdę poniżające, gdy – jeszcze w maju ubiegłego roku – oprócz dwóch grekokatolików i pani Janiny, która sporadycznie gotowała, nikt nie pomagał nam w pracy.

Pewnego dnia nastąpił przełom. Dziwny poryw solidarności, która zmieniła się w „pospolite ruszenie” i odmieniła całą parafię. Stało się to na początku czerwca, kiedy za radą Wiktora, jednego z wolontariuszy, wprowadziłem listę dyżurów na budowie. Niestety, nikt nie chciał się na tę listę wpisywać. Stały już ściany z pustaków. Była kolejna brygada, a parafianie patrzyli na nas jak widzowie na spektakl teatralny albo mecz piłki nożnej. Przypomniałem sobie wtedy stare, dobre, seminaryjne czasy (gdy co roku trzeba było robić jakieś przedstawienie) i... odegrałem pantomimę. Ukląknęłam i powiedziałem, że nie powstanę z kolan, dopóki ktoś się nie zapisze. Dla wzmoc-



nienia tej prośby ogłosiłem głodówkę i... stopniały lody. Mamy dziś przepiękną kaplicę!

Wolontariusze

Owszem, w podziw wprawili mnie również mężczyźni, zwłaszcza Tadeusz i Leonid, dwaj emerytowani górnicy sterani losem, starsi od moich zmarłych rodziców. Zadziwili mnie, przychodząc regularnie raz na tydzień. W spiekocie pomagali „najemnikom” mieszać beton, wyciągać gwoździe ze starych podarowanych nam belek, piłować i konserwować konstrukcję dachu.

Zadziwili mnie dwaj księża grekokatolickcy, posyłając do mnie robotników (był wśród nich tato jednego z księży), narzędzia budowlane i myśl techniczną w formie porad (wszyscy wyrosli gdzieś w Karpatach, więc – tak jak nasi górale – mieli we krwi talent budowlany). Kilkakrotnie przyjeżdżali robotnicy z więzienia w Torezie. Ich przełożony, katolik, poprosił, żeby mi pomogli. Nie odmówili, choć prawosławni.

Pewnego razu, gdy trzeba było w pośpiechu zalać betonem przygotowane konstrukcje metalowe, pani Katia późnym wieczorem chodziła po osiedlu, szukając znajomych chłopców katolików, którzy z rzadka przychodzili do kościoła. Oni również nie odmówili.

Kobiety sprzątały, wynosząc na plecach góry śmieci na odległe wysypisko. Pani Ania pewnego razu wyrwała mi z rąk łopatę, bo zobaczyła, że słabo sobie z nią radzę. Panie Petrunia i Sonia – trudno w to uwierzyć: z wyglądu malutkie arystokratki, które niegdyś pracowały w kopalni pod ziemią – same tynkowały okna, gdy odeszła kolejna brygada niesolidnych robotników. Po pewnym czasie dołączyło do nich jeszcze kilka kobiet, tynkując ściany dłońmi, bez kielni.

Ukraińska „Porcjunkula”

Policzyłem jeszcze raz w pamięci i wyszedł mi niesłychany rezultat: od maja do października (to są dwa maryjne miesiące!) moje



parafianki zaoszczędziły 6 tys. hrywien (ponad 1000 dolarów) dzięki pracy w kuchni. Tyle bowiem musiałbym wydać, gdybym sam kupował produkty i utrzymywał kucharkę.

Wiele zatem czynów wpłynęło na rezultat, który przerósł nasze wszelkie oczekiwania. Biskup wprawdzie żartował, że będzie mandat za „dziką budowę”, ale publicznie – w dzień świętego Franciszka (to znaczy: dzień poświęcenia kaplicy) – postawił parafii zasłużoną piątkę.

Skomentowałem głośno: „Za mało Ekscelencjo, za mało!”.

Wiele trzeba by opowiedzieć o każdym z tych parafian, którzy wybierali ze schowków kawałki porcelanowych płytek, żeby powstała mozaika. O parafiance, która dwa miesiące pracowała, żeby ułożyć te płytki w piękny obraz Golgoty. O mężczyznach, którzy spędzili swój urlop na budowie; o klerykach i księżach z Polski; o reżyserce Natalii Kandudinej z Moskwy i wielu ludziach dobrej woli. Pozwólć jednak, że powiem dziś również o sobie.

Wymarzony urlop

Są to już trzecie moje wakacje na Ukrainie bez urlopu. Jestem czterdziestolatkiem, a to jest wiek, w którym – oprócz innych, duchowych przemian – zaczyna się walka z „bratem osłem”, czyli „tępiejącym z wiekiem ciałem”. Coraz częściej w arytmii „miga moje serce”, łatwo się zaziębiam, wiosną i jesienią otwierają się cztery duże szramy na głowie (pamiątka po wypadku, jaki przeżyłem kilka lat temu w Rosji), wracają stare migreny i depresje. Moja niespełniona prośba, żeby mnie wysłać z powrotem do Azji, daje mym ukraińskim wysiłkom posmak prawdziwej zsyłki. Owszem, jeszcze w czerwcu biskup Padewski z Charkowa pozwolił mi odwiedzić Koreę w celach „zarobkowych”. To był piękny pomysł na otarcie łez. Podzieliłem się tą wiadomością z Hiszpanami i zapewnili, że sfinansują tę podróż. Nie dojechałem. Ciągle były ważniejsze sprawy.

Piszę, co było... – życie nasuwa misjonarzowi straszne myśli o nagłej śmierci, by sobie tam w niebie odpocząć, by los katolików na Wschodzie kimś wstrząsnął, tak jak moja głodówka wstrząsnęła moimi



parafianami, którzy jednak obudzili się z letargu. W najśmielszych planach nie mogłem marzyć o tak pięknym, choć malutkim kościółku. Wiele osób zgodnie nazwało go Porcjunkulą – to dlatego poświęcony został w dzień św. Franciszka, inaczej być nie mogło.

Epilog

Prócz Makiejewki dojeżdżam do Artiomowska, gdzie również trwają prace budowlane: rekonstrukcja 144-letniego franciszkańskiego kościoła. Wiele ofiar złożyła firma „Forte”: między innymi na wykonanie nowego dachu z pięknej i drogiej dachówki. Parę tysięcy dolarów dostaliśmy od księdza z Gorłówki – zrezygnował z budowy nowej plebanii, żebym mógł zapłacić robotnikom za ich pracę. Efekt jest, choć w kościele nie ma światła ani ogrzewania, nadal wisi nam nad głową sztucznie dobudowane piętro, a na podwórku zewsząd otaczają nas rdzewiejące kamazy sąsiada bankruta, który – chcąc nie chcąc – oddał nam zabytkową świątynię, lecz zagracił plac i oszpecił kościół kilkoma garażami, których nie ma zamiaru burzyć ani się z nich wynosić... A jednak nad okolicą na wysokości 20 metrów góruje piękny krzyż. Jest też w środku ołtarza dar od Biskupa: piękne tabernakulum!

Kościółek kilkakrotnie odwiedzała miejscowa telewizja. Dzięki wysiłkom dwóch księży z Polski latem odbywały się w nim codzienne nabożeństwa. Teraz znowu, by podtrzymać ducha 20-osobowej wspólnoty, jeżdżę ostatkiem sił trzy razy w tygodniu 100 km w jedną i 100 km w drugą stronę, co – po wzroście cen benzyny – kosztuje około 200 dolarów miesięcznie. Zważywszy, że moja miesięczna taca wynosi około 50 dolarów, to wszystko jest na granicy szaleństwa.

Tym razem nie prosiłem Biskupa o wsparcie, bo wiem, że takich jak ja jest wielu. Latem pewien nieznany mi ksiądz przysłał intencje mszalne z Krakowa, inny ksiądz – zdaje się, saletyn – odezwał się nawet z dalekiej Szwajcarii. Można by rzec: powiodło mi się. Biskup siedzi bez intencji, a mnie dali trzy „gregorianki”. Te pieniądze jednak, jak kropla w morzu, utonęły w baku mojego samochodu i w wiadrach cementu... Dziś mam kaplicę i kościółek, lecz nie mam ani



grosza na benzynę i dojeżdżam do Artiomowska autobusami. Wracam późno, tułając się autostopem i ryzykując, że pod moją nieobecność ktoś spali, ograbi czy sprofanuje kaplicę, w której wciąż nie ma drzwi ani stróża – bo niby skąd?

Marzę, że dostanę księdza do pomocy, by jeździć mniej i częściej odpoczywać, żeby wziąć urlop... Opowiedziałem to wszystko nowemu dziekanowi i on lojalnie przekazał moje słowa Biskupowi. Usłyszał w odpowiedzi: „Niech Jarosław sam się troszczy o swoje utrzymanie”. Tak, zdaje się, robi każdy mężczyzna, a ja wciąż naiwnie pokładam nadzieję w przełożonych.

Dla tej i podobnych misji byłoby ratunkiem obsadzenie stałymi księżmi punktów dojazdowych, lecz i na ten pomysł Jego Ekscencja odpowiada: „Poczekajcie do wiosny”.

Rosja... dziki kraj, zwłaszcza Syberia ogromna. Nie pamiętam jednak, bym pracując tam, borykał się z tak wieloma sprawami bez nadziei, że pomoc nadejdzie...Nie, nie mam pistoletu, by palnąć sobie w łeb, nie mam też ochoty umierać z głodu jak Yi Bok, choć potrafię głodować. Mam jednak jeszcze kilkudniowy abonament na Internet i nierdzewiejący długopis. Może ten artykuł pomoże mi przetrwać lub jak skalpel rozetnie gordyjski węzeł, który tak mocno przywiązał mnie do misji na ukraińskim Wschodzie.

Niech ktoś tu przyjdzie na moje miejsce, niechaj dopomoże.

Pora, najwyższy czas, żeby przełożeni dali mi bilet do Korei, Chin czy chociażby Mongolii. Dziki człowiek, taki jak ja, złapawczy syberyjskiego bakcyła, pomimo najlepszych chęci nie przyda się na nic w Europie. Staralem się, jak mogłem, i zrobiłem wiele, pora już, niestety, odpocząć. Ukraina nie leży, jak bym tego pragnął, w Azji, lecz jest „sercem Europy”. Dlaczego sercem? Bo leży po lewej stronie.

PS Ten tekst odłożyłem na kilka miesięcy, bo wydał mi się zbyt „ponury”. Czekałem, by w mojej historii coś się zmieniło. Owszem, nadeszła ofiara na piec elektryczny do niedogrzanego kościółka w Artiomowsku, a nawet plik talonów na benzynę od firmy „Forte” która nieustannie mnie ratuje w trudnych chwilach. Tymczasem podczas kolędy przeziębilem nerki. Ponad dwa miesiące spędziłem w szpi-



talu – był czas pomyśleć o wielu rzeczach. Wiem, że już nigdy nie będę tak silny i aktywny jak przedtem. Nerki trzeba leczyć latami, najlepiej w ciepłym klimacie. Ja tymczasem nie mam komu oddać parafii, choćby na wakacje. No cóż, nikt nie gwarantował, że na misjach żyć się będzie w zdrowiu i dostatku.

Niedawno Ksiądz Biskup odwiedził mnie w szpitalu i przekazał sporo pieniędzy na najpilniejsze wydatki. Dobre wieści nadeszły też z Białegostoku: tamtejsza kuria przekazała ofiarę pieniężną na moje konto. Te pieniądze pozwolą mi przetrwać jakiś czas (opłacę zaległości za światło, gaz, telefon, wymienię okna w nieogrzewanym kościółku w Artiomowsku i zlikwiduję rudery, które zaśmiecają teren wokół świątyni). Parafianie w kolejnym górniczym miasteczku znaleźli posesję, gdzie będzie można się modlić... Nadeszły nawet intencje – pojawiła się również nadzieja!

Jeśli wśród czytelników tego tekstu znajdzie się ktoś, kto zechce wesprzeć moje misyjne starania, przypominam moje dane bankowe. Najbardziej jednak zależy mi na realnym osobowym wsparciu ze strony księży, sióstr i świeckich misjonarzy. Wszystkich zaś proszę: nie milczcie, zmówcie za nas zdrowaśkę i opowiadajcie o tym, że gdzieś, za miedzą, też są ludzie wierzący, którzy nie zawsze mogą w niedzielę uczestniczyć we Mszy świętej. Historia z czasów ZSRR, kiedy ludzie sami, bez księdza, głośno czytali mszał, powtarza się i dzisiaj...

86108 Makiejewka, ul. Lenina 30, www.orient.to.pl

Kredyt Bank SA, II O/Białystok, ul. Warszawska 14.

Wpłaty z Polski w PLN: 79 1500 1344 1113 4010 0139 0000,

wpłaty z zagranicy

w USD: PL 40 1500 1344 1113 4011 0402 0000 KRDBPLPW,

w EUR: PL 42 1500 1344 1113 4011 0398 0000 KRDBPLPW

KS. JAROSŁAW WIŚNIEWSKI, ur. 1963, duszpasterz, pracował w Rosji (na Sachalinie), skąd w 2002 r. wydalili go władze Federacji Rosyjskiej. Obecnie przebywa na Ukrainie Wschodniej (Donbas).



inspiracje

Klasyką już w pewnym sensie pracą o kryzysie w Kościele współczesnym jest *Uczciwość w Kościele Daniela Callahana* (Warszawa 1968). Polecamy również książkę niemieckiego psychoterapeuty **Manfreda Lütza** *Obezwładniony olbrzym. Psycho-analiza Kościoła katolickiego* (Bielsko-Biała 2003). Kto zaś chciałby ów obraz poszerzyć o perspektywę teologiczną, powinien sięgnąć po *Prawdziwą i fałszywą reformę w Kościele Yves'a Congara* (Kraków 2001).

Ciekawą prezentację problemów Kościoła w Polsce przynoszą powieści **Jana Grzegorzcyka**: *Adieu. Przypadki księdza Grosera* (Poznań 2003) i *Trufle. Nowe przypadki księdza Grosera* (Poznań 2004). Warto też czytać polską prasę – ciekawe teksty na ten temat ukazują się zwłaszcza w miesięczniku „Więź”, w „Tygodniku Powszechnym” oraz – sporadycznie – w „Rzeczpospolitej” i „Gazecie Wyborczej” (ostatnio na przykład dyskusja: *Kościół nauczający, Kościół słuchający*, „GW” z 25-25 marca 2006). Ważną wypowiedź na temat problemów Kościoła w Polsce przynosi również *List od byłego księdza*, opublikowany w 510 numerze „Znaku” (11/1997), i towarzysząca mu dyskusja.

Zawsze aktualny jest głos „proroków”. Na przykład: **Abbé Pierre'a** (zob. tenże, *Testament*, Kraków 1995), **ks. Stanisława Musiała** (zob.: **Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, Duchowny niepokorny. Rozmowy z ks. Stanisławem Musiałem**, Warszawa 2006) czy **ks. Józefa Tischnera**.



Michał Masłowski

„Ostatni polski romantyk”

Wiele cytatów i aluzji wskazuje, że Jan Paweł II myślał o swej misji osobistej, a także misji Kościoła, w duchu mesjanizmu – ale uniwersalistycznego, otwartego na wszystkie duchowe drogi ludzkości, a nie plemiennego, normatywnego, agresywnego. Nie tyle widział Polskę jako Chrystusa narodów, ile pragnął, by Polacy, opierając się – jak on sam – na kulturowym dziedzictwie, stawali się Chrystusem – wraz z wszystkimi ludźmi dobrej woli – w misji tworzenia i odkupienia świata.

To Czesław Miłosz nazywał wielokrotnie Jana Pawła II ostatnim wielkim polskim romantykiem. Niekoniecznie wielkim poetą, ale wielkim romantykiem, zwłaszcza w encyklikach. Stwierdzenie zdumiewające, gdyż encykliki, egzorty czy listy pasterskie nie są gatunkami literackimi. Ale wystarczy przypomnieć sobie, że niepoetyckie dokumenty, takie jak *Skład zasad* Mickiewicza czy listy Norwida, są ważnymi elementami twórczości ich autorów. Którymi zresztą Jan Paweł II również się inspirował, przejmując na przykład ze *Składu zasad* określenie Żydów jako „starszych braci”.



Traktowanie Papieża jako romantyka nie ma nic wspólnego z potocznym rozumieniem tego słowa, kojarzonego z idealizmem i płytkim sentymentalizmem, natomiast odsyła do realnego wpływu i świadomych nawiązań do myśli i postawy wieszczów, przede wszystkim Mickiewicza i Norwida. Albowiem w romantycznym spadku zawarta jest naszkicowana w symbolach nowa, rewolucyjna na owe czasy wizja postawy religijnej. Przyzwyczailiśmy się w szkole i w potocznych skojarzeniach utożsamiać polski romantyzm z patriotyzmem i walką o wolność, a w sferze indywidualnej – z nieszczęśliwą miłością i patetycznym gestem. I rację ma Maria Janion w stwierdzeniu, że po 1989 roku romantyczny paradygmat zachowań „patriotyczno-symbolicznych” wygasł. Ależ wszak romantyczny spadek nie sprowadza się do patriotyzmu tylko. Bardzo ważną jego częścią, choć stosunkowo słabiej opracowaną, jest uniwersalizm metafizyczny, nowe postawy religijne zakodowane w wielkich dziełach i zdecydowanie pionierskie w stosunku do ustaleń *Vaticanum II*, którego Karol Wojtyła był aktywnym uczestnikiem. Staralem się opisać ów „kopernikański przewrót” postaw religijnych kilka lat temu w książce o teatrze romantycznym, określając go jako „chrześcijański prometeizm” promujący aktywne postawy w świecie, wzywający wręcz do przekształcania świata przez ducha i ukazujący pewną ekwiwalencję działania w świecie i sakramentów.

Przywiązanie Karola Wojtyły do tej tradycji nie ulega kwestii: wielokrotnie czy to parafrazował, czy wprost cytował polskich poetów, i to w dokumentach oficjalnych, a w poetyckiej twórczości przejmował niektóre ich tematy, motywy, symbole. Wreszcie wprost wielokrotnie zaświadczał o swym przywiązaniu i wysokiej ocenie tej twórczości. O *Dziadach* napisał z okazji wystawienia utworu w teatrze Kotlarczyka, a o Norwidzie stwierdził, błogosławiąc w 2001 roku ziemię z anonimowego grobu, w którym poeta został pochowany, iż jest „jednym z największych poetów i myślicieli, jakich wydała chrześcijańska Europa” i że miał ogromny wpływ „na społeczny wymiar jego pontyfikatu”.

Romantyczny uniwersalizm Papieża został szczególnie poświadczony w czasie jego pogrzebu przez obecność przedstawicieli nie tylko państw, ale również wszystkich wielkich religii i wspólnot konfe-



syjnych oraz przez powszechną żalobę, w Polsce niezwykle dramatycznie przeżywaną. Polacy stracili w nim jakby ojca duchowego, przywódcę narodu – „bez korony”, który „na sławie” zbudował „ogromny swego kościoła”, bohatera narodowego, który – jak za chwilę zobaczymy – świadomie czerpał z romantycznego dziedzictwa.

Stało się to wyraźne zwłaszcza po elekcji. Przedtem w Polsce Ludowej, wspólnie z resztą episkopatu, choć swoistymi metodami, czynił to, co inni: budował kościoły, m.in. nowohucką Arkę, umacniał moralnie wiernych, otwierał bardziej niż Wyszyński Kościół na kulturę – wystarczy przypomnieć sakro songi. A potem... Jacek Kuroń wspomina, że na początku lat siedemdziesiątych spytał kardynała Wojtyłę, co by było, gdyby został wybrany na papieża (jego kandydatura była poważnie rozpatrywana). Na co ów podobno wykrzyknął: „O nie! Tu ja wszystko rozumiem, tu ja jestem u siebie, a tam są sprawy tak trudne, tak skomplikowane, nie” (*Wiara i wiara*, Warszawa 1990, s. 347). Ale znalazł przecież sposób na działanie, czerpiąc z kulturowej pamięci i niewyeksplorowanych złóż duchowego dziedzictwa kultury, która, jak stale podkreślał, jest podstawą tożsamości zbiorowej i żywiołem wiary. Bo – jak pisał – „wiara, która nie staje się kulturą, jest wiarą przyjętą w sposób niepełny, niewystarczająco przemyślaną i nie przeżywaną w duchu wierności”.

Nie sposób wyczerpać tematu w krótkim szkicu. Zarysujemy więc tylko problematykę, przypominając pierwsze, „autorskie” encykliki Papieża *Redemptor hominis* i *Laborem exercens* oraz późniejszą *Centesimus annus*, *List do artystów*, a także zachowania wcielające w znacznej mierze romantyczny Gest. Na zakończenie przyjdzie natomiast zastanowić się, czy ten model duchowości – ów paradygmat wewnętrznej postawy – rzeczywiście odszedł do przeszłości czy jest stale atrakcyjną propozycją w ponowoczesnym świecie liberalnego kapitalizmu, permissywnej moralności i relatywizacji postaw związanej z globalizacją.



„Człowiek drogą Kościoła”

Pierwsza encyklika stała się rodzajem programu i zapowiedzią nowego pontyfikatu. Zgodnie stwierdza się, iż jest najbardziej może osobista. I tam właśnie, od początku, pojawiły się wyraźne nawiązania do myśli religijnej polskiego romantyzmu.

Po pierwsze, chodzi o centralne i rewolucyjne stwierdzenie, iż człowiek jest „podstawową drogą Kościoła” (RH 13), a nie na odwrót, jak przez wieki nauczano. Gdyż Jezus Chrystus, który „zjednoczył się jakoś z każdym człowiekiem”, jest „pierwszą i podstawową drogą Kościoła” (RH 14), a zarazem „drogą do każdego człowieka” (RH 13). Schemat myśli ma więc tu charakter antropologiczny, Chrystus jest traktowany mistycznie („zjednoczenie”), ale i antropologicznie, jako model, norma człowieczeństwa. Co dotyczy nie tylko wierzących chrześcijan, ale wszystkich ludzi na ziemi. Jezus z Nazaretu pełni tu więc funkcję herosa dziejów: jest „ośrodkiem wszechświata i historii” (RH 1).

Jest to widzenie bardzo bliskie romantykom – wystarczy przywołać końcową iluminację z *Nie-Boskiej komedii*, „widzenie księdza Piotra” z postacią mesjasza zakorzenionego w historii i polityce czy opowiadanie Sobolewskiego z *Dziadów*, w którym niewinna ofiara polityczna przyrównana zostaje do męczeństwa Chrystusa.

Jeszcze ważniejszy, choć bardziej ukryty, jest nacisk położony na pragnienie, aspirację, jako na motor rozwoju człowieczeństwa i immanentną cechę jednoczącą wszystkich ludzi na ziemi. Podkreślone zostaje „to, co jest najgłębiej ludzkie: poszukiwanie prawdy, nienasycona potrzeba dobra, głód wolności, tęsknota za pięknem, głos sumienia” (RH 18). Chodzi też o to, że „człowiek nie może żyć bez miłości” (RH 10). Platońska triada Piękna, Dobra i Prawdy jako „kształtu miłości”, czyli „profilu Bożego”, natychmiast przywołuje na myśl Norwida z *Promethidiona*. Jest to właśnie język, który pozwala przekroczyć sztywne granice Kościoła instytucjonalnego i mówić o człowieku w ogóle, o każdym człowieku. Motor jednak owej dążności, owo pragnienie, tęsknota czy nienasycona potrzeba, przypomina przede wszystkim *Słowa Panny* Mickiewicza: „Żyłam Izraelem i w Izraelu cała, jako oblubieńcem i w oblubieńcu (...). Nadzie-



jami jego jak pierzem porastałam (...). Żądzami jego jako skrzydłami sięgałam Niebios”.

A powołaniem człowieka jest – jak u św. Pawła – współdziałanie w zbawianiu świata: Jan Paweł II cytuje List do Rzymian: stworzenie „aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia” (Rz 5, 12) i „oczekuje objawienia się synów Bożych” (Rz 8, 22). Motyw ten był szczególnie ważny zwłaszcza dla Słowackiego... Pragnienie jest motorem działania i rozwoju „dojrzałego człowieczeństwa”. Określenie to powraca wielokrotnie. A jest absolutnie kluczowe dla romantycznej antropologii. Wątków jest tu aż za wiele.

Po pierwsze, Mickiewiczowski „bohater przemian”, Gustaw, przekształca się w Konrada, a ten z kolei staje się Pielgrzymem. Z niejasną zapowiedzią, iż on to być może zrealizuje mesjaniczną rolę Męża czterdzieści i cztery. Ważne tu są nie kolejne progi nawet, ale zasada indywidualizacji poprzez wzięcie odpowiedzialności za problemy zbiorowości – ludzi. Ten wątek odpowiedzialności powraca wielokrotnie u Papieża. U Mickiewicza wiązał się dodatkowo ze zdobywaniem mocy, jak w wierszu *Snuć miłość*, gdzie im więcej miłości się rozda, tym większą moc, wręcz Boską, się zdobywa. By tym więcej móc dokonać.

Schemat rozwoju osobowości u Papieża bliższy jest jednak Norwida niż Mickiewicza. Jest to rozwój przez pracę, szczególnie omówiony w drugiej wielkiej autorskiej encyklice Jana Pawła II *Laborem exercens*. Podstawowa jej myśl zarysowana jest w słynnym fragmencie z *Promethidiona* cytowanym przez Papieża w *Liście do artystów*:

Bo piękno na to jest, by zachwycalo
Do pracy – praca, by się zmartwychwstało

A tak oto Papież rozwija tę myśl w encyklice: „przez pracę bowiem człowiek nie tylko przekształca przyrodę (...), ale także urzeczywistnia siebie jako człowiek, a także poniekąd bardziej »staje się człowiekiem«” (LE 9). I dalej: „człowiek, stworzony na obraz Boga, przez swoją pracę uczestniczy w dziele swego Stwórcy” (LE 25), a także „współpracuje w pewien sposób z Synem Bożym w odkupieniu ludzkości” (LE 27).



Według Norwida – którego Jan Paweł II często cytuje – człowiek „jest to kapłan bez-wiedny / I niedojrzały” (*Sfinks* [II]). Każdy człowiek. O tym aspekcie również Papież wspomni, podkreślając posłannictwo człowieka – jako kapłana, proroka i króla. Którego zadaniem jest wychowywanie innych w prawdzie, w dojrzewaniu do miłości i sprawiedliwości – i to we wszystkich dziedzinach życia, każdy w swoim zawodzie, każdy według swych umiejętności i potrzeb (LE 19). Ażeby „ureczywistnić dojrzałe człowieczeństwo” (LE 21).

Właśnie: dojrzałe człowieczeństwo, odpowiedzialność, uczestnictwo w dziele stworzenia... Słysząc w tych stwierdzeniach głos Mickiewicza, który i prywatnie, i z katedry w Collège de France nawoływał do przekroczenia „wiary dziecinnej” – sentymentalnej i naiwnej – i wzywał do „wiary dorosłej”, do wzięcia odpowiedzialności za świat.

Wreszcie zasada interioryzacji wiary, głoszona przez Jana Pawła II, choć znana od wieków, traci tu swój charakter mistycznej ucieczki od świata. Wielokrotnie o tym pisali i Mickiewicz, i Norwid, tworząc rodzaj heroicznego modelu wiary, by zrealizować zasadę aktywnego naśladowania Chrystusa nie tyle w Jego ascezie, ile we wzięciu udziału w zbawianiu świata, jak do tego Papież wzywa. Norwid pisał w *Promethidionie*: „Nie za sobą z krzyżem Zbawiciela, ale za Zbawicielem z k r z y ż e m s w o i m, ta jest zasada wszech-harmonii społecznej w Chrześcijaństwie...”.

Model wiary heroicznej, w którym „każdy jest Chrystusem, w różnym stopniu”, różni się od praktyki i nauk przedsoborowych i jest zbieżny z wypracowanym w polskim romantyzmie modelem wiary.

Ów model wiary heroicznej, w którym – można by powtórzyć za Louis-Claude’em de Saint-Martinem – „każdy jest Chrystusem. W różnym stopniu”, wystarczająco różni się od praktyki i nauk przedsoborowych i zbyt jest zbieżny z wypracowanym w polskim romantyzmie modelem wiary, by można to uznać za przypadek. Szczególnie charakterystyczny dla tego modelu jest zwłaszcza wymiar wspólnotowy wiary, a także napięcie między zbiorowością a jednostką.



„Lud ludów”

Na Soborze Watykańskim II uchwalona została nowa definicja Kościoła nie jako przede wszystkim instytucji tworzonej przez hierarchów, lecz jako „Ludu Bożego”, kapłańskiego i mesjanicznego, zdążającego do celów ostatecznych, który zostaje obdarzony hierarchią, by mu służyła. Granice przynależności nie są tu ostro wytyczone, a przypominają raczej koncentryczne kręgi: do Ludu Bożego należą oczywiście wszyscy ochrzczeni. Jednak także ci, „którzy bez własnej winy nie znając Ewangelii Chrystusowej i Kościoła Chrystusowego, szczerym sercem jednak szukają Boga i wolę Jego przez nakaz sumienia poznaną starają się pod wpływem łaski pełnić czynem, mogą osiągnąć wieczne zbawienie” (*Lumen gentium*, 16). W czasie soboru ów kopernikański przewrót w definicji Kościoła, odwołującej się do określenia „Lud Boży” i stawiającej wspólnotę przed hierarchią, zaproponowany został przez młodego arcybiskupa Krakowa.

W *Redemptor hominis*, swej pierwszej encyklice, młody Papież interpretuje te sformułowania w sposób jak można najszerzy: „Jeśli to Ciało mistyczne Chrystusa jest (...) Ludem Bożym, to znaczy, że każdy człowiek jakoś objęty jest w nim tym tchnieniem życia, które pochodzi od Chrystusa”. Kościół musi więc być „zjednoczony z każdym człowiekiem” (RH 18). A w innym miejscu, omawiając apostołską i misyjną jedność Kościoła, podkreśla jednocześnie wagę „skarbów duchowych ludzkości” zawartych w innych religiach, owych „*semina Verbi*”, i stwierdza: „Zbliżamy się równocześnie do wszystkich kultur, światopoglądów, do wszystkich ludzi dobrej woli” (RH 12). Wreszcie, wspominając działanie Ducha Świętego i modlitwę do Niego, zauważa, iż: „To wołanie do Ducha – i o Ducha – jest odpowiedzią na wszystkie »materializmy« naszej epoki. (...) Czy można powiedzieć, że w tym wołaniu Kościół nie jest sam? Można tak powiedzieć, skoro »zapotrzebowaniu« na to, co duchowe, dają wyraz różni ludzie, pozornie nieraz stojący poza widzialnymi wymiarami Kościoła” (RH 18).

Przypominam to wszystko, bo w swej interpretacji ustaleń *Lumen gentium* Jan Paweł II zbliża się do rozumienia Ludu Bożego w duchu Mickiewiczowskiej metafory „ludu ludów”, z „widzenia



księdza Piotra”. Czy znowu, w następnej encyklice *Laborem exercens*, podkreśla w duchu Norwidowym jedność ludzkości samotworzącej się przez pracę: „Ów proces zaś [podporządkowywania ziemi przez pracę] jest równocześnie uniwersalny: obejmuje wszystkich ludzi, każde pokolenie, każdy etap rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, a równocześnie jest to proces przebiegający w każdym człowieku, w każdym świadomym ludzkim podmiocie” (LE 4). I dalej: „celem pracy (...) pozostaje zawsze sam człowiek” (LE 6).

Pojmowanie „wszystkich ludzi dobrej woli” jako Ludu Bożego w szerokim sensie jest więc mocno ugruntowane w antropologii wiary Jana Pawła II i zgodne z romantyczną polską tradycją. Tak samo zresztą jak i wielokrotne podkreślanie, iż instytucja ma służyć człowiekowi, a nie człowiek instytucji. Polska myśl polityczna od czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej broniła tego przekonania skryształizowanego szczególnie jasno w pismach Mochackiego i Lelewela, iż to naród się liczy, a nie państwo, a zbyt silna władza polityczna niszczy wręcz więź wspólnoty, która traci siły potrzebne do przetrwania. Człowiek, naród, kultura stoją przed państwem (RH 17), tak jak w pierwszym rządzie Kościołem jest Lud Boży, a nie hierarchia, która ma mu służyć.

To odwrócenie pierwszeństwa, zakorzenione w uchwałach *Vaticanum II*, wzmacnia wymiar etyczny zarówno więzi zbiorowej, jak i mechanizmów współpracy. Jan Paweł II podkreśla mocno pierwszeństwo etyki nad techniką, prymat osoby nad rzeczą, nadrzędność ducha nad materią, które cechują aspiracje wszystkich ludzi na ziemi i wszystkie religie (RH 16). Podkreśla etyczny wymiar pracy, gdyż „praca jest »dla człowieka«, a nie człowiek »dla pracy«” (LE 6).

Podkreśla również nadrzędność praw człowieka jako sprawdzianu polityki państw – odniesieniem jest zawsze dobro i rozwój osoby ludzkiej. Otóż była to naczelna myśl polskiego romantyzmu: wprowadzenie zasad etycznych w stosunkach między narodami – w języku epoki: „chrystianizacja” czy „ewangelizacja” polityki. Pisał o niej Adam Czartoryski w *Eseju o dyplomacji*, zarysował ją w mesjanicznej wizji „namiestnika wolności” Mickiewicz, rozwijając następnie tę wizję dyskursywnie w *Collège de France* i w prywatnych rozmowach.



wach. Norwid zaś pisał o „przepaleniu globu sumieniem” (*Socjalizm*). Jest to idea stale aktualna, obecna w debatach o możliwości ingerencji w wewnętrzne sprawy innego państwa z przyczyn humanitarnych. Papież mocno podkreśla transcendentną wartość człowieczeństwa (RH 11) i dobro osoby jako wyznacznik dobra wspólnoty (RH 17).

Nadrzędność żywej wspólnoty nad instytucją przywraca także możliwość afektywnego stosunku do świata, niezdominowanego przez procedury. Kościół jest matką, a naród rozległą rodziną. W przemówieniu w Częstochowie z 1983 roku Papież, mówiąc o miłości ojczyzny, parafrazuje wręcz Wielką Improwizację z *Dziadów*, oczywiście bez końcowego bluźnierstwa: „O Matko i Pani Jasnogórska, pragnę (...) zawierzyć Tobie jeszcze raz mój naród. Jestem jego synem, noszę w sobie całe dziedzictwo jego kultury, jego historii, dziedzictwo zwycięstw (...), ale także dziedzictwo klęsk (...). Jestem synem tego narodu – i dlatego odczuwam głęboko wszystkie jego szlachetne dążenia...”

Podkreślanie wspólnoty, przywoływanie obrazu człowieka zbiorowego, kształtującego swe człowieczeństwo przez pracę wykonywaną z miłością – zgodnie z wizją Norwida z *Promethidiona* – idzie u Jana Pawła II w parze z podkreślaniami odpowiedzialności jednostki. W jej to sumieniu bowiem dokonuje się nawrócenie, podejmowane są decyzje etyczne, kształtuje się człowieczeństwo. I znowu owo napięcie: jednostka – wspólnota, gdzie ta ostatnia niesiona jest przez indywidualny, heroiczny wysiłek, a zarazem bez „chóru” narodowej kultury nie może się rozwinąć, bardzo jest charakterystyczne dla romantycznej antropologii, od Mickiewicza do Brzozowskiego. Konrad wykrzykuje „nazywam się Milijon”, biorąc na siebie zbiorowy los, tak jak każdy jest do tego powołany poprzez „trud trudów” – mesjaniczne określenie z „widzenia księdza Piotra” Mickiewicza, podjęte następnie przez Norwida w *Promethidionie* jako obraz zbiorowej pracy pokoleń. I przywołane przez Jana Pawła II w *Laborem exercens*, gdzie mówi o „trudzie” pracy w kontekście odkupywania ziemi: „Pot i trud, jaki w obecnych warunkach związany jest nieodzownie z pracą, dają (...) możliwość uczestniczenia z miłością w dziele, które Chrystus przyszedł wypełnić. (...) W pracy ludzkiej chrześcijanin odnajduje cząstkę Chrystusowego Krzyża i (...) prze-



błysk nowego życia, nowego dobra, jakby zapowiedź nowego nieba i nowej ziemi – które właśnie poprzez trud pracy staje się udziałem człowieka i świata” (LE 27).

Według Norwida – w *Promethidionie*, a także w *Fortepianie Szopena* – zwieńczeniem, sublimacją pracy w pocie czoła jest wysiłek artysty, dzięki któremu praca przekształca się w proces zmartychwalenia, czyli tworzenia się coraz wyższego, dojrzałego człowieczeństwa. W *Fortepianie Szopena* sztuka staje się wręcz Eucharystią – komunią człowieka z Bogiem i ludzi między sobą:

Hostię – przez blade widzę zboże...
Emanuel już mieszka
Na Taborze!

Metafora ta bliska była Karolowi Wojtyłe poecie. Parokrotnie użył jej w swych wczesnych wierszach (np. w *Pieśni o Bogu ukrytym* z 1944 r.). Znajduje ona teologiczne rozwinięcie nie tylko w encyklice o pracy, ale także w *Liście do artystów*.

Jan Paweł II podejmuje tam, przywołując źródła biblijne i Platona, Norwidowe utożsamienie dobra z pięknem: „Piękno jest bowiem poniekąd widzialnością dobra, tak jak dobro jest metafizycznym warunkiem piękna” (3). A dalej, w nawiązaniu do myśli Grzegorza Wielkiego o trzecim z pojęć Platońskiej triady stwierdza: „»Piękno« łączyło się z »prawdą«, aby także drogami sztuki przenosić ludzkie dusze ze świata zmysłowego w rzeczywistość wieczną” (7). Przypomina też, iż w tradycji chrześcijaństwa wschodniego ikona jest sakramentem.

I tak jak Norwid w *Promethidionie* zarysował teorię rozwoju kultury i człowieczeństwa, wieńczonego przez pracę artysty, także Jan Paweł II nadaje sztuce rangę uniwersalnej misji zwróconej do wszystkich ludzi:

Sztuka bowiem, jeżeli jest autentyczna, (...) zachowuje więc głębokiego pokrewieństwa ze światem wiary, także nawet w sytuacji głębokiego rozłamu między kulturą a Kościołem właśnie sztuka pozostaje swego rodzaju pomostem prowadzącym do doświadczenia religijnego. (...) Nawet wówczas gdy artysta zanurza się w najmroczniejszych otchłaniach duszy lub opisuje najbardziej wstrząsające przejawy zła, staje się w pewien sposób wyrazicielem powszechnego oczekiwania na odkupienie (10).



Poprzez Norwidowe rozumienie pracy i sztuki oraz Mickiewicza wizję mesjanicznego posłannictwa „wyjdzie z zamętu świat ducha” (*Oda do młodości*) – jak Papież kończy swój *List*. Poetycka inspiracja znalazła w ten sposób język współczesnej filozofii i teologii, by ożywić wizję religii i jej roli w rozwoju ludzkości.

„Mesjaniczne posłannictwo”

W tym miejscu wypada zatrzymać się chwilę na zagadnieniu delikatnym, trudnym, a podstawowym, w dodatku związanym z *clichés*, stereotypami. Samo słowo „mesjanizm” działa bowiem na wielu jak płachta na byka, i to nie tylko w Polsce. Dlaczego? W Polsce kojarzy się z narodowym samouwielbieniem, płytkim tradycjonalizmem i postawami ksenofobicznymi. Jako przykład mógłbym przytoczyć wy-

wiad z księdzem, kuzynem bodajże księdza Jerzego Popiełuszki, który usłyszałem niedługo po upadku komunizmu. Otóż ów ksiądz zapewnił, iż mimo wspaniałej postawy i męczeństwa księdza Jerzego, dopiero teraz czeka polski Kościół prawdziwe wyzwanie: nawrócić świat cały na prawdziwą wiarę, taką jak w Polsce!... Pogląd taki nie jest, niestety, obcy wielkiej liczbie Polaków, ale paradoksalnie nawiązuje nie

Cały pontyfikat Jana Pawła II był otwarciem na wszystkie kultury świata, ale też próbą ekstrapolacji oryginalnych, duchowych osiągnięć polskiej kultury o charakterze uniwersalistycznym.

tyle do uniwersalistycznej myśli wielkich romantyków, ile raczej do ideowego dziedzictwa endecji. Postawa „mesjanistyczna” w tym znaczeniu była zwalczana przez największe umysły polskiej kultury, takie jak: Brzozowski, Miłosz, Gombrowicz... Ale i Karola Wojtyłę, gdy notował w jednym ze swych wierszy:

... na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem. Język własny zamyka nas w sobie: zawiera, a nie otwiera. (...) Lud żyjący w sercu własnej mowy pozostaje poprzez pokolenia tajemnicą myśli nie przejranej do końca.

(*Myśląc ojczyzna...*, 1974)

Są tu zawarte dwie myśli: że polskiej kulturze nie udaje się wejść w kontakt ze światem „z powodu drożyzny słów” mało znanego ję-



zyka; ale i że brak kontaktu z innymi kulturami jest patologią. Cały pontyfikat Jana Pawła II był otwarciem na wszystkie kultury świata, ale też – jak widzieliśmy – próbą ekstrapolacji oryginalnych, duchowych osiągnięć polskiej kultury o charakterze uniwersalistycznym. Wrócimy jeszcze do tego wątku.

W zachodnim świecie termin „mesjanizm” kojarzy się ze zjawiskiem tzw. mesjanizmów Trzeciego Świata, które są ideologiami usprawiedliwiającymi agresywną, często imperialistyczną politykę motywowaną nacjonalistycznie. Od razu przychodzą na myśl takie przykłady jak Libia Kadafiego, Iran po rewolucji muzułmańskiej czy Al-Kaida jako ideologiczny ruch integrystycznego islamu.

Specjaliści tylko pamiętają jeszcze, że słowo „mesjanizm” może być rozumiane na różnych poziomach duchowych. Albowiem chodzi o dynamiczny typ struktury wierzeń (światopoglądu), czyli tego, co z niemiecka nazywa się *Weltanschauung*. Ukazując cele ostateczne – które mogą być duchowe bądź materialne, z tego lub nie z tego świata – mesjanizm mobilizuje zbiorową wolę i aspiracje. Jeśli końcowy cel jest ziemski, na przykład zbudowanie doskonałego i potężnego państwa, mamy do czynienia z rewolucyjnym millenaryzmem, który pozostawia po sobie zazwyczaj zwały trupów (jak nazizm czy komunizm). Jeśli zaś duchowy, mamy do czynienia z eschatologiczną wizją Ostatecznych Celów ludzkości i wtedy ów mesjanizm wcale nie musi być agresywny (choć czasem bywa).

W tym drugim wypadku można mówić o mesjanizmie największych religii świata, gdyż przewidują one eschatologiczny koniec, Sąd Ostateczny, Królestwo Niebieskie. Ostatnio wielu teologów powraca do wizji chrystianizmu jako mesjanizmu – ale „mesjanizmu drugiego stopnia”, uduchowionego, bo nie chodzi o cel czyisto ziemski, ale duchowy – przemienianie człowieka, ludzkości, świata tak, by – po śmierci – trafić do Królestwa Bożego. Czyli mesjanizm tak rozumiany może również mieć charakter uniwersalistyczny, bo dotyczy przemiany duchowej całej ludzkości w duchu dobra, prawdy, sprawiedliwości ożywianych przez miłość i nadzieję. Mesjanizm poza tym dodatkowo wiąże jednostkę ze wspólnotą, gdyż każdy realizuje swą misję, która łączy się z innymi misjami – indywidualnymi i zbiorowymi – w „koncercie narodów”. (A jest to



określenie Herdera, przejęte przez Mickiewicza i wielokrotnie powtarzane przez Papieża).

Można od razu powiedzieć, że w tym znaczeniu naczelną myśl Jana Pawła II, tak jak ją naszkicowaliśmy, miała charakter mesjaniczny, co znaczy: uniwersalistyczny, otwarty na wszystkich ludzi i na wszystkie kultury i religie, oraz dynamiczny, bo stawiała na duchowe przekształcanie ludzkości „od środka”, przez wspólne aspiracje do tych samych podstawowych wartości.

Należy teraz wyjaśnić, jak się ta myśl miała do polskiego mesjanizmu romantycznego.

I tu znowu same kłopoty, ponieważ trudno tu mówić o jednym modelu mesjanizmu. Na przykład mesjanizm Krasińskiego w pewnym momencie przybrał charakter ściśle polonocentryczny. Podobnie – w sferze werbalnej – było z mistycznym Słowackim, choć już podczas bliższej analizy okazuje się, iż „polski” oznaczał dla niego pewien wzór uniwersalistyczny – bo nakierowany na ludzkość, a nawet na całe stworzenie – zbawienia powszechnego przez przemianę w duchu. Najważniejszy jednak dla polskiej kultury wydaje się model Mickiewiczowski.

Problem w tym, że istnieje wiele historycznych interpretacji tego modelu. Punktem wyjścia jest „widzenie księdza Piotra” z *Dziadów*, następnie rozwinięte w duchu pewnej megalomanii narodowej w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego*, i dyskursywnie, w sposób egzaltowany i nie zawsze akceptowalny dzisiaj, na wykładach w Collège de France.

Najważniejszy wydaje się punkt wyjścia, czyli „widzenie”, gdyż jest najszerzej znane, najbardziej pierwotne (najmniej obciążone brakiem odpowiedniego „oporzędzenia intelektualnego” jak na dzisiejsze wymagania), wreszcie najbardziej uniwersalistyczne. Tak, bo choć wielu podoba się rozumienie „widzenia” jako obrazu „Polski – Chrystusa narodów”, Mickiewicz nigdy wprost tak tego nie wypowiedział, a bliższa analiza wykazuje wręcz, iż chodzi o archetypalne, apokaliptyczne symbole wskazujące na model wartości, postaw i ról do wcielenia przez wszystkich.

Z jednej strony mamy więc naiwne oczekiwanie na przyjście narodowego mesjasza „czterdzieści i cztery”, z przyglądaniem się, kto



miałby nim być: Mickiewicz sam? Wyspiański? Piłsudski?... Nawet polscy komuniści, którzy doszli do władzy w 1944 roku, tłumaczyli prywatnie, że może to chodzi o nich... Po elekcji Jana Pawła II słyszałem, że suma liter jego imienia i tytułów wynosi 44 („Karol Wojtyła, arcybiskup Rzymu, papież Jan Paweł II”, czy coś w tym rodzaju). Przykładów jest więcej.

Z drugiej strony, jeśli zastosować nowoczesne metody egzegezy symboli i analizy tekstów, wydaje się oczywiste, iż chodzi nie o zapowiedź konkretnej postaci, a o pewną rolę do wcielenia – przez jednostkę czy przez wszystkich ludzi dobrej woli. Gdyż „imię jego b ę d z i e czterdzieści i cztery” (w. 24). Symbole oraz ludowy zwrot frazeologiczny „czterdzieści i cztery” wskazują wręcz na zbiorowość raczej niż na jednostkę, choć w wypadku symboliki figuralnej jednostka może wspólnotę reprezentować, być jej obrazem bądź ją wcielać.

W tej perspektywie liczą się przede wszystkim epitety, określenia mesjanicznej postaci. Co jest tu waloryzowane? „Urósł duszą i ciałem” – czyli wzrost duchowy, dojrzałość wewnętrzna. „Namiestnik wolności” – czyli misja jego ma charakter polityczny, dotyczący stosunków między narodami. „Na sławie zbuduje ogromy / Swego kościoła!” – czyli nie na sile militarnej, lecz na stwarzaniu konsensu moralnego. „Na trzech stoi koronach, a sam bez korony” – czyli nie funkcja instytucjonalna, polityczna, lecz duchowa, przywódcza się liczy w sensie etycznym i duchowym. „Życie jego – trud trudów” – czyli praca, wysiłek, własny „krzyż”, a nie żadne cudowne, nadprzyrodzone czy magiczne rozwiązania. „A tytuł jego – lud ludów” – można istotnie rozumieć bądź to w sensie superlatywu hebraicznego, czyli najlepszy z ludów (Izrael lub P o l s k a jako nowy Izrael), bądź w sensie uniwersalistycznym, jako „wszystkich ludzi dobrej woli”. Jeśli istotnie, jak się wydaje, Jan Paweł II inspirował się romantycznym dziedzictwem i programem zawartym *implicite* w wielkich symbolach „widzenia”, już w pierwszej encyklice widać, w jakim sensie je interpretował. Gdyż „Lud Boży” to dla niego bez wątpienia „wszyscy ludzie dobrej woli”, a nie wyłącznie czy przede wszystkim Polacy.

A ileż to razy interweniował w duchu otwarcia się na innych. Sprawa klasztoru Karmelitanek w Oświęcimiu, a następnie krzyży nie zostałyby rozwiązane bez jego osobistej interwencji przywracają-



cej harmonię w stosunkach chrześcijańsko- i polsko-żydowskich. W sprawie kościoła w Przemyślu zderzył się wręcz z dyscyplinarnym nieposłuszeństwem o podłożu czysto nacjonalistycznym i „mesjanistycznym” w pierwszym, potocznym słowa znaczeniu. Wreszcie jego potępienie wojny w Iraku ukazywało *explicite*, iż prawa człowieka i kultur są dla niego ważniejsze niż „mesjanistyczna” krucjata, która łatwo może się przekształcić w totalną wojnę zachodniej cywilizacji z islamem. I wydaje się, że zwłaszcza jego wystąpienie zapobiegło takiej interpretacji konfliktu.

Problem mesjanizmu Jana Pawła II i jego związków z polskim romantyzmem jest więc skomplikowany i wymagałby właściwie osobnej rozprawy. Sprawa go nurtowała, gdyż już we wczesnych utworach, na przykład w dramacie *Jeremiasz* z 1940 roku, podejmuje problematykę misji indywidualnych i zbiorowych i ich wzajemnego zgrania – pomiędzy powołaniem do panowania, walką zbrojną i religią. Wiele cytatów i aluzji wskazuje, że myślał o swej misji osobistej, a także misji Kościoła, w duchu mesjanizmu – uniwersalistycznego, otwartego na wszystkie duchowe drogi ludzkości, a nie plemiennego, normatywnego, agresywnego. Nie tyle widział Polskę jako Chrystusa narodów, ile pragnął, by Polacy, opierając się – jak on sam – na kulturowym dziedzictwie, stawali się Chrystusem – wraz z wszystkimi ludźmi dobrej woli – w misji tworzenia i odkupywania świata. Pomostem między tradycją polską i perspektywą uniwersalną stał się dla niego z pewnością mesjanizm pracy Cypriana Norwida, który w dodatku pozwalał na odnalezienie ekwiwalencji symbolicznej między powołaniem kapłana i artysty – co otwierało duchowość na całą kulturę świata. Mesjanizm pracy stawał się wtedy po trosze mesjanizmem sztuki.

Mesjaniczne posłannictwo w rozumieniu Papieża wpisuje się w mapę uniwersalistycznych odniesień polskiej kultury, prowadząc do wizji samorealizacji człowieka przez pracę, wysiłku stymulowanego przez sztukę dającą kontakt z wartościami najwyższymi – jeśli nie bezpośrednio, to przez rozbudzanie ich pragnienia. Podstawą takiej samorealizacji jest wolność, będąca warunkiem rozwoju „dojrzałego człowieczeństwa” – osobista (prawa człowieka) i zbiorowa



(prawa narodów). Wizja ta – jasna już w dokumentach pisanych – jest szczególnie wyraziście przekazywana przez publiczne gesty i działania Papieża. Również w dużej mierze inspirowane przez romantyczne dziedzictwo.

Romantyczne gesty

Publiczne zachowania Jana Pawła II są powszechnie znane. Przypomnijmy je jednak w kontekście myśli romantycznej, by uwydatnić typ gestów proroczych szczególnie ceniony w tamtej epoce. I brak których Mickiewicz zarzucał ówczesnemu Kościołowi w czasie wykładów w Collège de France, w zapisanych rozmowach czy też ówczesnemu papieżowi Piusowi IX wprost. Chciał bowiem, by Kościół zaangażował się w dzieło przemiany świata w duchu wolności, odpowiedzialności i walki o wolność ludów. Piusa IX wręcz namawiał w 1848 roku, by stanął na czele ówczesnych walk o niezawisłość i zjednoczenie Włoch, i wiadomo, jak krytycznie, wraz ze swymi współczesnymi, oceniał uprzednio encyklikę Grzegorza XVI *Cum primum* potępiającą powstanie listopadowe. Nie mówiąc o następnej *Mirari vos*, atakującej liberalizm. Uważał, że – jak sformułuje to wybitny XX-wieczny teolog Henri de Lubac – „Ewangelia Chrystusa (...) winna być realizowana tak w życiu narodów, jak w życiu jednostek”.

Jednocześnie wierzył Mickiewicz w potęgę myśli i słowa, zdolnych przemieniać świat. W *Dziadach* znajduje się tajemnicza apostrofa Ducha skierowana do Konrada:

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
 Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
 Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
 I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze;
 (...) Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
 Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony
 (część III, *Prolog*, ww. 144-147, 154-155)

Apostrofa jest tajemnicza, niesamowita, wygląda tak dziwnie, że wielu badaczy traktuje te słowa jak diabelską pokusę. Absolutnie nie podzielam tej opinii; potwierdzenie duchowej potęgi człowieka znaj-



dzie się nieraz jeszcze w twórczości Mickiewicza, chociażby w przywoływanym już tu wierszu *Snuć miłość*. Myślę, że Papież także przyjął serio te słowa, choć oczywiście nie był ni samotny, ni więziony (choć już kardynał Wyszyński był i wtedy to wypracował swą strategię świąt maryjnych i mobilizacji wiary w Polsce).

Jan Paweł II natomiast pokazał, że papież nie musi mieć armat, by reprezentować potęgę. Albowiem słowo trafia do sumienia i przemienia człowieka od środka, mobilizując jego energię do określonej postawy i działań. To samo dotyczyć może postaw zbiorowych. O pojęciu konsensu etycznego pisał Norwid jako o „opinii”:

... że jest promieniem
ostatnim prorocत्व...
(...) Ona, jak słowo rzeknie – to się wciela; (...)
Bo ona – głosem Ludu! – głosem Boga!
(*Promethidion: Wiesław*, ww. 74-75; 77; 80)

Otóż już pierwsze słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II po elekcji brzmiały: „Nie lękajcie się!”. Ton iście romantyczny, jak: „mierz siły na zamiary, / Nie zamiar podług sił” Mickiewicza (*Pieśń Filaretów*).

Natomiast słynne w Polsce stały się inne jego słowa, wypowiedziane w czasie pierwszej pielgrzymki w 1979 roku na placu Zwycięstwa w Warszawie. Były to Zielone Świątki: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi! Tej ziemi!”. I rzeczywiście, jak wiadomo, pielgrzymka ta zmobilizowała moralnie ludzi, przywróciła im poczucie godności i aspiracje do lepszego życia, inaczej mówiąc nadzieję, do tego stopnia, że rok później powstał Niezależny Samodzielny Związek Zawodowy „Solidarność”, uruchamiając proces, który miał doprowadzić dziesięć lat później do upadku komunizmu.

Zeby lepiej zrozumieć te słowa, trzeba się jednak odwołać również do gestu liturgicznego, który je niósł. Został on wyjaśniony przez Papieża przy okazji mszy na cześć św. Stanisława w Krakowie. Przypominając przed dwoma milionami osób jego „chrzest krwi”, Papież przystąpił do celebracji owego gestu nieznanego dotychczas w liturgii:



Pozwólcie przeto, że jak zawsze przy bierzmowaniu biskup, i ja dzisiaj dokonam owego apostołskiego nałożenia rąk na wszystkich tu zgromadzonych, na wszystkich moich rodaków. (...) Pragnę wam dziś przekazać (...) Ducha, ogarniając sercem z najgłębszą pokorą to wielkie „bierzmowanie dziejów“, które przeżywacie. Więc mówię za Chrystusem samym: „Weźmijcie Ducha Świętego!”.

Ów symboliczny gest bierzmowania narodu zadziwia pod niejednym względem. Po pierwsze, sugeruje, iż wspólnota narodowa jest osobą zbiorową. Następnie odwołuje się do metafory poetyckiej samego Karola Wojtyły – „liturgii historii” (*Mysłąc ojczyzna...*). Jeśli historia może zostać odczytana jako tajemny obrzęd, liturgia winna móc wpłynąć na dzieje. Dokonuje się tu przewrót ładu symbolicznego przejęty bezpośrednio z poezji romantycznej. Wreszcie bierzmowanie, sakrament przyjęcia Ducha Świętego, jest tu skojarzone z „chrztem krwi” św. Stanisława, inaczej mówiąc, Duch schodzi na tych, którzy angażują się w historię zbiorową – nie chodzi o zwykły gest symboliczny. *Gestus* staje się realny, gdy może wcielić się w rzeczywistość – wzywa do zaangażowania.

Wojtyła poprzez profetyczny gest podejmuje tu na poziomie instytucjonalnym funkcję poetów romantycznych, naddających historii sens, wynajdujących dla zbiorowości metafizyczne motywacje wspólnotowego przeżycia i tworzących wizję przyszłości, która umożliwiała narodowi zachowanie tożsamości, tyle tylko że poeci czynili to środkami pozainstytucjonalnymi. Różnica polega więc na pozycji zwierzchnika Kościoła, który uznaje w ten sposób *ex officio* „kulturą” drogę wiary. A jednocześnie buduje nowe podstawy uznania instytucji Kościoła...

Zatrzymaliśmy się na tym przykładzie ze względu na jego dobitność, ale przecież Jan Paweł II wielokrotnie dawał wzór zaangażowania – pacyfistycznymi środkami – w przemiany historii, w wyzwalanie ludów, i to nie tylko w Europie Środkowej, ale i na Filipinach czy w Ameryce Łacińskiej. W Polsce szczególnie wymowne było jego zaangażowanie w obronę zarówno pierwszej „Solidarności”, jako niezależnego związku zawodowego, jak i samej idei solidarno-

W pewien sposób Jan Paweł II zrealizował Mickiewiczowski ideał papieża, który byłby przywódcą duchowym ludów, prorokiem zaangażowanym w przemienianie świata Ducha, w świecie, choć nie ze świata.



ści, jako podstawowej zasady, która winna rządzić ładem międzynarodowym. Słowo „solidarność” pada już w pierwszej jego encyklice, zostaje następnie bardzo silnie akcentowane w *Laborem exercens*, encyklice napisanej w okresie apogeum niezależnego związku, i staje w centrum jego znanej encykliki społecznej *Centesimus annus*, napisanej w 1991 roku, a więc już po upadku komunizmu. Cały rozdział poświęca w niej wydarzeniom 1989 roku, podkreślając, że dyktatury upadły dzięki pacyfistycznej walce, w której jako jedyna broń użyte zostały prawda i sprawiedliwość (CA 23). Kładzie też nacisk na konieczność uznania „praw ludzkiego sumienia” (Norwidowskiej „opinii”) jako nadrzędnych w stosunku do wszelkiego systemu politycznego.

W pewien sposób Jan Paweł II zrealizował więc Mickiewiczowski ideał papieża, który byłby jednocześnie przywódcą duchowym ludów, prorokiem zaangażowanym w przemienianie świata Ducha, w świecie, choć nie ze świata. Był to, jak wiadomo, również ideał Słowackiego, zarysowany w znanym wierszu o słowiańskim papieżu, który Karol Wojtyła oczywiście znał.

Ważne jest jednak nie tylko to, co robił, ale i jak to robił. W pierwszej encyklice znajduje się charakterystyczny fragment o tym, jak należy zwracać się do innych:

Postawa misyjna i misjonarska zaczyna się zawsze w poczuciu głębokiego szacunku dla tego, co „w człowieku się kryje”, dla tego, co już (...) w nim zdziałał ten Duch, który „tchnie tam, gdzie chce”. (...) Chrystus Pan, a z kolei Apostołowie w przepowiadaniu prawdy (...) zachowują głębokie poszanowanie dla człowieka, dla jego rozumu i woli, dla jego sumienia i wolności. W ten sposób sama osobowa godność człowieka staje się treścią tego przepowiadania, nawet bez słów, ale przez sposób odnoszenia się do niej (RH 12).

Chodzi więc o postawę szacunku dla drugiego, „uznania go w jestestwie swoim”, a także o specyficzny ton powiązany z wiarą, że prawda przekonuje samą swą wewnętrzną siłą i daje mówiącemu władzę duchową w niej samej zawartą. Jest to bliskie teorii tonu Mickiewicza i bliskie technice wypowiedzania słowa w Teatrze Rapsodycznym Mieczysława Kotlarczyka, w którym Wojtyła terminował jako aktor. Pisze on o tej metodzie, iż aktor rapsodyczny nie tyle gra, ile „niesie problem”. A rola staje się obrazem „nieubłaganej walki ze złem, zdzieraniem maski” (jak w wypadku Hamleta). Teatr w ten



sposób może spełniać rolę katarctyczną „pewnego oczyszczenia psychologicznego” (*Poezje i dramaty*, Kraków 1979, s. 382, 386, 388). Czyli przez ton, słowo, postawę wewnętrzną dąży się do aktywnego działania – działania duchowego, przemieniającego świat. Tak by poprzez ton aktora mógł tchnąć duch, który to słowo ożywia i reprezentuje dużo więcej niż jednostkową psychologię.

Lepiej w tym kontekście można zrozumieć siłę oddziaływania Papieża na tłumy, moc jego głosu, wpływ jego słowa. Bo starał się nie tyle mówić od siebie, ile „nieść problem”, stawać się rezonatorem tchnienia, które przekracza jednostkę, głosem Innego. Korzenie tej postawy są romantyczne.

Nie chodzi nam oczywiście o sprowadzanie całego dzieła Papieża – jego słów i gestów – do tego tylko wymiaru; należało tylko uwypuklić go przed krótkimi konkluzjami.

Na zakończenie

Jan Paweł II nie był oczywiście autorem wszystkich dokumentów, jakie podpisywał. Wiele z encyklik różni się znacznie stylem, konstrukcją i zawartością od tych „autorskich”, zwłaszcza z początku pontyfikatu. Niezwykle szeroka interpretacja zarówno pojęcia Ludu Bożego, jak i wolności ludzkiego sumienia w *Redemptor hominis* zostaje z czasem jakby zawężona, do tego stopnia, iż w *Veritas splendor* z 1993 roku „subiektywne” poczucie prawdy przeciwstawione zostaje „obiektywnemu” nauczaniu Kościoła (VS 60). Jest to nie tylko sprzeczne z duchem i literą pierwszych encyklik, ale i wewnętrznie sprzeczne, gdyż w sumieniu indywidualnym każda prawda może wszak zostać przyjęta tylko jako subiektywna. Takich sprzeczności jest więcej.

Nie jest naszym zadaniem ich wyszukiwanie. Chodzi raczej o rekonstrukcję naczelných kierunków pontyfikatu i ich zakorzenienia w polskiej poezji. By ukazać, że choć pontyfikat nie może zostać zredukowany do tego tylko wymiaru, w pewnej mierze Jan Paweł II zrealizował kulturowy ideał herosa-świętego, przywódcy duchowego narodu–narodów–ludzkości. Zrealizował to, co może największe



i najbardziej uniwersalne w polskiej kulturze – wykarmił tym ludy, ale i karmił się sam w kolejnych spotkaniach z Polakami, których niespodziewany odzew utwierdzał go na tej drodze.

Paradoksalnie ustawiało go to faktycznie w opozycji do części polskiego kleru, tradycyjnie aintelektualnego, skupionego na sobie, rytualistycznego i ksenofobicznego (chodzi o antysemityzm pewnej części księży, ale też o postawy antyprawosławne, które ujawniły się w czasie konfliktu o kościół w Przemyślu...). Uniwersalizm postawy Papieża – powiedzmy: jego postawy dominującej – wynikał z jego humanistycznej kultury, nieakceptowanej przez dużą część polskiego Kościoła, takiego, jaki opisał Jarosław Gowin. Miejmy jednak nadzieję na ewolucję postaw – ona już następuje – i na powolną zmianę tej sytuacji.

Ważniejsze wydaje się w tym szkicu zastanowienie się, w jakiej mierze ów romantyczny model religijności – dynamicznej, ekumenicznej, otwartej na dialog interreligijny – zachowa aktualność w przemieniającym się świecie globalizacji, postmodernizmu i generalnego relatywizmu.

Otóż model ten wydaje się pewną szansą. Gdyż istotą podejścia do spraw wiary, Kościoła i dialogu jest w tym ujęciu wychodzenie od mechanizmów rozwoju osobowości człowieka w trakcie procesu socjalizacji. A jest to ujęcie uniwersalne, które pozwala przełamać relatywizm wielokulturowości – „od środka”, poprzez dynamizm rozwoju osobowego. Indywidualnego i zbiorowego. Odniesieniem tej „rewolucji personalistycznej” staje się godność osoby ludzkiej we wspólnocie, a więc prawa zarówno człowieka, jak narodów. Zakorzenienie prawdy w sumieniu zaś – które oczywiście należy kształcić, ale które ma pewne „naturalne” poczucie dobra, piękna, prawdy, sprawiedliwości, a także potrzebę miłości – pozwala na oparcie się na uniwersalistycznym konsensie etycznym. Jest to – jak nazwaliśmy to w studiach nad myślą religijną Mickiewicza – „transcendencja pozioma”, oparta na wspólnocie ludzi, na ich aspiracji do wyższych wartości, pomimo grzesznej natury. I na mechanizmach dialogicznych pracy, które szczególnie uwypuklił Józef Tischner w *Etyce solidarności*, również inspirując się myślą Norwida. I które podjął Jan Paweł II w swych rozmaitych strategicznych wystąpieniach, jak to opisał Wojciech Bonowicz.

W tej perspektywie bogactwo duchowe polskiego romantyzmu wcale nie wydaje się wyczerpane, wręcz przeciwnie, zachęca do pogłębionych studiów. I o ile paradygmat „patriotyczny” nie jest już aktualny, o tyle duchowy został wypromowany w nauczaniu Jana Pawła II do wymiaru uniwersalnego i stał się w tym sensie dobrem duchowym ludzkości.

Honfleur, 3 lutego 2006

MICHAŁ MASŁOWSKI, ur. 1944, profesor literatury polskiej na Sorbonie (Paris IV). Po polsku wydał m. in. *Gest, symbol i rytuały polskiego teatru romantycznego* (1998), *Zwierciadła Kordiana* (2001); w tym roku mają się ukazać *Problemy tożsamości. Szkice Mickiewiczowskie i romantyczne*. Przetłumaczył na francuski (wraz z Jacques'em Donguy) m.in. *Dziady* Mickiewicza, *Kordiana* Słowackiego, *Traktat teologiczny* Miłosa, dramaty Różewicza.



ks. Józef Tischner
**Studia z filozofii
 świadomości**

Książka zawiera dwa ważne, niepublikowane nigdy wcześniej filozoficzne teksty Józefa Tischnera: rozprawę doktorską *Ja transcendentalne w filozofii Edmunda Husserla* oraz pracę habilitacyjną *Fenomenologia świadomości egotycznej*. Obydwie prace, pochodzące z roku 1962 i 1971, pokazują, jak kształtowały się fundamenty Tischnerowskiego myślenia – mocno zakorzenione w fenomenologii i opisach ludzkich doświadczeń. Obydwie też pokazują dojrzałość i samodzielność myślenia, a także zapowiadają najważniejsze tematy filozofii Tischnera z późniejszych lat.



Joanna Petry Mroczkowska

Odpowiedzialność za Kościół

Podczas dyskusji wokół kryzysu obyczajowego największa niechęć Amerykanów nie była skierowana przeciw Kościołowi katolickiemu ani religii, ale przeciwko instytucji. Amerykanie mają silne przekonanie, że instytucje podlegają korupcji. Im instytucja mniej transparentna, tym bardziej jest narażona, ich zdaniem, na podejrzania o nieczyste machinacje. Uciekając od zasad instytucjonalnej przejrzystości, władze kościelne zatem narażają swój autorytet na szwank.

Skala nadużyć seksualnych kleru, ujawniona w styczniu 2002 roku przez główny dziennik bostoński, doprowadziła do największego kryzysu Kościoła amerykańskiego od zarania jego dziejów. Trzeba przy tym zdać sobie sprawę, że problem ekscesów obyczajowych (aczkolwiek stojący u źródeł skandalu) nie przesłonił innej kwestii, która szybko wysunęła się na plan pierwszy. Mam tu na myśli zdecydowanie krytyczną ocenę postępowania niektórych przedstawicieli amerykańskiej hierarchii kościelnej. Uwaga na długie miesiące skupiła się bowiem nie wokół najaktywniejszego księdza-pedofila Johna Geoghana (zamordowanego w więzieniu przez innego przestępcę odsiadującego tam karę), ale wokół zwierzchnika archidiecezji bostońskiej kardynała Bernarda Law.



Relacja o nadużyciach seksualnych kleru amerykańskiego nie była wiadomością całkiem nową. Pisano już o tym w latach 1985 i 1992. I chociaż podjęto wówczas pewne kroki zaradcze, problem nie został jednak zlikwidowany. Jak ujawniła prasa (w 2002 roku), dwie trzecie amerykańskich biskupów przeniosło przynajmniej jednego ze znanych sobie winowajców do innego miejsca, gdzie dalej „działali”. Później pojawiły się dalsze „rewelacje”. Zawrzało.

Zacznijmy zatem od statystyki z lutego 2004 roku. Ponad czterem tysiącom księży postawiono zarzut nadużyć seksualnych dotyczących przeszło dziesięciu tysięcy pokrzywdzonych. Od kapłaństwa odsunięto trzystu dwudziestu pięciu (z czterdziestu sześciu tysięcy) księży. Największa liczba przestępstw to czyny popełnione w latach 70. Dwie trzecie tych przypadków zgłoszono przed rokiem 1993, resztę – między rokiem 2002 i 2003. Stu czterdziestu dziewięciu księży oskarżono o wykroczenia seksualne wobec blisko trzech tysięcy ofiar (prawie 51 procent pokrzywdzonych było w wieku 11-14 lat, 27 procent w wieku 15-17 lat, a 22 procent poniżej dziesiątego roku życia). W ponad 80 procentach czyny lubieżne dotknęły ofiar płci męskiej.

Problem stał się tematem wielu książek, które – sądząc po roku ich wydania (z reguły: 2002) – pisane były w dużej mierze przed lub tuż po „wybuchu” wiadomości o jego skali. Reprezentują one – jak i cała dyskusja wokół tego zagadnienia – całą gamę stanowisk: od konserwatywnych po liberalne. Są to między innymi: *The Courage to Be Catholic* George’a Weigela (wyd. pol.: *Odwaga bycia katolikiem*, Kraków 2004); *From Scandal to Hope* o. Benedicta Groeschela; *Goodbye, Good Men* Michaela Rose’a; *Sacred Silence: Denial and the Crisis in the Church* Donalda Cozzensa; oraz *Toward a New Catholic Church: The Promise of Reform* Jamesa Carrolla. Kryzys pogłębił przepaść pomiędzy ideologicznymi obozami: każdy w innym miejscu szukał jego przyczyn. I tak konserwatyści widzieli je w permissywnym klimacie po rewolucji obyczajowej, w braku właściwej formacji księży, braku dyscypliny i homoseksualizmie wśród kleru. Liberalowie zaś – w niedopuszczeniu do święceń żonatych mężczyzn, niedostatecznych zmianach posoborowych *etc.*



„Głos Wiernych”

Skandal zbulwersował najpierw wszystkich amerykańskich katolików, a potem zmobilizował tych najaktywniejszych. Znamienny może być przykład organizacji Voice of the Faithful, „Głos Wiernych”, która narodziła się w lutym 2002 roku, po Mszy świętej odprawionej w którejś z bostońskich parafii. Jednym z inicjatorów spotkania i dyskusji był James Muller, doktor medycyny, odznaczony przez Jana Pawła II działacz na rzecz obrony przed światowym konfliktem nuklearnym. Burzliwej historii tej młodej „oddolnej” organizacji poświęcił on książkę

Powodem tuszowania problemów był instytucjonalny defekt wynikający z nadmiernej władzy hierarchii, która nie chroniła dzieci, ale dbała głównie o reputację księży i o swój wizerunek.

Keep the Faith, Change the Church (2004). Oповіда w niej, jak z tygodnia na tydzień „Głos Wiernych” rósł w siłę. Po kilku miesiącach grupka kilkunastu parafian od św. Jana Chrzciciela liczyła już kilka tysięcy zwolenników w trzydziestu sześciu stanach i w dziewiętnastu krajach. „Głos” dąży do tego, żeby mieć swoją reprezentację w każdej amerykańskiej parafii. Jak na razie ma ich około dwustu.

Cel działalności „Głosu Wiernych” był potrójny. Po pierwsze, poparcie dla ofiar, nazywanych *survivors*, gdyż słowo „ofiara” ma w Stanach negatywne konotacje. Po drugie, poparcie dla „księży z charakterem” (*priests of integrity*), którzy czynnie włączają się w akcję. Postulat trzeci (najbardziej kontrowersyjny) to walka o większy udział świeckich w sprawach Kościoła. „Głos Wiernych” po długich dyskusjach doszedł bowiem do wniosku, że powodem tuszowania problemów był instytucjonalny defekt wynikający z nadmiernej władzy hierarchii, która nie chroniła dzieci, ale dbała głównie o reputację księży i o swój wizerunek. Chodzi więc nie o koncentrowanie się na błędach konkretnego zwierzchnika, ale o zmianę w funkcjonowaniu Kościoła. Rozpowszechnione jest przekonanie – i trudno byłoby wykazać, że to opinia błędna – iż do skandalu by nie doszło, gdyby świeccy (przede wszystkim kobiety) mieli głos w kwestii postępowania z pedofilami i dewiantami. Największe oburzenie wyrażał zarzut, że kardynał Law „ukrywał i chronił zło”. Przekonanie o nadużyciu władzy szybko doprowadziło do żądania odejścia kardynała oskarżonego o narażenie wielu



młodych ludzi na krzywdę, ignorowanie ich oraz tuszowanie skandalu. 13 grudnia 2002 kardynał udał się do Watykanu i papież Jan Paweł II rezygnację tę przyjął.

Prawie rok trwały tarcia między lokalną hierarchią a świeckimi katolikami z diecezji bostońskiej. Władze kościelne podjęły bowiem kroki zmierzające do wstrzymania tego oddolnego procesu, nazwanego przez dziennik „Boston Globe” „cichą rewolucją”. Stosunek innych biskupów w Stanach do tej organizacji był zróżnicowany. Gdzieś zakazywano jej działalności, w innych miejscach dialog dobrze się układał, najczęściej jednak odnoszono się do „Głosu” obojętnie lub sceptycznie oceniając dążenie do przemian. Życzliwym niezbyt podobało się motto: „Zachowaj wiarę, zmień Kościół”. Na przykład kardynał Eugene George z Chicago był zdania, że każda nieprzemyślana zmiana w Kościele prowadzi do jakiejś zmiany w wierze. Proponował więc: „Zachowaj wiarę, zmień sposoby działania Kościoła”. Arcybiskup Daniel Buechlein z Indianapolis zgodził się z lansowanym przez „Głos” zaleceniem św. Cypriana: „Jest dla mnie zasadą, że nie podejmuję decyzji sam, opierając się jedynie na własnym zdaniu, bez konsultowania się z wami, prezbiterzy i diakoni, i bez aprobaty wiernych”. Z kolei arcybiskup Daniel Pilarczyk z Cincinnati stwierdził, że „Głos” nie odbiega, jego zdaniem, od Magisterium i ma na uwadze dobro Kościoła.

Książce Mullera nie można odmówić szczerości i otwartości w opisie owych zmagania. Jest ona konkretnym studium, pozwalającym ujrzeć, jak oddolna inicjatywa dojrzewa i próbuje wejść w dialog z władzą, która broni się przez zagrożeniem. Autor otwarcie mówi, że „Głos” starał się iść drogą centrową, unikając skrajności. Nie kryje jednak faktu, że ta inicjatywa nie znalazła uznania w oczach konserwatystów. A trzeba stwierdzić, że James Muller nie jest jakimś zacietrzewionym dysydem. Nie można mu odmówić dobrej woli i uczciwości w chęci naprawy Kościoła. Wyraża uznanie dla faktu, że mimo kryzysów Kościół jako organizacja przez dwa tysiące lat dokonał ogromnego dzieła niesienia Chrystusowego przesłania miliardom ludzi na całym świecie. Muller wykazuje też głębokie przywiązanie do katolicyzmu, szacunek i podziw dla Ojca Świętego (Jana Pawła II). Uważa go za wielki autorytet moralny. Jednocześnie jednak jest zdania, że w Kościele doszło do centralizacji władzy – a to uważa za sprzeczne z duchem soborowym. Nie sposób



ignorować faktu, że dzisiejsze czasy – a skala nadużyć seksualnych może być tego przykładem – przynoszą problemy, które wymagają modyfikacji tradycyjnego spojrzenia. Nie wystarczy sam fakt udziału świeckich w organach władzy i administracji kościelnej. Chodzi o to, żeby świeccy należący do tych gremiów nie byli tylko figurantami i przytakiwaczami. Często tak się, niestety, dzieje, ponieważ ci nieliczni dobierani są właśnie przez hierarchię.

Stopień, w jakim świeccy uczestniczą w życiu Kościoła, zależy od stylu kierowania nim przez hierarchów. (Biskupem dobrze współpracującym z wiernymi był na przykład zmarły w 1996

Katolicy muszą wyzbyć się myśli, że misją laikatu jest tylko „sprzątanie po parafialnym pikniku”.

roku kardynał Joseph Bernardin). Muller nie zapomina w swojej książce powiedzieć, że kardynał Law długo cieszył się autorytetem jako człowiek wielkiej inteligencji i zasług. W młodości zaangażował się bowiem po stronie swobód obywatelskich i zbliżenia ekumenicznego. Później pracował na rzecz obrony życia, uczestniczył też w wielu inicjatywach międzynarodowych.

Za jeden z największych problemów stojących dzisiaj przed Kościołem James Muller uważa apatię świeckich, których zadaniem wedle rozpowszechnionej rymowanki było: „modlić się, płacić i słuchać” (*pray, pay and obey*). Katolicy muszą zatem wyzbyć się myśli, że misją laikatu jest tylko „sprzątanie po parafialnym pikniku”. Na zarzut, że „Głos” zamierza demokratyzować Kościół, jego założyciele odpowiadają, że chodzi im wyłącznie o demokratyczne zorganizowanie laikatu. Nie ma natomiast mowy o podważaniu dogmatów. Nie chodzi też o zdominowanie hierarchii – chodzi o współpracę.

Watykan – Ameryka

Kościół rzymskokatolicki w Ameryce różnił się zawsze nieco od Kościoła w Europie. Tytułem przykładu: podczas kadencji biskupa Johna Englanda (1786-1842) w diecezji Charleston (Karolina Południowa) istniała dwuizbowa legislatura złożona z duchownych i świeckich. Ale to uchodzi za grzech amerykanizmu. Prawdziwym problemem jest istnienie systemu monarchicznego wewnątrz nowoczesnej demokracji. Bo



prawdą jest, że Amerykanie są szczególnie wrażliwi na kwestię samostanowienia, współdecydowania, praw obywatelskich... Charakterystyczna dla tej postawy jest wypowiedź pewnej młodej kobiety: „Jako obywatelka mam głos w sprawie rządu, jako pracownik mam głos w kwestii mojego zatrudnienia, jako udziałowiec mam głos w firmie, w której pracuję. A jaki głos mam w Kościele?”.

Specyfika Kościoła rzymskokatolickiego w Stanach polega więc między innymi na tym, że amerykańscy katolicy świeccy w znacznie większym stopniu czują się zań odpowiedzialni. Mają poczucie, że są jego częścią, i od zwierzchników Kościoła wymagają odpowiedzialności, co więcej: odpowiedzialności podlegającej rozliczeniu – *accountability* (tu, co znamienne, brak polskiego odpowiednika!).

All the Pope's Men. The Inside Story of How Vatican Really Thinks (2004) – książka Johna L. Allena, watykańskiego korespondenta dziennika „National Catholic Reporter”, stanowi cenny wkład do zrozumienia atmosfery wokół kryzysu Kościoła w USA. W jednym z rozdziałów tej pracy Allen próbuje przedstawić ów problem z obu stron: Stolicy Apostolskiej i sceny amerykańskiej.

Wszelkie rozważania na ten temat trzeba zacząć od przypomnienia, że ani w jednym, ani w drugim przypadku nie mamy do czynienia z monolitem. Tak w Kurii Rzymskiej, jak i wśród szeregowych katolików amerykańskich istnieje różnorodność poglądów. Oczywiście, konflikt ten najsilniej zaznaczył się na podminowanym gruncie sporu konserwatystów z progresistami – nie jest to jednak jedyna dychotomia. Ważne są także różnice kulturowe. Administracja w Rzymie patrzy z niesmakiem na amerykańską doktrynę wyjątkowości i pewność siebie Amerykanów. Ci ostatni z kolei – na watykański styl scentralizowanej władzy. Trudno nie zauważyć, że brak wzajemnego zrozumienia i uprzedzenia poważnie utrudniają dialog. Truizmem jest stwierdzenie, że napięte stosunki nie służą Kościołowi powszechnemu.

Prasie na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych zarzucano (czynił to Watykan oraz pewne grupy katolików amerykańskich), że potraktowała problem w sposób sensacyjny, akcentując negatywną stronę Kościoła, zgodnie z zasadą, iż dobre wiadomości w nieporównanie mniejszym stopniu interesują odbiorców spragnionych sensacji. Rzeczywiście, na pewno nie dość podkreślano, iż procent dewiantów wśród



księży i zakonników katolickich nie jest większy niż w innych wyznaniach i zawodach „świeckich” mających kontakt z młodzieżą. Niedostatecznie też przypominano, że o ile niektórzy biskupi nie umieli sobie poradzić z dewiantami, inni – niewymieniani w prasie – w pełni sprawdzili się w tej kwestii.

Długo brakowało klarownych wypowiedzi przedstawiających stanowisko Stolicy Apostolskiej (nie chodzi tu o głos Papieża). Te, które były, oceniano jako chłodne i niejasne. Watykan miał za złe biskupom amerykańskim, że zbyt chętnie schlebiają opinii publicznej w deklarowanej w 2002 roku chęci ostrego karania księży i nie dość zdecydowanie bronią teraz wizerunku Kościoła, podczas gdy w przeszłości poprzez nadmierną pobłażliwość doktrynalną i moralną przyczynili się poniekąd do stworzenia warunków dla zaistnienia skandalu. Zarzucano też Ameryce „klimat hysterii” (niektórzy w atakach prasy amerykańskiej doszukiwali się nawet zmywu sił wrogich Kościołowi).

Linia obrony kładła nacisk na specyficzną zależność istniejącą pomiędzy biskupem i księżmi; jednocześnie wyrażano opinię, że biskup nie jest odpowiedzialny za czyny prezbitera ani w sensie moralnym, ani prawnym. Zdaniem kard. Theodore’a McCarricka z archidiecezji waszyngtońskiej, obsesyjny ton prasy amerykańskiej wynikał z dwóch przesłanek: dobrej i złej. Dobre jest to, że ludzie oczekują od księży świętości. Z drugiej strony jednak – mówił McCarrick – Kościół głosi wartości związane z obroną życia, będące wyzwaniem wobec współczesnej kultury, nic dziwnego zatem, że przeciwnicy, atakując Kościół, dążą do podważenia jego autorytetu w tych właśnie kwestiach.

„Największą tragedią, poza podważeniem zaufania do Kościoła i jego kapłanów, jest nie tyle wielki wstyd dla Kościoła, ale wielka obraza Boga i obraza Bożych dzieci” – oświadczył arcybiskup John Foley, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Środków Społecznego Przekazu. Foley powiedział również, że najlepszą obroną przed kryzysem jest cnota, a w sytuacji jej braku – szczerłość i otwartość.

Dostojnicy watykańscy podeszli do skandalu jako do zjawiska *par excellence* amerykańskiego. Specyfika amerykańska wynika na przykład z tego, że w anglosaskim systemie prawa karnego łatwiej można Kościół traktować jako korporację, która prawnie odpowiada za czyny swoich



pracowników-księży. (Koncepcja odpowiedzialności ponoszonej przez korporację umocniła się w latach pięćdziesiątych, kiedy to rozpoczęły się procesy zaskarżające wadliwe produkty czy niekompetentnych pracowników. W latach siedemdziesiątych mnożyły się zbiorowe procesy i zasądzone kary szły w miliony). W Europie nadużycia seksualne nie stanowią wielkich „wiadomości” prasowych – z reguły nie ma tu głośnych procesów o odszkodowania z tego tytułu. Inaczej dzieje się w sądownictwie amerykańskim. Stawki są tutaj zawrotne: i dla prawników, i ich klientów (do roku 2004 na odszkodowania wydano ponad 570 milionów dolarów!). Trudno zaprzeczyć, że to może być pewien bodziec... Oczywiście, fałszywe oskarżenia (w tym i takie, którymi kieruje żądza zysku) zdarzają się, są jednak rzadkie. Warto też wiedzieć, że – po odliczeniu kosztów procesu – indywidualne kwoty kompensat pieniężnych nie są wcale zbyt duże, zwłaszcza w porównaniu z werdyktami w procesach przeciwko wielkim koncernom.

Poważnym zarzutem jest ocena amerykańskiej gloryfikacji indywidualizmu. W kwestii religijnej uważa się Amerykanów za kongregacjonalistów – zwolenników mniej lub bardziej niezależnych wspólnot kościelnych. Niechętni widzą więc w amerykańskich katolikach ludzi skłonnych preferować jedynie luźne więzy ze zwierzchnikami własnych diecezji oraz z Kościołem powszechnym. Nie jest to pogląd w pełni uprawniony. Reakcja katolików amerykańskich na skandal ukazuje, że to oni upominają się o aspekt wspólnotowy – troskę o dzieci i młodzież, a nie stawianie przez biskupów względów instytucjonalnych ponad dobro tych, którzy są powierzeni ich trosce. Niewątpliwie istnieje tu pewna rozbieżność dotycząca bezpośrednich priorytetów. Amerykańscy katolicy poprzez swoją niezwykle żywą reakcję pokazali właśnie, jak bardzo związani są z Kościołem; drażni ich jednak klerykalizm.

Amerykańscy katolicy poprzez swoją niezwykle żywą reakcję pokazali, jak bardzo związani są z Kościołem.

Różne okazały się również zapatrywania na kwestię reakcji na złe zarządzanie i zaniedbania. Amerykanie są przyzwyczajeni do zwalniania winnych i skompromitowanych, praktyka Watykanu natomiast sprzyja opinii, że ci, którzy popełnili poważne błędy, powinni zostać i naprawić szkodę. Odejście ze stanowiska najczęściej nie jest karą, często nawet ma charakter nagrody. Biskupi – przypomina Allen – nie są rozliczani z suk-



cesów, ale z wierności, nie jest to bowiem zwykła posada, lecz funkcja sakramentalna.

Podczas dyskusji wokół kryzysu obyczajowego największa niechęć Amerykanów – zdaniem Johna L. Allena – nie była skierowana przeciw Kościołowi katolickiemu ani religii, ale przeciwko instytucji. Amerykanie mają silne przekonanie, że instytucje podlegają korupcji. Dumni są ze swojego systemu *checks and balances*. Im instytucja mniej transparentna, tym bardziej jest narażona, ich zdaniem, na podejrzenia o nieczyste machinacje. Uciekając od zasad instytucjonalnej przejrzystości, władze kościelne zatem narażają swój autorytet na szwank.

Wielu Amerykanów postrzega Watykan jako bastion broniący władzy. Jednak, o ile z jednej strony obserwuje się dążenie amerykańskich katolików do uzyskania większej swobody dla Kościoła narodowego, o tyle z drugiej strony oczekuje się od papieża interwencji i karcenia biskupów.

Watykan zdziwiony był nieprzejednaną, zdaniem niektórych, postawą wielu amerykańskich katolików, nieskorych do szybkiego przebaczenia władzom kościelnym – Amerykanie natomiast wytykali mu brak współczucia i zrozumienia dla ofiar. Słyszało się nawet głosy, że stanowisko Ojca Świętego nie było dość zdecydowane. Rzeczywiście, jest faktem, iż nie doszło do spotkania Papieża z pokrzywdzonymi, którzy się o to od dawna dopominali.

Nie jest jednak prawdą, że Jan Paweł II nie zabierał głosu. Wypowiadał się przecież kilkakrotnie wcześniej. W czerwcu 1993 roku wystosował list do biskupów amerykańskich poświęcony sprawie nadużyć seksualnych. Potępił to zgorszenie podczas Dni Młodzieży w Denver w sierpniu 1993 roku oraz w listopadzie 2001 w dokumencie *Ecclesia in Oceania*. W lutym 2003 roku Jan Paweł II poprawił dekret *Sacramentorum Sanctitatis tutela* z 18 maja 2001. Z myślą o przyspieszeniu procedur zmiana stipuluje, że w trybunałach karnych Kościoła jako sędziowie mogą służyć diakoni i świeccy. (W wersji z 2001 roku mowa była wyłącznie o osobach duchownych). W szczególnie rażących przypadkach Kongregacja Nauki Wiary ma prawo bez procesu zwolnić księdza z kapłaństwa.

Zdaniem obserwatorów, pewna wstrzemięźliwość w papieskich wypowiedziach ma związek z polityką wysokich urzędników Kurii, którzy nie chcieli dodatkowego rozgłosu, jaki można by odczytać z nacisku głowy Kościoła. W książce *All the Pope's Men* Allen przypomina, że Oj-



ciec Święty wyraźnie dał do zrozumienia, że hierarchia powinna poważnie potraktować postulaty słuchania głosu istniejących już organów, takich jak rady parafialne i finansowe, oraz że konieczne jest wyplenienie arogancji ludzi Kościoła.

W liście do biskupów Pensylwanii i New Jersey (12 września 2004) Papież napisał między innymi:

W ramach właściwie pojętej eklezjologii komunii, zamiar stworzenia lepszych struktur uczestnictwa, konsultacji i współodpowiedzialności nie może być rozumiany jako ustępstwo wobec świeckiego demokratycznego modelu sprawowania władzy, lecz nieodzowny warunek autorytetu biskupa i konieczny środek wzmocnienia tego autorytetu.

*

Bardzo interesująca jest wypowiedź kardynała Oscara Rodrigueza Maradiagi, opublikowana w „National Catholic Reporter”. Hierarcha ów przyznał, że nawet w Watykanie (to znaczy w Kurii Rzymskiej) „biskupów Pierwszego Świata traktuje się czasem z większym szacunkiem niż biskupów Trzeciego Świata, i patrzy się na nich jak na VIP-ów”. Może ta sytuacja (skandal w Kościele amerykańskim) – dodał – „okaże się zachętą, żeby biskupi stali się sługami, znaleźli się bliżej ludzi”.



Jerzy Surdykowski

Kłopoty z miłością

Tylko miłość może nadać bezmiarowi cierpień jakiś sens. Największym cudem jest, że jeszcze się zdarza w świecie, w którym nawet nie warto pytać *unde malum?*, tylko najwyżej: po jaką cholere ludzie jeszcze usiłują być dobrzy?

Nie ma słowa budzącego tyle wątpliwości i kontrowersji co „miłość”.

„Jakże to?” – oburzyła się pierwsza i miła mi czytelniczka tego tekstu. „Albo się kocha, albo nie. I już!”

„Idziemy na film o miłości!” – co wieczór setki tysięcy ludzi decyduje w ten sposób o sposobie zagospodarowania wolnego czasem. Za chwilę wybucha jednak sprzeczka, bo ona wybierze dziełko, w którym jak najwięcej będzie Grocholi, a on golizny. Gdyby – zgodnie z podjętą przed chwilą decyzją – zaproponować im obraz o Matce Teresie, Albercie Schweitzerze albo bracie Albercie, oburzyliby się na podobne nudziarstwo. Solenny ksiądz proboszcz dywaguje o Bożej miłości do poziewujących parafian, robiąc w ten sposób użytek z czasu, jaki ma co tydzień na poruszenie ich serc. Ktoś inny cytuje św. Augustyna „kochaj i czyń, co chcesz”, znajdując w niezbyt dokładnie przywołanym cytacie uzasadnienie dla wszystkiego, co mu właśnie podsunęła chęćka przezwana na własne potrzeby „miłością”.



„Ponieważ cię kocham, nie wolno ci tego, tego i tamtego!” – oznajmia kochający(a) obiektowi swej adoracji, wierząc głęboko, że go w ten sposób uszczęśliwia.

„Uprawiam miłość!” – powiada z dumą ze swej fizycznej sprawności amator... przepraszam: pewnych czynności seksualnych.

„Od dwustu lat wiele się mówi o przygodach miłosnych, niewiele natomiast o miłości” – pisał osiemdziesiąt lat temu José Ortega y Gasset (*Szkice o miłości*). A Czesław Miłosz w *Piesku przydrożnym* całkiem niedawno dodał: „Zakochiwać się nie znaczy być zdolnym do miłości. To co innego”.

Ileż jest tych miłości: miłość erotyczna i platoniczna, miłość bliźniego, miłość matki, miłość ojczyzny, którą ostatnio próbowała okraścić importowane walentynki zatroskana o narodowe wartości Młodzież Wszechpolska. I jeszcze powiada – za apostołem Janem – w tytule swej pierwszej encykliki Ojciec Święty Benedykt XVI: „Bóg jest miłością”.

Przecież miłość jest kwintesencją i podstawowym przesłaniem chrześcijaństwa, najważniejszą z cnót kardynalnych; więc nie można ani ukryć jej pod układnymi frazesami, ani sprowadzić do damsko-męskiego erotyzmu. Więc może dałaby się oswoić jako pobożna kontemplacja ofiary Chrystusa, która jednak raczej przeraża bezmiarem okrucieństwa, niż przyciąga potęgą serca, którą przez to niezbyt pojmujemy, ale tym bardziej się jej boimy?

Wszyscy mówią, a przynajmniej myślą o miłości, ale każdy odzuwa ją inaczej. Co to jest miłość? Skąd się bierze? Tu już skłonni byłibyśmy milczeć. Od początków filozofii aż do dzisiaj brzmi pytanie: skąd bierze się zło? *Unde malum?* Wszyscy odpowiadają na nie inaczej, ale nikt nie ma satysfakcjonującej odpowiedzi i prawdopodobnie nie będzie jej aż po kres dziejów. Tymczasem pytanie o miłość jest jeszcze ważniejsze i równie trudne. Nawet nie „skąd miłość?”, ale „co to jest miłość?” Bo czym jest zło – wiemy: zło boli, choć nie wiemy, skąd przychodzi. A miłość? Przecież uskrzydła i przynosi rozkosz tylko w niektórych swoich przejawach, częściej pozostawia łagodną gorycz, dobrze jeśli przyniesie kojące uspokojenie.



A jednocześnie nie ma słowa tak bliskiego nam wszystkim: tęsknimy do miłości, nie możemy żyć bez miłości, choć zwykle bardzo skąpi jesteśmy w jej okazywaniu. Czym jest miłość, skąd przychodzi? Jak ją pozyskać?

Fundamentalne rozdarcie

Greccy filozofowie – choć wielbili i wychwalali miłość – zdawali sobie sprawę z jej skomplikowanej wieloznaczności. Na ogół była ona rozumiana jako rozdarcie tego pojęcia na dwa człony: miłość cielesną, której odpowiada słowo „eros”, i duchową, zwaną „agape”. Albo podobnie: miłość ekstazyjna, zmysłowa i przeciwstawna jej miłość kontemplacyjna. Oczywiście tę drugą, której siedliskiem jest umysł, a nie ciało, chciałoby się nazwać „wyższą”, skąd już prosta droga do potępienia cielesności i zepchnięcia erotyki w podziemie. Tak też bywało: czasem te dwa człony mogą harmonijnie stapiać się w jedność, ale częściej gryzą się jak psy. Eros bez agape nie zasługuje wprawdzie jeszcze na całkiem współczesne określenie „seks bez miłości”, ale jest jego blisko, bo sprowadza się do kultu pięknego ciała. Agape bez seksu to twór, który bezpłciowe stare ciotki (także męskie!) niesłusznie nazywają „miłością platoniczną” i stawiają za wzór młodym, pełnokrwistym osobom, z racji wieku wypełnionym erotyką jak winne grona sokiem. Niesłusznie, bo Platon słauił Erosa i stawiał go wysoko.

Chrześcijaństwo poszło oczywiście w tę drugą stronę i uprzywilejowywało miłość kontemplacyjną, a w swych ciemniejszych okresach erotykę omalże wyegzorcyzmowało. Nie da się jej uśmiercić, bo ustałoby rozmnażanie ludzi, ale udało się uczynić z niej wadę i grzech. I oto po stuleciach potępienia grzesznej erotyki, po zepchnięciu jej w naszych czasach już nie – jak kiedyś – do podziemia, ale na margines rozumianej po chrześcijańsku miłości, wkracza Ojciec Święty Benedykt XVI i w swojej pierwszej encyklice *Bóg jest miłością* wydobywa erosa z dotychczasowego poniżenia i odepchnięcia, pokazując, że eros oraz agape dopełniają się nawzajem, a szczyt tego dopełnienia ma miejsce w Bogu. Autor encykliki idzie tak daleko – że cy-



tując Nietzschego – pyta, czy niemiecki filozof nie miał racji, pisząc, że „chrześcijaństwo podało erosowi truciznę”? To bardzo mocne i niezwykłe słowa. To wyniesienie erosa na tron zajmowany dotąd tylko przez agape jest być może najbardziej rewolucyjnym w chrześcijaństwie przesłaniem od czasu, gdy jego wielki poprzednik Jan Paweł II napisał również w swej pierwszej encyklice: „człowiek jest drogą Kościoła”.

Oczywiście eros to nie tylko seks, ale zmysły, uczucie, ekstaza. Także święta ekstaza mistyków. Fundamentalne rozdarcie znajduje swoje Boże złączenie. Miłość potrzebuje obu nóg, na jednej się chwileje. O miłości erotycznej w sposób, w jaki uczynił to w pierwszej encyklice Benedykt XVI, mówiono w historii chrześcijaństwa naprawdę bardzo rzadko. W Nowym Testamencie eros przecież jest nieobecny.

Jest to bardzo piękne i bardzo ważne, ale jeszcze nie tłumaczy, czym jest miłość i skąd przychodzi.

Miłość cierpliwa jest...

„Miłość cierpliwa jest, miłość dobrotliwa jest, nie zazdrości, miłość nie jest chepliwa, nie nadyma się. Nie postępuje nieprzystojnie, nie szuka swego, nie unosi się, nie myśli nic złego. Nie raduje się niesprawiedliwością, ale raduje się z prawdy. Wszystko zakrywa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko znosi” – pisze z talentem wielkiego poety św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian. Ten bardzo znany cytat pokazuje prawdy niechętnie rozumiane zarówno przez kochanych, jak i kochających. Taka miłość wyklucza zazdrość, podejrzliwość, pychę i poczucie własności. Jest za to nieskończenie cierpliwa. Nie wyklucza łatwowierności, wręcz naiwności wobec tego, kogo kochamy. Można by powiedzieć, że miłość według św. Pawła jest głupia, a nawet frajerska. No, bo cóż to znaczy: „wszystko znosi” i jeszcze „zakrywa” to, co bolesne? Postąpisz brzydko wobec takiej kochanki czy kochanka, zdradzisz, ponizysz, zranisz i dalej ma być dobrze? Przecież jeśli ja ciebie kocham, to znaczy, że należysz do mnie i nie tylko wara od ciebie innym, ale



masz postępować tak, jak ja sobie życzę – w ten sposób przecież myśli większość ludzi, w imię tego poczucia własności zawierane są śluby

Miłość nie jest wymianą ekwiwalentną – jest darem. | i dokonują się rozwody. Tymczasem Pawłowy głos sprzed tysiącleci mówi coś zupełnie innego: miłość nie jest wymianą ekwiwalentną – jest darem. Darem bezinteresownym. Chcę, byś

był szczęśliwy, jeśli będziesz dzięki mnie, to szczęście okaże się wspólne. Ale ponieważ kocham, ty jesteś ważniejszy ode mnie. Jestem więc gotów zaprzecić się samego siebie w imię twego szczęścia; zrezygnować z mojego, złożyć ci je w darze. Choć wylano morze atramentu na opisanie relacji między miłością a nienawiścią (choćby wspomniany tu Ortega y Gasset), taka miłość nie graniczy z nienawiścią i nie przekształca się w swoje przeciwieństwo w razie niepowodzenia. Taka miłość kontentuje się radością dawania, nie bacząc, czy i ile weźmie w zamian. Jakże mało ludzi jest zdolnych do takiej miłości. Nie tylko w związkach erotycznych, także w miłości rodzicielskiej, kiedy lato-rośl nie spełnia nadziei starszego pokolenia i idzie własną, przez siebie tylko wybraną drogą. Ta postulowana bezinteresowność, wręcz naiwność miłości dotyczy także Boga. Czy bardziej się Go boimy czy Go kochamy? A jeśli kochamy, to za nadzieję zbawienia i wymodlone łaski, tak jak kochamy małżonka „za to”, że zapewnia nam finansową stabilność albo domową obsługę? Marna to miłość „za coś”.

To dotyczy także tej miłości, której na ziemi zaznać nie możemy, ale w nią wierzymy: miłości Boga do nas – stworzonych. Za co kochać tak marne, słabe i grzeszne istoty? Już raczej należałoby – jak chcą inne religie albo co głębsi kapłani tej, którą wyznajemy – trzymać te odrażające istoty krótko, karcieć ostro, straszyć przekonująco. Wtedy może będzie trochę porządku. Jakże łatwo oszukać miłość, która jest cierpliwa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko znosi? Czy Wszchemogący może tak głupio i naiwnie kochać. Tu właśnie jesteśmy blisko sedna sprawy: miłość Boga do nas, ludzi – jeśli w ogóle istnieje – jest najbardziej bezinteresownym darem, najbardziej naiwną z wiar. Jest także przesłaniem: jak kochać. Niebawale trudne to przesłanie i ponad ludzkie siły, tak jak ponad ludzkie siły jest przesłanie Krzyża, a nawet solidarność rozumiana według Ewangelii jako „jeden drugiego ciężary noście”.



Tu właśnie – już niedaleko sedna naszych poszukiwań – zaczynamy rozumieć inną ewangeliczną maksymę: „zło dobrem zwyciężaj”. Ale można to – posługując się tym samym źródłem – nazwać jeszcze inaczej: „miłujcie nieprzyjacioły swoje”. Tu właśnie zaczynamy pojmować znaną i wielokrotnie trywializowaną sentencję św. Augustyna: „kochaj i czyń, co chcesz”. Zwłaszcza jeśli będziemy pamiętać, że akurat ten człowiek tak bardzo borykał się ze swoim erosem, że wiedział tak wiele, i to z praktyki własnej młodości, o potęgę zła, któremu ulega chwiejna istota ludzka, iż wątpił w nasze szanse na zbawienie, uważając je za dostępne jedynie dla wybranych, omalże świętych. Miłość jest bowiem nie tylko bezinteresownym darem, nie tylko „pierwszą naiwną” pełną udzielonego na kredyt zaufania, w cierpliwości i pokorze „znoszącą wszystko”, ale także zobowiązaniem i odpowiedzialnością. Miłość – nawet bezgranicznie łatwowierna i gotowa „zakrywać” zło, nie jest lekkomyślnością. Ten, kto kocha, nigdy nie uchybi miłości.

Jeśli kocha...

Inna nazwa solidarności

Czym więc jest miłość? Dziś, w XXI wieku, znamy aż nadto dobrze sforę diabłów siedzących w człowieku i urządzonym przezeń świecie. Cała poczciwa teodycea usiłująca bronić wszechmocy i dobroci boskiej w świecie pełnym zła i cierpienia okazuje się bezbronna wobec Holokaustu albo komunizmu. Trudno po Oświęcimiu i Kolumbie wierzyć oleodrukowi, na których Anioł Stróż przeprowadza dzieciaki kładką ponad przepaścią, a dobra Bozia spełnia modlitewne życzenia poczciwców. Tym bardziej że w świecie – który już przeżył wszystko co najgorsze – Bośnia, Rwanda czy Kosowo powtarzają się w kolejnych odsłonach, a polityka albo jest bezsilna, albo wykazuje zręczność kulawego słonia. Jak wierzyć w dobrego Boga, jeśli modelem świata jest Holokaust, a jego przeznaczeniem apokalipsa? I oto w takim świecie wciąż zdarza się bezinteresowna i cierpliwa miłość, jak zieleń odradzająca się na wypalonym kolejnymi wybuchami kraterze, jak wieczna i niepowstrzymana recydywa nadziei.



Tylko to pozwala uwierzyć w lepszą niż doczesna rzeczywistość i tylko to jest jedynym, dostrzegalnym dla każdego znakiem Bożej obecności. A jeśli ktoś nie wierzy w Boga? Nic nie szkodzi, najwyżej jest mu trudniej, bo nie ma gdzie zaczepić swojej kotwicy wśród oceanu rozpaczy. Jeśli kocha i jeśli nie spodziewa się niczego w zamian, jest świadkiem tej samej prawdy.

Z tej dopiero perspektywy warto spojrzeć na słowa „Bóg jest miłością”, które nie tylko są tytułem niedawnej encykliki Benedykta XVI, ale były też siedem lat temu hasłem kolejnej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Karol Wojtyła powiedział nam wtedy coś bardzo ważnego, ale nieuważnie przez nas dostrzeżonego – o miłości właśnie. Kiedy ledwie tylko dotknął w 1999 roku w Gdańsku polskiej ziemi, zwrócił się do nas – parafrazując zawołanie z lat osiemdziesiątych – „Nie ma solidarności bez miłości!”. Tak w wolnej Polsce podał nam klucz do tego, co mówił już tutaj o wiele wcześniej, kiedy witaliśmy go zakazanymi politycznie transparentami i darliśmy się ze szczęścia, kiedy wymawiał słowo „solidarność”. Tymczasem popełnialiśmy błąd politycznego zaślepienia, który uniemożliwia wysłuchanie i zrozumienie tego, co najważniejsze, bo mówił nie o Solidarności, ale o solidarności pisanej małą literą. Polityczny przewrót w naszej części Europy wydawał się wtedy odległy jak najdalsza galaktyka, ale solidarność pisana małą literą była w zasięgu ręki. Tylko że droga do niej prowadziła nie przez demonstracje i transparenty, ale przez sumienia. Jak być solidarnym? Na co dzień. Gdybyśmy go wtedy trochę uważniej wysłuchali, trochę lepiej zrozumieli i rzeczywiście chcieli rozważyć w swoim sumieniu postawione wtedy pytania, to może zwyczajem w historycznym 1989 roku Solidarność nie rozstałaby się tak szybko z solidarnością. Może zdołalibyśmy pojąć, że biorąc za nazwę związku słowo tak ważne, tak fundamentalne dla relacji pomiędzy ludźmi, a jednocześnie słowo – jak wszystkie pojęcia z zakresu moralności – tak trudne do jednoznacznego sprecyzowania, bierzemy na siebie ciężar zobowiązania i nadziei. Ciężar, któremu nie sprostała ani „sentymentalna panna S.”, ani tym bardziej ta przywiedła sekretnica, jaka z niej wyrosła. Nie sprostaliśmy wszyscy, my, Polacy. Bo bez solidarności pisanej z małej litery, bez solidarności pomię-



dzy ludźmi i narodami nie da się ułożyć spraw świata XXI wieku, tak jak nie udało się to w stuleciu minionym.

Gdy tylko wypłyniemy na szersze wody poza piękną skądinąd krainę Wysp Szczęśliwych miłości damsko-męskiej, to okazujemy się bezradni wobec miłości w szerszym ujęciu, wobec miłości bliźniego. Można kochać jednego lub jedną. Można kochać raz tego, raz tamtego. Wprawdzie Erich Fromm w *Sztuce miłości* pisze: „Miłość do jednego człowieka zakłada miłość do człowieka w ogóle”, ale jak kochać wszystkich? Pojmujemy więc tę miłość wzajemną albo jako jedno z tych szczytnych wskazań, z którymi wypada się zgadzać, ale nie sposób ich przestrzegać, albo w najlepszym razie jako czułościową litość nad biedniejszymi i gorszymi od siebie nazywaną „miłosierdziem”. Tymczasem aby ludzi kochać, nie trzeba wcale ich obejmować, nie trzeba się z nimi całować, nie trzeba się nad nimi użalać, ale trzeba im pomagać. Nawet nie trzeba ich osobiście znać. Trzeba być tylko z nimi solidarnym. Miłość jest pomocną ręką wyciągniętą przez człowieka do człowieka, snopem światła w ciemności, w której spodziewamy się odnaleźć tylko zło, a w najlepszym razie obojętność. Trzeba im służyć, nie pytając o odpoczynek i zapłatę. Trzeba im służyć nieraz aż do wyczerpania, tak jak wyczerpany padł w tymże 1999 roku Ojciec Święty w Krakowie, aby już następnego dnia ruszyć do obowiązków przerastających siły osiemdziesięcioletniego starca. Trzeba im służyć nawet wtedy, kiedy się wie, że na koniec oplują i znieważą, tak jak opluli Chrystusa – jeszcze kilka dni wcześniej gotowi iść za Nim – mieszkańcy Jerozolimy, nim został wydany na mękę. Miłość nie patrzy w zwierciadło ani nie szuka rewanzu. „Miłość cierpliwa jest”. Jeśli tylko dlatego kocham, że spodziewam się być w zamian kochany, to kiepsko z moim sumieniem, podobnie jak wtedy gdy słowo „solidarność” umieszczam jedynie na sztandarach. Wskazanie „jeden drugiego ciężary noście!” dokładnie opisuje, na czym polega miłość bliźniego. Tylko tyle i aż tyle. Tu jest klucz zarówno do miłości, jak solidarności, klucz znany przynajmniej od czasów, gdy w Jerozolimie ukrzyżowano pewnego człowieka, którego część plebsu miała za Mesjasza. Tylko tak trudno to zrozumieć i jeszcze ciężiej podjąć.



Czym bowiem była ta ofiara? Bóg tak ukochał stworzonych na obraz i podobieństwo swoje, że sam – w osobie swego Syna – postanowił dzielić ich marny, pełen grzechu i cierpienia los i wreszcie umrzeć najbardziej ówczesnie pogardzaną i bolesną śmiercią. Tylko po to, by pokazać swoim dzieciom, że są kochane i że – nade wszystko – one także, przez postępowanie drogą Chrystusa, mogą kochać tak jak kocha Bóg. Nie była to – jak chcą co głępsi kapłani – ofiara na przebłaganie obrazonego Ojca, lecz akt solidarności. To wszystko. Reszta jest jedynie liturgią.

Naśladowanie Chrystusa to nie cierpiętnictwo, ale solidarność: pomaganie innym w noszeniu nałożonych na nich ciężarów nieraz przerastających ich ludzkie siły.

Zapewne jak nigdy dotąd w dziejach świata właśnie teraz – wobec potęgi zła i aroganckiej pychy – człowiek potrzebuje takiego drogowskazu. Ale czy go zrozumiał, czy do niego dorósł? Ilu chrześcijan jest gotowych nie tyle iść w niedzielę do kościoła, ile iść cierniową drogą poświęcającego się dla innych Chrystusa? Albo inaczej: jak napisał jeden z bliskich mi autorów – „mamy w Polsce bardzo wielu katolików, ale bardzo mało chrześcijan”. Owszem deklarujemy wiarę w Boga, ale czy żyjemy tak, aby Bóg był w stanie uwierzyć w nas?

Najważniejszy dowód na istnienie Boga

Pisze Fromm we wspomnianej tu książce: „Miłość jest jedynym rozwiązaniem problemu ludzkiego istnienia”. To jedna z najważniejszych prawd, choć można nazywać ją rozmaicie i w różne szaty ubierać; także liturgiczne. Człowiek jest samotnym bytem obdarzonym rozumem i uczuciami. Rodzi się nie ze swej woli i umiera zawsze za wcześnie. Żyje z przejmującym poczuciem osamotnienia i jedynie miłość może je rozświetlić. Każda miłość. Erotyczna. Matczyzna albo ojcowska. Miłość bliźniego jako solidarność. Człowiek pragnie nie tylko kochać, ale nade wszystko pragnie być kochanym.

To właśnie ludzkie pragnienie miłości – równie powszechne i równie niezaspokojone zarówno wśród biedoty, jak wśród najmożliwszych – jest być może najważniejszym i bez trudu dostrzegalnym do-

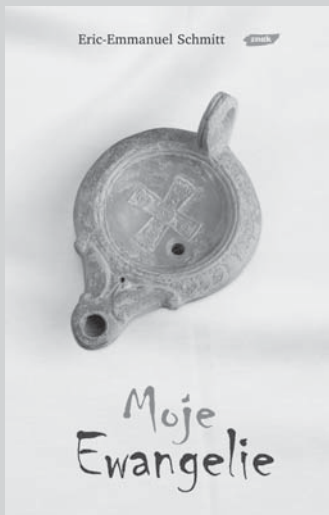


wodem na istnienie Boga. Kiedyś powiadano, że najpierw bożków, a potem Boga stworzył ludzki strach. Być może... Na pewno strach stworzył niektóre obrazy Boga, o bożkach nie wspominając. Tylko że strachu w istniejącym świecie od dawna jest przeogromny nadmiar. Jedyne, co może rozświecić ten strach i osamotnienie, jest miłość. Tylko ona może nadać temu bezmiarowi cierpień jakiś sens. Największym cudem jest, że jeszcze się zdarza w świecie, w którym nawet nie warto pytać *unde malum?*, tylko najwyżej: po jaką cholere ludzie jeszcze usiłują być dobrzy?

Jest więc w świecie po Holokauście, Gułagu i wszystkich – jak je tam zwać – Rwandach, Irakach czy Bośniach jedna tylko przesłanka skłaniająca do wiary w Boga, ale bynajmniej nie intelektualna, nie naukowa, lecz serdeczna: miłość. A jeśli nawet Boga nie ma, to istnieje nasza potrzeba miłości i być może to ona stwarza Istotę Najwyższą w jej najlepszych i najbliższych ludzkiemu sercu obrazach. To już lepsze niż strach. Ale jeśli Bóg ma być tylko bajędą, która wyklula się z niezaspokojonej potrzeby miłości, to dlaczego ta miłość potrafi być tak bezinteresowna, tak słabe ma zakorzenienie w zdrowym rozsądku i w realnych rachubach na to, co przynosi doczesny świat? Dlaczego ta potrzeba miłości nie jest ani dzieckiem, ani nawet bękartem ewolucji, dlaczego jest aż tak irracjonalna?

Być może naprawdę kochać Boga potrafi tylko Hiob, człowiek na dnie cierpienia i odrzucenia, bo jego już nikt nie kocha.

Organem wiary jest więc serce, nie rozum. Już św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian pisze, że dla rozumu niewierzących wiara jest „głupotą”. Ale jeśli tak, to powinna być całkowicie bezinteresowna. Wierzę nie dlatego, że mi się to może opłacić w życiu przyszłym, a może i doczesnym, ale wierzę dlatego, że kocham i jestem kochany. Wierzę nie dlatego, że pozwala mi to czuć się lepszym od innych i udzielać im moralnych pouczeń albo orzekać o czyimkolwiek potępieniu. Wierzę, aby służyć. Ale jeśli tak, to należałoby batogiem – tak jak Chrystus przepędził ze świątyni przekupniów – precz przegonić zarówno kapłanów przemawiających w poczuciu swej wyższości nad przygłupią „trzędką”, jak i polityków za pomocą dewocyjnych sloganów lub „nauki społecznej Kościoła” usiłujących wymościć sobie parlamentarne fotele. Ba, żeby tylko ich...



Eric-Emmanuel Schmitt **Moje Ewangelie**

Dwaj protagoniści, Jezus i Piłat, nie są przygotowani na to, co ich spotyka: obaj myślą racjonalnie, chcą widzieć świat taki, jakim go poznali, bez obszarów cienia i światła, uporządkowany przez wiedzę, tradycję, praktykę. Z początku odrzucają tajemnicę. Zostają bowiem zderzeni z czymś wielkim, niepojętym, z dwoma wydarzeniami, których nie są w stanie ogarnąć rozumem: dla Piłata będzie to zmartwychwstanie, dla Jezusa – Jego mesjańskość.

Tom esejów filozoficznych Jerzego Surdykowskiego *Wolanie o sens* ukazał się właśnie nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka w Warszawie. Obecnie drukowany esej rozpoczyna nową serię.

JERZY SURDYKOWSKI, ur. 1939 r., pisarz, dziennikarz, publicysta, obywatel. W latach 1970-1980 wiceprezes SDP. W latach 1990-1996 konsul generalny w Nowym Jorku; od 1996 roku ambasador Polski w Tajlandii. Ostatnio wydał: *SOS* (2005).



Małgorzata Łukasiewicz

Wyjście z cyrku

Językowa wirtuozeria – „prowokacyjna sztuczność” – to znak firmowy autora. Inny, tragiczny znak firmowy to fascynacja śmiercią i unicestwieniem. Hermann Burger w 1988 roku opublikował aforystyczny *Tractatus logico-suicidalis*. W rok później, mając 47 lat, popełnił samobójstwo.

Kim są nasi znajomi, bohaterowie naszych książek? Są bohaterami, i wszystkie inne ich atrybuty i określenia powinny nas w tym przekonaniu utwierdzać. Jeżeli literatura chce w swojej grze z czytelnikiem posłużyć się bohaterem – bo literatura zna też inne strategie i może się bez bohatera w tym rozumieniu obyć – jeżeli więc ma być bohater, musi to być ktoś, komu spokojnie na jakiś czas możemy powierzyć przeżywanie losów i przygód, które gotowi bylibyśmy z zainteresowaniem śledzić. Musi jak gąbka chłonać z atmosfery tak zwane dobre pytania. Rekomendacje na stanowisko bohatera bywają oczywiście bardzo różne, odmieniają się przez epoki, gatunki i do-
rażne okoliczności. Kiedyś – królowie i wodzowie; potem – tacy, co to dopiero szukają swego miejsca; zawsze – ci z zasady bez przydziału, spoza układów, łazikowie i sowizdrzały; po każdej wojnie – przegrani i wygrani; od czasu romantyzmu – artyści, bo w nich widziano najpojemniejsze naczynie pełni człowieczeństwa.



Cechą predestynującą bywa stan albo stanowisko społeczne, wyrazista osobowość, silna namiętność, szczególne losy, rzadziej zawód. Zawód jako taki najwyraźniej jest za mało podmiotowy i za słabo wyróżniający. Owszem, u Conrada pojawiają się marynarze, ale u Conrada to właściwie nie zawód, tylko posterunek ludzkości na froncie walki z żywiołami. To samo dotyczy wielorybników. Owszem, w powieściach kryminalnych są detektywi i inspektorzy policji, ale to znowu właściwie nie zawód, tylko wielka misja rycerza prawdy w walce ze złem. Lekarze, jak Judym albo doktor Rieux, to też raczej delegatura sił dobra niż konkretna, fachowa sprawność. Zastanawiać by się można, czy fachowcem jest geometra K.

Na zawodowe kwalifikacje literackich bohaterów zeszło w związku z książką Hermanna Burgera *Diabelli i inne pisma do dyrekcji*. Składają się na tę książkę cztery utwory, których tytuły najlepiej będzie wypisać słupku, jeden pod drugim, aby zagrały swoją niewymiarną rozciągłością:

*Pomocnik orkiestry. Podanie o posadę,
Prestidigitator Diabelli. Wolta pożegnalna dla barona Harry'ego Kesselringa,*

Zentgraf w górach czyli Trzęsienie ziemi w Soglio. Krótka rekapitulacja szkód sporządzona dla potrzeb Szwajcarskiej Służby Sejsmograficznej,

Zaćmienie wodospadu w Badgastein. Hydrotestament w pięciu częściach.

Co je łączy? Już z tytułów widać, że na pewno łączy je osobliwy język, w którym rozbuchane wielosłowie zderza się z ambicjami rygorystycznej precyzji, a w efekcie jedno i drugie staje się karykaturą albo parodią samego siebie. Językowa wirtuozeria – „prowokacyjna sztuczność”, jak pisze w posłowniu Jacek Buras – to znak firmowy autora. Inny, tragiczny znak firmowy to fascynacja śmiercią i uniecznieniem. Hermann Burger, germanista i wykładowca literatury na wyższych uczelniach szwajcarskich, poeta, prozaik i krytyk literacki, w 1988 roku opublikował aforystyczny *Tractatus logico-suicidalis*; w rok później, mając 47 lat, popełnił samobójstwo.

Każdy z tych czterech utworów jest ubrany w formę tekstu użytkowego – listu, podania, sprawozdania, testamentu. Niejaki Schramm



zwraca się do dyrektora odpowiedniego gremium, by zatrudniono go w charakterze pomocnika orkiestry w filharmonii. Prestidigitator Diabelli odpowiada odmownie na propozycję występu w czasie obchodów sześćdziesiątych urodzin barona Kesselringa. O śmierci Zentgrafa w czasie trzęsienia ziemi donosi jego sekretarz – a kim jest Zentgraf? Jako zawód na formularzu meldunkowym podaje „niezależny czytelnik”, a poza tym jest tanatozofem, zagubionym we współczesności prorokiem, nękającym swoimi prowokacjami turystów w górach. Nocny portier z sanatorium składa relację z geologicznej katastrofy, w wyniku której zapadł się pod ziemię wodospad, a zarazem ujawnił się sens zaginionej symfonii Schuberta. Pod kostiumem użytkowej formy i rzeczowej komunikacji ukrywają się monologi absolutnej, wysokogórskiej samotności, bez słuchacza i adresata.

Dziwne postaci i profesje dziwne – wszyscy trochę jakby się urwali z romantycznej szopki, z opowieści E. T. A. Hoffmanna. W Diabellim i jego kolegach sztukmistrzach z całą pewnością żyje albo straszy duch romantycznego geniusza, człowieka-artysty. Diabelli sam opowiada, jak to w dzieciństwie zapowiadał się na prawdziwego artystę. „Oryginalność i wyobraźnia: te dwa magiczne słowa zdominowały moją młodość”. Oryginalność Diabelli rozumie krańcowo: oryginalne jest to, co bierze się znikąd, *ex nihilo*, a on również wziął się znikąd, ponieważ nie miał matki. Zastanawia się, „skąd ten nagły zwrot od rozpoczętej kariery ku wysokiej, ba, najwyższej sztuce, ucieczka ze stojącego przede mną otworem królestwa piękna do baronii figlarstwa”. Ogląd sztuki w krzywym zwierciadle sztukmistrzostwa trąci nieco kokieterią, ale może być też poważnym aktem autorefleksji. Zresztą Burger nie jest pierwszy – klauni i pierroci od dawna rozsnuwali powagę swojej melancholii, Rilke w *Piątej Elegii Duinejskiej* przyglądał się linoskoczkom, wcześniej Zaratustra u Nietzschego spotkał się z „wiłą” poszukującym prawdziwego człowieka. Ani nie jest ostatni – bohaterem książki Daniela Kehlmana *Beerholm przedstawia* też jest sztukmistrz i też na końcu „schodzi ze sceny”. W każdym razie okazuje się, że wszystkie dylematy artysty odnajdują się w kondycji kuglarza, i to nawet w postaci jeszcze bardziej dobitnej i dotkliwej. Figura akrobaty udosławia osobiste zaangażowanie w uprawianą sztukę, aż po ryzykowanie własnym ciałem i życiem.



Figura iluzjonisty eksponuje moment zawieszenia między prawdą a pozorem. Cyrkowa publiczność, tak podatna, wstrzymująca oddech przy popisach na linie i z uciechą reagująca na każdego króliczka wydobytego z cylindra, to publiczność idealna, wymarzona, ale cyrkowy artysta wie, ile w tym manipulacji z jego strony. Im wspanialszy występ, tym większa samotność artysty. „Byłem sam ze swoją mizerną wiedzą o tym, jak to się robi, i żadne diabelskie sztuczki nie zdołałyby mi pomóc wyczarować przyjaciela, który by nie pamiętał, co potrafię, i traktował mnie jak równego sobie”. Bo dochodzi jeszcze i to: cudowny, niepojęty, ze wzruszeniem podziwiany przez publiczność efekt jest od strony artysty sumą chwytów, tricków, *know-how*, starannie pielęgnowanej sprawności. W monologu Diabellego mamy przegląd takich kuglarskich technik wszech czasów, łącznie ze zdemaskowanym przez Poego automatem do gry w szachy. A wreszcie sam list-monolog jest w całości właśnie „volta”, literacką sztuką cyrkową, popisem erudycji i językowej ekwilibrystyki, z karłowatymi wywodami, z balansowaniem na linie metafor, z brawurowymi łamańcami długich okresów. A cały ten kunszt retoryczny zaraz też jest jako taki dezawuowany:

W istocie rzeczy żaden znak nie jest dla mnie wystarczająco dziwaczny, kiedy chodzi o to, żeby opisać rzemiosło iluzjonistyczne: możliwie ekscentryczny zbiór liter w ekscentrycznym porządku (słownictwo jako gabinet osobliwości), który zdemaskowany – bo narzucone Panu, Szanowny Panie Baronie, szperanie w słowniku wyrazów obcych nie doprowadzi przecież do niczego innego jak do zdemaskowania takich językowych wygibasów – okazuje się fonetycznym hałasem o nic, cyrkową akrobatyką języka bez żadnej misji wewnętrznej: oto sposób artykulacji, który przystoi kuglarzowi.

Monolog Diabellego jest jak wielki donos na sztukę i wielki nad nią lament. Można się w nim doczytać, że katastrofa stała się nieunikniona z chwilą, gdy do rzeczy wzięło się oświecenie do spółki z tym, co się zwie romantyczną ironią. Człowiek, który przyjął do wiadomości, że za wszystkim ostatecznie stoi on sam, musiał pogodzić się z tym, że zamiast tajemnicy będą już odtąd tylko tricki, kolejno demaskowane. („Cały dowcip polega na demaskowaniu” – mówi Warionucha, przygotowując występ Wolanda u Bułhakowa).



Czy Burger pokazuje jakieś wyjście z tego cyrkowego namiotu? Jedno, bardzo niejednoznaczne, przewija się w pierwszym opowiadaniu. Być pomocnikiem orkiestry, być głuchym na wielkość sztuki (tak zachwala swoje kwalifikacje Schramm, jednocześnie popisując się wybornym znawstwem spraw muzyki) i czuć tylko nad sprawnym, perfekcyjnym wykonaniem. Nie być artystą, być zawodowcem. Ale czy wtedy będą nas jeszcze malować, będą o nas pisać? Inne wyjście jest zagadkowe, zarysowane tylko w jednym, końcowym zdaniu i nie wiadomo, dokąd prowadzi. To jest może ten jeden jedyny raz, kiedy Burger zatrzymuje lawinę kunsztownie powiązanych słów i pozostawia miejsce na coś jeszcze nieprzewidzianego i nie zagadanego. W *Zentgrafie*, po trzęsieniu ziemi i po śmierci proroka-tanatozofa, sekretarz kończy swoje sprawozdanie tak: „Postanowiłem pozostać jeszcze przez kilka dni na obszarze dotkniętym katastrofą”.

Hermann Burger, *Diabelli i inne pisma do dyrekcji*, przeł. Jacek St. Buras, Gdańsk 2006; Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. Wacław Berent, Poznań 1995; Daniel Kehlmann, *Beerholm przedstawia*, przeł. Jakub Ekier, Warszawa 2004; Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, przeł. Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski, Warszawa 1970.

MAŁGORZATA ŁUKASIEWICZ, tłumaczka, eseistka, autorka monografii *Robert Walser* (1990).



Halina Bortnowska

* * *

Na dworcu gdańskim 8 marca

8 marca 2006. Tablica na bocznej ścianie budynku zwróconej na wschód, tej, obok której zablocony parking, spękane płyty, trochę śmieci, poczerniały zmarzły śnieg. Opodal, bardziej w słońcu, grupka kilku, potem kilkunastu osób. Stare kobiety w futrach, parę dziewczyn w ładnych kurteczkach. Mężczyźni też głównie posiwiali, pochyleni.

Godzina 12. Jak żalobnicy wokół grobu, tak tu grupka przywarła blisko ściany, nawet nie patrzą na tablicę mówiącą o wygnanych w 1968 roku. Nie słysząc, co ktoś mówi, składając wieniec i tulipany rodem z innej tradycji.

Ja sama głównie słucham echa w sobie: „Umschlagplatz”. Inny, bo stąd polskie pociągi wiozły pasażerów z biletami w jedną stronę, niedobrowolnie opuszczających swoje dotychczasowe życie. Ale przecież nie życie jako takie.

Pod słuchuję fragment wywiadu, widząc tylko twarz dziennikarki i pochylone plecy mówiącego: „tu, właśnie tu wisiał różowo-fioletowy plakat, taki jak okupacyjne obwieszczenie, specjalnie taki, na nim nazwiska wypędzonych i zapowiedź, że będą następne takie listy”.



Sędzia

Hans-Jürgen Papier, sędzia Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe. Na gazetowej fotografii: czerwona toga, biały załot. Oblicze jakby pastorskie. Podobny wyraz, w którym jest niepewność, troska i determinacja. Dość długo – od listopada 2005 – oczekiwany wyrok. Odpowiedź na dramatyczne pytanie: Czy wojsko, konkretnie Luftwaffe, może uczestniczyć w wojnie z terroryzmem, czy może paść rozkaz zestrzelenia porwanego samolotu, aby gdzieś we Frankfurcie czy Berlinie nie powtórzyła się zagłada nowojorskiego WTC?

O sprawie pisze 16 lutego 2006 roku w „Gazecie Wyborczej” Bartosz Wieliński.

Krótką informacyjną notą, może nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie zainteresowało mnie spojrzenie człowieka na towarzyszącym tekstowi zdjęciu. Więc przeczytałam, co napisał korespondent „Gazety”:

...Trybunał uznał za niezgodne z niemiecką konstytucją najważniejsze zapisy ustawy o bezpieczeństwie lotniczym, która weszła w życie w 2004 roku. Sędziowie uznali, że zabijanie niewinnych ludzi bez względu na okoliczności jest sprzeczne z prawami człowieka...

Poszukiwania w Internecie (które skutecznie podjął dla mnie P.) dały efekt: dowiedziałam się nieco więcej, choć nie tyle, ile bym chciała. Godziny słuchania wielostronicowego wyroku, z jego szczególną stylistyką, punkt po punkcie, „z uwagi na ustawę tę i tamtą”, „w odpowiedzi na argument taki a taki...”. Wrażenie skupienia, powagi.

Z angielskiego komunikatu biura prasowego Trybunału dowiedziałabym się mniej. A mnie jednak obchodzi fakt, że przed sędzią Hansem Jürgenem Papierem – profesorem uniwersytetu monachijskiego, doktorem *honoris causa... etc.* – ze swoją skargą stanęli czterej prawnicy (niewymienieni tu z nazwiska) oraz pilot kapitan Hans Albrecht. To oni formalnie zażądali sprawdzenia, czy zgoda na zestrzeliwanie porwanych samolotów nie narusza praw załogi i pasażerów. Skarga została przyjęta, ponieważ z przyczyn osobistych i zawodowych składający skargę korzystają z przelotów samolotami,



które mogą zostać legalnie zestrzelone, bo odpowiednia ustawa na to zezwala. To im sąd odpowiada, a ta odpowiedź zmienia sytuację na niemieckim i europejskim – niebie.

Prawa ludzi składających skargę są ważniejsze niż wszelkie rachuby i względy, które przemawiały za zakwestionowaną ustawą. Są to niezbywalne prawa wszystkich pasażerów i wszystkich członków załóg. Ludzie w porwanym samolocie nie stają się częścią broni, którą agresor zamierza uderzyć. Nie mogą być traktowani jak już martwe przedmioty. W oczach sędziów – obrońców konstytucyjnych zasad – to są nadal suwerenne jednostki chronione najwyższym prawem.

Patrzę na czerwoną togę, w którą przyodziany jest sędzia. Jest w niej coś królewskiego. Trudny wyrok, bo są przecież ludzie, którzy zginą, jeśli porwany samolot uderzy w budynek, gdzie się znajdują. Ten samolot jest pociskiem sterowanym z daleka, lecz bezpośrednio zbrodniczą wolą porywaczy. Ale jak to z bólem i dumą widzi sędzia Papier – prawo nie może pozwolić na egzekucję na niewinnych. Nie może pozwolić? Może NIE pozwolić... Da im inną śmierć, może szansę bohaterskiego oporu. Sędzia się nie uśmiecha. Podpisując ten wyrok jest rzecznikiem bardzo kosztownej godności osoby ludzkiej. Warto pamiętać, że jest taki niemiecki sędzia. Cieszę się, gdy profesor Marek Safjan, prezes polskiego Trybunału Konstytucyjnego, podnosi autorytet Trybunału w Karlsruhe.

Pomysł bez sensu

Pełny człowiek musi umieć odróżniać dobro od zła.

Nieumiejętność tego typu jest chorobą – mamy do czynienia z najcięższym kalectwem, jakie może dotknąć istotę ludzką.

Ludzi nim dotkniętych z całą pewnością nie można wyleczyć przez straszenie złą oceną i pozostaniem na drugi rok w tej samej klasie! Taka groźba może – choć wątpię – być względnie skuteczna jako narzędzie wdrażania do konformizmu wobec kultury moralnej reprezentowanej przez „szkołę” jako system, w którym się tkwi. I to jest jednak nadużyciem. Powtarzanie klasy to nie ma być kara, do-



datkowy rok odsiadki, lecz szansa uzupełnienia braków, pozyskania umiejętności, których z różnych przyczyn uczeń nie zdobył, ale które teraz zdobyć chce i może.

Konformizmu oczekują nie tylko nauczyciele, lecz również rodzice (często inni niż szkoła), a przede wszystkim grupa „koleżeńska” będąca grupą odniesienia i często najmocniejszym źródłem orientacji, wobec czego mówić „tak”, a wobec czego „nie”!

Złe stopnie i repetowanie nie zmniejszą wpływu swojej grupy.

Istotne jest, by przekazywać uczniom informację, czy podoba nam się układ współrzędnych etycznych czy aksjologicznych wbudowany w ich świadomość – i dlaczego. To jest możliwe, ale wymaga dialogu (albo zerwania stosunków). Dialog nie zawsze jest możliwy, ale jest jedynym wyjściem konstruktywnym – coś daje.

Ocenianie „sprawowania” pod sankcją repetowania roku nauki przekreśla dialog. Nie było go przez rok, nie będzie przez dwa lata! Najgorsze, że wymuszony konformizm przekreśla szansę rozwoju sumienia, pogłębia wewnętrzną dezorientację. Nauczycielowi daje czasem iluzję, że osiągnął „swoje”, zwalnia od rzeczywistego wysiłku wychowawczego. Aż znów stanie się coś, co wszystkich przerazi.

Mnie już przeraża to, że tak się mnożą wypowiedzi i pomysły świadczące, że aktualna elita władzy wierzy w dekretowanie i wymuszanie zachowań konformistycznych, że chce osiągnąć skuteczność przez kuszenie: „za obłudę dobrze zapłacimy”.

Dziś odczytane

Wieczór Tischnerowski w Audimaxie. Książd Tischner ukończyłby teraz 75 lat. Mniej lat kończą jego teksty. Czy w ogóle się starzeją? Jak na każde naprawdę ważne pytanie – trzeba i tu odpowiedzieć paradoksem. Im te teksty są starsze, im bardziej blaknie ich oryginalny kontekst – tym znów młodsze i aktualne nową dziś powstającą aktualnością się stają. Dla mnie ta aktualność dziś czytanych tekstów przyćmiła wszystko, co tam jeszcze mówiono. Nawet nie będę do tego nawiązywać, choć pewnie byłoby do czego. Tekst o *homo sovieticus* przeczytała nam Joanna Szczepkowska. Jeszcze raz była głosem wewnętrznym, odzywającym się gdzieś z sąsiedztwa



własnego sumienia. Słowa Tischnera tam były adresowane. Ten adres wcale nie utracił aktualności, choć dawni przyjaciele i przeciwnicy powędrowali w różne strony.

Homo sovieticus: określenie, które zrobiło karierę i się zestarzało. Kiedyś niosło oczywisty ładunek emocjonalny, roztaczało bogaty kontekst. Teraz ktoś młody może wręcz zapytać: „O kogo tu chodziło? Czy nas to ma obchodzić, jakie były te nieszczęsne ofiary systemu?”. Kto by tak myślał, niech posłucha głosu Szczepkowskiej – aktor-lektor wskrzesza to, co czyta.

Przez analogię albo w realnej ciągłości (w ramach „stosunku lustracyjnego”, jak ktoś to nazwał) – chodzi o kogoś, kto dziś jest do głębi uzależniony. Jakby nie istniał naprawdę poza tym, co go warunkuje. Niekochany, źle kochany, jak podejrzewał Jacek Kuroń.

Człowiek uzależniony od pracy – powiedziałabym dziś: „od stanowiska”.

Uzależnionemu – temu, kto nie wytrzymał próby kręgosłupa – Tischner wskazuje, że niszczy siebie, godząc się być klientem, gorzej: chcąc nim być. Chcąc być dostrzeganym i pozostawać pod ochroną silniejszej, kierowniczej woli. Tak, kojarzę to z „nad-rzeczywistością”, którą analizował Alain Besançon, widząc w niej podstawowy czynnik komunistycznego reżymu. Ale – niestety – dziś trzeba wreszcie uznać, że nie tylko komunizm konstruuje i ustawia nad ludźmi nad-rzeczywistość. Mnożą się dalsze próby, na skalę może mniejszą, ale też groźne, znieprawiające, niszczące czcicieli-klientów. Można już podziwiać nadrzeczywistość pravicową. Zresztą taka zawsze była, tylko tak nie nazwana.

Drugie uzależnienie w Tischnerowskim tekście: władza. Jak w oszukańczej piramidzie – klient musi mieć klientów. Uzależniony musi uzależniać, to go uspokaja. Stąd zachłanność na władzę, chęć ulżenia swemu kręgosłupowi przez przerzucenie nacisku na innych.

I jeszcze trzecie ostrzeżenie, które niesie stary tekst, tajemnicza przestroga przed dbaniem o własną „godność”. Przed dbaniem zniewalającym, a więc opartym na wyćwiczonym odruchu,



że dowartościowują albo wciąż obrażają nas i n i. Oni przyoblekają nas w godność lub – gdy ich urazimy – mogą ten przyodziewek z nas zedrzeć. Ja – *animula parvula, blandula* – tylko przez szatę jestem kimś, tylko z łaski nadrzeczywistości.

Los uzależnionego jest żałosny. Żałosny nawet wtedy, gdy jego nadrzeczywistość (ta, której jest zaprzędany) jeszcze działa, wciąż działa. Żałosny, zwłaszcza gdy na poprzednią już nie licząc, oddaje się nowej.

Na koniec wieczoru głosem reżysera Jarzyny Tischnerowsko-góralaska rada: znajdź człowieka, który się z tobą podzieli mądrością i niezależnością. Nie gadaj, słuchaj go.

Tischnera wciąż można czytać, a jeszcze lepiej – niech nam go czytają w niezależnym wyborze pełnym głosem.

27 marca 2006

Samorekolekcje

Dopowiedzenia do *Już / jeszcze nie*

„Nawrócić się”.

Na początek obejrzyć to słowo. Oglądam je po swojemu, badam, co znaczy dla mnie, jak się we mnie, w moim świecie wewnętrznym ustawiło, czym obrosło, skąd czerpie soki, aby być żywym słowem.

(Słowa są w nas lasem, drzewami razem tworzącymi przestrzeń).

Nawrócenie: jakiś ruch ku czemuś, ku temu, co odmienia. Przejście od rozproszenia do pilnowania kierunku. Ale też od zamknięcia, pustki, ciemności, głodu do karmienia się darami, cieszenia się ich hojnością.

Wierzyć w Ewangelię. Wierzyć j e j, to znaczy odczytać, przyjąć treść Dobrej Nowiny. Wziąć w siebie coś konkretnego z jej treści, wiedząc, że jest coś dalej, coś więcej; więcej odmienienia siebie i wszystkiego przez nią. Tak nawraca Ewangelia.



Jeśli tak sobie określić, co to jest „nawrócenie”, mniej ważne staje się przekładanie treści Ewangelii na jakieś inne słowa, zdania, twierdzenia, symbole, wyznania. Ewangelia jest strumieniem błogosławieństwa, jest prostowaniem tego, czym jestem, przez nauki, znaki i czyny Jezusa dla nas.

W co mam najpierw uwierzyć?

„Jezus żyje”. To jest próg. Wszystko, co otrzymuję dziś jako dobrą nowinę, o czym się dowiaduję – pochodzi od Żyjącego teraz (i wtedy, i zawsze Tego Samego). To jest próg wiary. W przekonaniu, że On żyje, mieści się i to, kim On jest – że jest Panem.

Myślę, że to tak: idąc przez ogród nauk Jezusa, zachwycających, uderzających prawdą i siłą – ale będących wciąż jeszcze tylko *dicta* i *facta* – dochodzę do progu: „Jezus żyje”. Tego progu można jakby nie zauważyć. Pokonuję próg, zwracając się do Tego, kto tak przemawiał, uznając Go za mówiącego do mnie teraz, dziś, bo On za tym wciąż stoi. Teraz, jak wtedy.

(To nie o aktualność nauki Jezusa tu chodzi, lecz o aktualność Samego Nauczyciela.

Podobnie z aktualnością *facta*. Uniżył się i jest w tym uniżeniu przy nas teraz. Poniósł śmierć i w niej, przez nią teraz nas ma przy sobie i będzie nas miał, już ma w Zmartwychwstaniu. Wiem, że wciąż mówię – piszę – o czymś nazbyt trudnym do opowiedzenia. Rzecz w tym, że próg wiary każdy przechodzi sam. Jest tylko nadzieja, a nie pewność, że się go rzeczywiście przeszło. Nie wiem, czy udałoby mi się przejść tę trasę, gdyby teraz miała się rozpocząć. Więc może próg znów przede mną? Wcale jeszcze nie znam świata za progiem. W każdym razie nie chcę zaniedbywać przebywania w Ogrodzie. Bez tego nie ma szansy spotkania Ogrodnika).

*

Przekonanie, że istnienie ma swoje źródło w Bycie samoistnym, to oś światopoglądu harmonizującego z wiarą. Taki światopogląd prowadzi ku wierze – albo wiara już posiadana do takiego przekonania zachęca. Ale nie ma wiary religijnej, póki nie ma kontaktu z Żyjącym. W ogrodzie filozoficznym zdarza się usłyszeć Żyjącego. To jedno z miejsc, ale On może wybrać inne.



Staram się przekazać obraz, który jest dla mnie bardzo ważny: człowiek w wirydarzu skupienia. Przebywa w nim. Jest tam przeprowadzony, spotyka, a Ten, kogo spotyka, to Ogrodnik, który daje się rozpoznać. Słyszysz swoje imię.

*

Co za progiem? Co jeszcze próg otacza, wskazuje, oświetla, uwyrażnia?

Stoją tu ludzie. Przed progiem, i za progiem, i na progu. Oprawdają po ogrodzie, dzielą się wrażeniami, dbają o ścieżki. Pomagają, utrudniają. Mówią, pytają. Narzucają swoje albo starają się uwolnić od narzuczonego, od wdrożonego kiedyś, a nie koniecznego. Przeszkadzają, nie dają poczuć się u siebie, rozprasza. Uczą cenić, zniechęcają. Wirydarz zmienia się w ogród botaniczny z tabliczkami i specjalistami od systematyki. Nie zrażaj się. Przeczekaj. W zadeptanym parku odnajduj wirydarz.

12 marca 2006

2 kwietnia 2006

Rodzaj nocnego dyżuru w Radiu, Klub „Trójki” – w rocznicę śmierci Jana Pawła II. Powrót już po północy. Pusto. Płoną niezliczone znicze, przed kościołami, wzdłuż alei Jana Pawła II.

Przez cały dzień dziennikarze pytają: gdzie byłeś, co czułeś, gdy rok temu nadeszła wiadomość? Nie potrzebuję się zastanawiać. Studio telewizyjne, gdzie oczekuję w pogotowiu do wejścia w następną z serii rozmów. I nagle monitor blednie, niebieszczeje. Wiem, że to oznacza śmierć i jakoś ją wyraża. Czysty błękit i potem w naszych oczach nic, pustka. Spokój, wytchnienie, spotkanie, ale już poza wyobraźnią. Można się tylko chwycić wiary.

Lekcja najważniejsza i nie do przetłumaczenia na jakieś zmiany, ruchy społeczne czy nawet religijne. Może po cichu, niedostrzegalnie wzrosła odtąd nasza szansa dobrej śmierci. Dla każdego ze świadków tamtej jego śmierci, gdziekolwiek byliśmy?



Dorota Zańko

Grabarka

Wodę z cudownego źródła u stóp Grabarki jedni piją z wiarą, inni – bo nigdy nic nie wiadomo. Kilkanaście metrów dalej, nad strumykiem, bosi „dziad” z prawosławnym krzyżem na piersi brodzi w wodzie i grupie turystów wyklada swoje poglądy na poprzednie i obecne polskie porządki. Na głowie ma prawdziwy kołtun – może już ostatni w III RP. Po drugiej stronie drogi zaczynają się schody, którymi można wejść na górę i stanąć przed cerkwią.

Grabarka to najważniejsze sanktuarium prawosławne w Polsce. Początki chrześcijaństwa na tym obszarze sięgają XII wieku i związane są z obrzędkiem wschodnim i wpływem kultury rusko-bizantyjskiej. Jako miejsce cudów zasłynęła w 1710 roku, w czasie zarazy, kiedy to jednemu z okolicznych mieszkańców objawione zostało, że ludzie mogą uratować się od morowego powietrza tylko w lesie na Świętej Górze Grabarce, w uroczysku o nazwie Sumieńszczyzna. Kiedy wierni przybyli na miejsce i ustawili tam krzyż z błagalnymi modlitwami, zaraza ustała. Ocaleni wzniesli drewnianą kaplicę, którą pod koniec XIX wieku rozbudowano w większą cerkiew. Świątynia przetrwała II wojnę światową, podobnie jak największy dzwon, który przeczekał ją ukryty pod warstwą ziemi pośród mogił na cmentarzu. Pół wieku później dzwony stopiły się w pożarze: w 1990 roku cerkiew doszczętnie spłonęła. Obecna, zwana Spaską, postawiona została w 1998 roku.



Trzydzieści lat temu na Świętej Górze powstał żeński monaster.

Co myślała schimonachinia Maria, kiedy wezwana przez prawosławny konsystorz do stawienia się na Grabarce w celu omówienia możliwości założenia na tym miejscu klasztoru, przyjechała tam jesienią 1947 roku? Miała 73 lata, wiek, w którym nie zaczyna się życia od nowa. Śluby złożyła dopiero w latach 40. Wcześniej była żoną, potem wdową, siostrą miłosierdzia na polach bitew 1914-1918, następnie nauczycielką. Przeżyła dwie wojny, teraz miała zacząć trzecią.

W wysokich sosnach na Grabarce hulał listopadowy wiatr. Poza cerkwią, stróżówką i szopą nie było tam żadnych zabudowań. Jeszcze tylko las krzyży i mały cmentarz. Maria zamieszkała w stróżówce, siostry – w cerkiewnej dzwonnicy. O piątej rano wstawały na pierwsze modlitwy.

W sierpniu, na kilka dni przed świętem Przemienienia Pańskiego, na które zjeżdżają tu tysiące pielgrzymów, placyk przed cerkwią zalany jest słońcem. Dwie nowicjuszki z klasztoru prowadzą ożywioną rozmowę z grupą przyjezdnych kobiet. Uczą je swojej modlitwy: *Błahodarim Tia, Christie, Boże nasz*. Turystki powtarzają, uśmiechając się z niezobowiązującą sympatią. Dziewczyny po chwili zegnają się i odchodzą. Mają pocziwe, okrągłe buzie, opromienione jakby blaskiem pierwszej miłości. Są szczęśliwe i spokojne: żyją we wspólnocie siostr, która ochroni je przed wszelkim złem, „bo gdy upadną, jedna podniesie drugą”. Skwapliwie zabierają z ziemi rzucony przed świątynią papierek, nieledwie powstrzymując się od spojrzenia w górę, żeby sprawdzić, czy aby na pewno Duch Święty unosi się nad nimi i widzi ich oddanie Bożej sprawie.

Można pójść za nimi, minąć cerkiew i nie zrobić – bo nie wypada z tak bliska – zdjęcia ekspresyjnej sceny: prawosławny duchowny w szarpanych silnym wiatrem szatach jak czarny anioł stoi z wyciągniętą ręką na stopniach przyklasztornego budynku. W miejscu, gdzie niebo opiera się o linię lasu, wskazuje jakiś cel. Jego czarna peleryna, mantia, to w prawosławiu symbol okrywającej wszystko łaski Bożej, to powiewność i lekkość skrzydeł anielskich. Owija jego ciało i krępuje ruchy rąk, bo ani ręce mnicha, ani jego ciało nie mogą służyć sprawom tego świata.



U dołu schodków zakonnice. W przeciwieństwie do dziewcząt sprzed cerkwi te tutaj wyzbyte są już mimowolnej egzaltacji nowicjuszek. Mantii nie noszą i dobrze wiedzą, do czego służą ich ręce. Z pokorą zamiatają stopnie, potem odprowadzają hierarchę, który wsia da do czekającej limuzyny. Trzaśnięcie drzwiczek – cięcie. Żywy obraz znika. Można już zawrócić, przekroczyć granicę cienia i wejść w krainę krzyży.

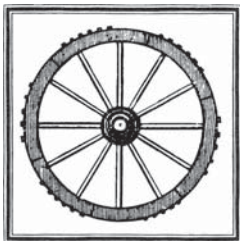
To inny świat. Obszar wyłączony spod codziennej gospodarskiej czujności i gorliwości sióstr. Tutaj działają głównie prawa przyrody. Pokolenia krzyży stoją zgodnie obok siebie. Niektóre osadzone są pionowo, inne wychylone, rozpościerają ramiona, jakby tylko na chwilę zatrzymały się w marszu. Czasem stoją gęsto i chaotycznie – małe przybite do dużych, jedne wkopane, drugie o nie oparte, metalowe zawieszane na ramionach drewnianych – a czasem prosto, w zwartym szyku, jakby zaraz miały wyruszyć na własną przedziwną krucjatę. Z surowego drewna i pomalowane, nagie i ozdobione, gustomne i nie. Najstarsze mają ponad sto lat. Ale pośród gigantycznych omszałych starców pojawia się czasem niemowlak – mały, ze świeżego różowawego drewna, ze wstążeczką. Są miejsca, gdzie las krzyży i las żywych drzew przenikają się wzajemnie. Krzyże patrzą wtedy na to, czym były.

Dawni chłopcy, z parafii, bractw czy stowarzyszeń, którzy je tu nieśli, uginając się pod ciężarem belek i chroniąc ramiona zrolowanymi swetrami, już posiwili. Wiedzą teraz więcej, co równa się czasem mniej. Dawne dziewczyny też już nie pamiętają tej drogi, kromek z żółtym serem, kiszonych ogórków rozdawanych z woreczka, śmiechu, mokrych butów, sztywnych od deszczu brezentowych plecaków, modlitwy.

Krzyże pamiętają. W tej strefie chłodu, ciszy i zielonego półmroku wiernie dźwigają napisy: *pomiluj mia hresznoho*, o zdrowie dla siostry, żeby tata do nas wrócił...

Prośby podobne do siebie. Wysłuchane albo nie. Ukrzyżowane na drewnianych belkach, które stoją jak milczący świadkowie biednej ludzkiej nadziei i wiary.

DOROTA ZAŃKO, tłumaczka, pracuje w redakcji miesięcznika „Znak”.



Galeria Sztuki Polskiej XX wieku*,
Muzeum Narodowe w Krakowie

Marcin Lachowski

W kłęczach kolekcji

Kolekcje muzealne określają sposób myślenia o tradycji, ciągłości, wylanianiu się współczesności. Nie tylko porządkują materiał historyczny, ale uczestniczą w określaniu jego znaczeń. Otwarta w listopadzie ubiegłego roku Galeria Sztuki Polskiej XX wieku w Muzeum Narodowym w Krakowie wyznacza zgromadzonej kolekcji nowe kontury, stając się pionierskim w Polsce przykładem nowych praktyk muzealnych. Stanowi ona niezwykle rozległą, wielowątkową prezentację sztuki minionego wieku. Pokazując dzieła sztuki polskiej tego okresu, poddaje zarazem refleksji możliwość odtworzenia przeszłości we współczesnym dyskursie muzealnym. Galeria w szczególny sposób redefiniuje kluczowe dla nowoczesności terminy: tradycję i nowatorstwo. Autorzy ekspozycji zrezygnowali ze zwyczajowego chronologicznego pokazu – ujawniania jednolitej, narasta-

* Scenariusz Galerii: zespół pracowników Muzeum Narodowego w Krakowie. Projekt architektoniczno-budowlany: Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków ARKONA. Projekt wykonany na podstawie studium programowo-przestrzennego opracowanego przez zespół autorski: Adam Brincken, Jacek Budyn i Jerzy Lasoń.



jącej tradycji. Zamiast tego oferują widzowi pokaz dynamiczny, przekraczający diachroniczne ujęcie swoistą synchronią artystycznych wyborów, powracających tematów, kontynuowanych motywów.

Kluczowe pytanie, na jakie musieli odpowiedzieć organizatorzy wystawy, dotyczyło artystycznych granic XX wieku. Górną granicę wyznaczyła aktualna twórczość artystyczna – ona otwiera wystawę w hallu drugiego piętra muzeum. Wartość ekspozycji muzealnej realizuje się nie ze względu na jakości pozahistoryczne, uniwersalne, ale zależne od współczesnego kontekstu artystycznego – zdają się twierdzić kuratorzy. Prezentowane na wystawie prace bezpośrednio odwołują się do praktyk muzealnych oraz poddają refleksji kondycję współczesnego dzieła sztuki. I tak pokaz wideo grupy Azorro prezentuje niekończącą się rozmowę jej członków na temat projektu oryginalnego dzieła sztuki; każdy pomysł artyści kwitują zdaniem: „już to było”. Z kolei instalacja Jadwigi Sawickiej składa się ze stosu jednakowych różowych kubików z napisem „Nic w środku”, przez co podkreśla kulturową, jednowymiarową powłokę, z której artystka buduje swe dzieło. Inaczej motyw zapożyczeń ujawniają artyści z grupy Ładnie malujący obrazy wzorowane na medialnych, informacyjnych i rozrywkowych przekazach. Ta wprowadzająca do przestrzeni galerii część ekspozycji stanowi świadectwo krytycznego spojrzenia na mechanizmy współczesnej kultury i obiegu twórczości, a zarazem wyraża niemożliwość wypowiedzenia się przez artystów własnym, niezależnym od konwencji, językiem – wątpią oni w siłę tradycji modernistycznego geniusza, który projektował własną, wyrażoną skomplikowanymi symbolami, suwerenną rzeczywistość. Dzieło sztuki nie gwarantuje dostępu do ukrytej rzeczywistości – pokazują współcześni artyści, a muzealnicy prezentują źródła teźże refleksji.

Właśnie symbolizm przełomu XIX i XX wieku stanowi historyczny początek prezentacji. Tam autorzy wystawy widzą prekursorów nowoczesności. Modernistyczny trop otwiera twórczość Witolda Wojtkiewicza operującego giętkim, ekspresyjnym konturem ujmującym płaskie sylwety. Jego *Medytacja* – z ulokowanymi we wnętrzu postaciami ubranymi w dekoracyjne stroje – demonstrowa symboliczną wizyjność. Odejście od zasad realistycznego i narracyjnego budowania sceny obrazowej jest jednocześnie próbą kreowania poprzez obraz portretu wewnętrznego, pobudzania wyobraźni, sięgania w głąb sennych marzeń i wspomnień. Przenikanie się realnej sceny ze światem fantazji, maskarady i tajemniczego nastroju staje się doświadczeniem widza, czujnie obserwowanego przez namalowane postaci.



Ten motyw dekadencyjnej niejednoznaczności ujawnia także *Autoportret* Wojciecha Weissa. Widoczny w płytkiej niedookreślonej przestrzeni spogląda uważnie na widza, kierując w jego stronę maski – atrybut gry, spektaklu. Artysta, odkrywając swoją twarz, odwołuje się do poetyki portretu psychologicznego, ekspresjonistycznego, bezpośredniego, pozostawiając sprawę prawdy i fikcji obrazowej w swoistym zawieszeniu, w niemożliwym do rozdzielenia momencie obnażenia i autokreacji.

Obraz rozumiany jako symbol, instrument poznania prawdy o świecie i autentycznych przeżyciach dawał szerokie możliwości artystycznego wyrazu. Tę wielowątkowość poszukiwań ekspresjonistyczno-symbolicznych, ześrodkowanych wokół samodzielnych jakości estetycznych, autorzy pokazu wyraźnie podkreślili, zestawiając zróżnicowaną częściowo mroczną twórczość Władysława Podkowińskiego (m.in. *Marsz żałobny Chopina*) z malarstwem pejzażowym Juliana Fałata łączącego impresjonistyczną kolorystykę z wyrazistym, dramatycznym kadrowaniem. Porównali także twórczość Jana Stanisławskiego, malującego gwałtowność sił natury syntetyczną ciemną plamą i płynnym konturem, z wyciszonym nokturnem Józefa Pankiewicza, w którym artysta jaśniejszą plamą wydobywa sylwetki łabędzi na tle mistrzowsko zasugerowanej tafli wody. Różnorodność poetyk pejzażowych uprawianych przez polskich twórców wyznacza moment szczególnie w procesie wyłaniania się modernizmu. Artyści rezygnowali z momentalnego, wrażeniowego ujęcia natury. Traktowali malarstwo pejzażowe jako sposób dotarcia do żywiołów rządzących światem, odkrywając fatalizm, na który narażona jest jednostka. Wyrażali napięcie między koniecznością a artystyczną wolnością, kreując własne, osobiste pejzaże – jako świadectwa bolesnego, tragicznego doświadczenia jednostki i jej kruchego losu. Czasem sens pejzażu przemieniał się w nostalgiczny, baśniowy krajobraz tworzony siłą wyobraźni, tak jak w obrazie zatytułowanym *Bajka zimowa* Ferdynanda Ruszczyca.

Rozbudowana prezentacja sztuki przełomu XIX i XX stulecia odgrywa szczególną rolę w kolekcji krakowskiego muzeum. Z jednej strony, podkreśla ona wagę środowiska krakowskiego dla rozwoju sztuki XX wieku, a z drugiej właśnie w modernizmie dostrzega dwa zasadnicze źródła twórczości tego stulecia: po pierwsze, ujawnienie wolności jednostki, po drugie, ukazanie determinizmu natury i historii. Dekadentyzm przełomu wieków na nowo kreślił wizerunek jednostki, ale ów wizerunek był również komponowany z powinności związanych z tradycją i tragedią narodu. Ze sztuki przełomu wieków autorzy wystawy wysnuli dwa wątki: jeden związany z patriotycznym posłannictwem ar-



tysty, drugi – kładący nacisk na suwerenność formy i wyobraźni. Jeden – uprzywilejowujący temat, kojarzący twórczość artysty z wątkami narodowymi, historycznymi, społecznymi, drugi – na pierwszy plan wysuwający problemy formy. W ten sposób modernizm staje się punktem wyjścia dwóch narracji historycznych. Jedna dotyczy refleksji nad kategorią polskości na przełomie wieków, druga zaś odtwarza artystyczne związki z Francją. Kolejne formacje artystyczne odwoływały się do tych zasadniczych kwestii.

Pierwszy ciąg otwiera sala opatrzona tytułem „A to Polska właśnie”. Zgromadzona w niej twórczość artystów młodopolskich: Malczewskiego, Wyspiańskiego, Wyczółkowskiego, Wacława Szymanowskiego, zdaje się sumować epokę, nadawać nowy artystyczny kształt XIX-wiecznym doświadczeniom kłęski kolejnych powstań, a zarazem przekonaniu o profetycznej roli artysty. Najbardziej sugestywnym wyrazem neoromantycznej ikonografii są zaprezentowane w tej części galerii monumentalne projekty witraży Stanisława Wyspiańskiego do katedry wawelskiej. Wyobrażenia wyniszczonych sylwet Kazimierza Wielkiego, św. Stanisława, Henryka Pobożnego wyrażają tragiczną świadomość artysty odtwarzającego obraz przeszłości na przełomie wieków. Prace Wyspiańskiego zestawione są z projektami witraży Józefa Mehoffera do katedry we Fryburgu. Natomiast do kategorii polskości bez wątpienia odnosi się obraz Leona Wyczółkowskiego przedstawiający strapionego Stańczyka na tle tradycyjnej szopki krakowskiej, a także rzeźbiony *Pochód na Wawel* Wacława Szymanowskiego – poczet monarchów prowadzonych przez personifikację losu. Twórczość Jacka Malczewskiego została uobecniona poprzez różnorodne motywy młodopolskiej wyobraźni: od portretów Feliksa Jasińskiego, poprzez niezwykle wrażliwe kolorystycznie podkrakowskie pejzaże, po literackie i symboliczne odniesienia do twórczości Słowackiego w monumentalnych wizerunkach Ellenai, a także nasycone symbolizmem autoportrety artysty. Te ostatnie nieustannie dramatyzują romantyczne posłannictwo i fatalizm historii, który konkretyzują modernistyczne ujęcia nieujarzmionych żywiołów natury.

Ta tragiczna historiozofia nie wyczerpuje jednak ujęć „polskości” na przełomie wieków. Drugim obszarem artystycznej penetracji, zaprezentowanym w omawianej części galerii, jest ludowość – obyczaj, wiejski krajobraz, dający przecucie trwałości znaczeń i siły umożliwiającej odrodzenie. Ten wątek w krakowskiej ekspozycji sygnalizują zarówno monumentalna kompozycja Włodzimierza Tetmajera zatytułowana *Świe-*



cone, jak niezwykle dekoracyjny, wielopostaciowy obraz Fryderyka Pautscha odtwarzający *Pogrzeb huculski*.

Za swoją antytezę dla tych neoromantycznych wątków trzeba uznać dzieła zebrane w następnej sali amfiladowego ciągu zatytułowanej „Awangarda”. Są to przede wszystkim prace artystów krakowskich bądź z Krakowem związanych w okresie międzywojennym, działających w grupie formistów oraz Grupie Krakowskiej I. Szczególnie obecna jest twórczość pierwszej formacji, ukazująca zarazem różnorodność poetyk artystycznych kojarzonych z ówczesną awangardą. Nawiązania Chwistka do futurystycznego simultaniczności, eksperymenty Witkacego dotyczące „czystej formy” oraz ekspresjonistycznych portretów, a także akty Zbigniewa Pronaszki nawiązujące do wzorców kubistycznych określają odmienny sposób identyfikacji pokoleniowej porzucającej patos narodowego posłannictwa.

Sekwencja poświęcona Grupie Krakowskiej I – prace m. in. Saszy Blondera, Henryka Wicińskiego, Leopolda Lewickiego – uzyskuje swoje rozwinięcie w osobnym pokazie twórczości Marii Jaremy, Jonasza Sterna i Tadeusza Kantora. Trojgu artystom przypada szczególne miejsce w przestrzeni galerii – łączą bowiem tradycje międzywojenne z powojennymi doświadczeniami krakowskich twórców. W kolekcji najliczniej reprezentowane są powojenne dzieła artystów: monotypie Jaremy, umieszczone wokół jej międzywojennych rzeźb, ujawniają konsekwencję pracy, asambláže Sterna oraz realizacje Kantora – *Obrazy metaforyczne*, przykłady malarstwa w typie informelu oraz późniejsze ambalaże. W tej części ekspozycji autorzy umieścili również pokój z rekwizytami teatralnymi Kantora. Twórczość tego artysty stanowi przedłużenie drogi polskiej awangardy, która w krakowskim muzeum została zinterpretowana w kontekście próby scalenia tradycji kubizmu i ekspresjonizmu. Krakowska awangarda dystansowała się od chłodnej, bezosobowej geometrii konstruktywistów, chętniej praktykując indywidualny, ekspresjonistyczny sposób kształtowania formy. Ten lokalny kontekst wydobyty jest bardzo silnie. Polska awangarda widziana w tej perspektywie daje świadectwo raczej indywidualnych poszukiwań, swobodnego doboru motywów niż identyfikacji z czystością wzorców. Kolekcja krakowska pokazuje złożony jej wymiar, ujawniając zarazem skomplikowany splót nawarstwień. Dzięki temu widać, że doświadczenia awangardy europejskiej znajdują w sztuce polskiej przekształcony obraz, wynikły z równoległego przyswajania różnych stylów, a zarazem siły miejscowej tradycji.



Drugi zaproponowany przez autorów wystawy wątek wywiedziony ze sztuki Młodej Polski dotyczy w pierwszym rzędzie artystycznych afiliacji z Paryżem. Otwiera ją sala nazwana „Ku Francji”. Zaprezentowane w niej dzieła pokazują indywidualną recepcję ówczesnie aktualnych wzorców artystycznych. Bezpośrednie kontakty polskich twórców ze sztuką Gauguina, Cézanne’a, Bonnard, Gleizesa, Metzinger’a zaowocowały dojrzałą i niezależną formacją estetyczną na początku XX wieku. Wśród pokazanych prac zachwycają samodzielne, pogłębione psychologicznie portrety Olgi Boznańskiej, a także oparty na kolorystycznych studiach *Portret dziewczynki w czerwonej sukience* Pankiewicza oraz malarstwo Tadeusza Makowskiego przekształcającego doświadczenia kubistycznego geometryzowania kształtów na własny język, powołujący świat groteski i niepokojących wizji dziecięcych kulek. Lekcję Gauguinowskiego syntetyzmu przywołuje natomiast prezentowana w kolekcji twórczość Władysława Ślewińskiego, autora pejzaży Bretanii, a także słynnego, niezwykle zmysłowego wizerunku kobiety zatytułowanego *Czesząca się*. Z kolei *Kankan w Moulin Rouge* Wojciecha Weiss’a w niezwykle dynamiczny i sugestywny sposób odzwierciedla koloryt paryskiego kabaretu. Dzięki temu krakowska kolekcja w różnorodnych odcieniach prezentuje polskie fascynacje życiem artystycznym Francji na przełomie wieków, ranga wyeksponowanych dzieł wskazuje zaś na samodzielny, odrębny i twórczy charakter poszukiwań polskich malarzy.

Dużo trwalsza w polskiej historii sztuki okazała się droga twórców prezentowanych w następnej sali – „Koloryzm”. To drugie pokolenie artystów odwiedzających Francję, skupionych w tzw. Komitecie Paryskim zarysowało konsekwentny program estetyczny i dydaktyczny. Postulowany przez członków ugrupowania sposób budowania obrazu kolorem, harmonizowanie plam barwnych w zgodzie z autonomicznymi prawami malarstwa, uniezależnienie od tematu, okazały się na tyle elastyczne, a zarazem możliwe do skodyfikowania w nauczaniu akademickim, że wywarły istotny wpływ na polską sztukę XX wieku. Krakowska kolekcja dobrze oddaje różnorodność postaw twórczych w kręgu kapiistów, a zarazem trwałość kolorystycznej tradycji w polskiej sztuce. Obok siebie sąsiadują malowane grubą fakturą pejzaże Jana Cybisa i Hanny Rudzkiej-Cybisowej, budowane mocnymi kontrastami barwnymi, kadrowane sceny Józefa Czapskiego, ciemne, bliskie tradycji pejzażu ekspresjonistycznego przedstawienia Artura Nachta-Samborskiego i już powojenna, abstrakcyjna, zrytmizowana kompozycja w owalu Piotra



Potworowskiego. W galerii znalazły się również prace profesorów krakowskiej akademii, reprezentujące powojenne kontynuacje koloryzmu: Jana Szancenbacha i Stanisława Rodzińskiego oraz zagadkowa figuratywna kompozycja Zbysława Maciejewskiego. Koloryzm został tu pokazany jako trwały element XX-wiecznej sztuki w Polsce, pozwalający „równie dobrze” namalować obraz abstrakcyjny, jak i narracyjno-symboliczny. Kierunek ten jawi się jako zasadniczy punkt odniesienia dla wysokiej kultury malarskiej w sztuce XX wieku.

Jako swoisty kontrpunkt w następnej sali nazwanej „Ex-presja” pokazano przykłady powojennej figuracji. Centralną postacią dla stworzenia „nowego wizerunku człowieka” w polskiej sztuce był bez wątpienia Andrzej Wróblewski. Wokół jego obrazów wyeksponowano prace artystów odwołujących się do jego twórczości. W tej części ekspozycji znalazły się przede wszystkim prace krakowskiej grupy Wprost, powstałej po to, by – wbrew akademickiej estetyzacji i ideologicznemu parawanowi PRL-u – wyrażać rzeczywistość bezpośrednim, dosadnym językiem. Głównym obszarem artystycznej penetracji w twórczości Macieja Bieniasza, Zbyluta Grzywacza, Leszka Sobockiego, Jacka Waltosia była postać ludzka, konfrontowana z najbardziej trywialną rzeczywistością, ekshibicjonistycznie ujawniająca się przed widzem, ale również uwikłana w bogate konteksty kulturowe, także religijne. Szczególnie przejmujący proces docierania do autentycznego przeżycia egzystencjalnego oferują prace Zbyluta Grzywacza z cyklu *Orantki* i *Opuszczone*, konfrontujące cielesność i seksualność ze znaczeniami religijnymi. Z kolei malowane na różnych codziennych „podobrazach” autoportrety Sobockiego korespondują z tradycją portretową wykreśloną przez twórczość Malczewskiego. Taki też trop powiązań zdają się podpowiadać autorzy wystawy, sytuując twórczość artystów w naprzeciwnych narożnych salach galerii. Ten układ przestrzenny uczytelnia cykl nawiązań, powrotów, podyktowanych podejmowanymi przez artystów poszukiwaniami wyrazu dla aktualnej sytuacji społecznej, politycznej, narodowej.

Wyprowadzona z modernizmu refleksja nad rolą sztuki i artysty, granicą między autonomią jednostki a zaangażowaniem we współczesność zdaje się stanowić stały podtekst prezentacji sztuki XX wieku. Ukazanie rozmaitych sposobów wiązania tych dwóch postaw stanowi czytelny motyw w krakowskiej kolekcji. Dlatego też ekspozycja prowadzona dwoma amfiladowymi ciągami raczej pokazuje niemożliwość odtworzenia linearnie przejrzystych następstw i wpływów. Dyskursy uniwersalistyczny i partykularny trzeba znuansować – zdają się twierdzić kuratorzy wysta-



wy. Ich zasługą jest pokazanie chwiejności owej tradycyjnej opozycji, przenikanie się wzorów artystycznych i ideowych, dynamicznych relacji, które podważały jednoznaczność postaw i klarowność głoszonych programów. Układ wystawy prowadzony dwutorowo, zgodnie z wątkiem kolorystycznym i awangardowym, jest ujęty klamrami neoromantyzmu i nowej figuracji. Swoisty zwornik dla koncepcji ekspozycyjnej stanowi największa sala, łącząca dwa przeciwległe skrzydła (równoległa do części poświęconej sztuce przelomu wieków), poświęcona twórczości artystów Grupy Krakowskiej II. W jej ramach uniwersalizm i partykularyzm, nowoczesność i tradycja, nowatorstwo i trwałość wzorców artystycznych zyskują swoistą syntezę. Do sali można wejść, zarówno przemierzając historię awangardy, jak dzieje koloryzmu i figuracji.

W historii Grupy Krakowskiej II zawarte są niemal wszystkie istotne elementy kształtujące powojenne życie artystyczne w Polsce. Właśnie ową różnorodność pokazuje krakowska kolekcja, wyodrębniając zarazem główne osie stylistyczne. Jeśli Grupa Krakowska II powstała w imię jednoczenia środowiska nowoczesnych po okresie „odwilży”, to w istocie sala jej poświęcona odtwarza wizje twórczości w tym środowisku dominujące: oparte na indywidualnych poszukiwaniach i wspólnych grupowych wystąpieniach w imię obrony prawa do artystycznej suwerenności. W ramach grupy mogły się spotkać stylistyki tradycyjnie rozłączne: abstrakcji niegeometrycznej Tadeusza Brzozowskiego i Jerzego Tchorzewskiego, malarstwa materii Jadwigi Maziarskiej i Teresy Rudowicz, geometrycznego reliefu Mariana Warzechy i ruchomych obiektów Adama Marczyńskiego. Ponadto ma tu także swoje miejsce twórczość inspirowanego surrealizmem malarstwa metaforycznego Kazimierza Mikulskiego, odwołującego się w swojej twórczości do romantycznych toposów Jerzego Beresia, epatującej erotycznymi skojarzeniami Marii Pinińskiej-Bereś, eksperymentującego z nowymi mediami Andrzeja Pawłowskiego czy wreszcie uprawiającego performance Zbigniewa Warpechowskiego. Być może najważniejszym osiągnięciem grupy była właśnie rezygnacja z akcesu do dogmatycznie pojmowanych kierunków i ruchów artystycznych, traktowanie ich jako dostarczycieli środków indywidualnych wypowiedzi. Obszerna ekspozycja prac grupy ujawnia szczególną, krakowską perspektywę kształtującą obraz sztuki XX wieku w muzeum. W tym aspekcie można by odnotowywać liczne braki innych środowisk. Nieobecny jest w kolekcji wątek awangardowy o profilu konstruktywistycznym, a także powojenne jego kontynuacje, w tym także konceptualne eksperymenty



w nowych mediach. Pominięta została istotna rola Łodzi, Wrocławia, Lublina czy Poznania – środowisk, dzięki którym obraz polskiej sztuki po 1956 stał się różnorodny. Charakter dzieł zgromadzonych w galerii pozwala za to śledzić trwałość pewnych motywów artystycznych i cierpliwe zmaganie z ciężarem tradycji. Albowiem jeśli widz nie otrzymuje w krakowskim Muzeum pełnej lekcji polskiej sztuki XX wieku, to w moim przekonaniu doświadcza złożoności historycznej sytuacji. Sztuka Krakowa potraktowana została jako swoisty mikrokosmos, w którym rzadko zdarzały się radykalne gesty awangardowego ikonoklazmu, oczywiście natomiast zdawało się przekształcanie tradycji. Jeśli zatem kolekcja nie oferuje pełnego przeglądu zjawisk, to przybliży zasadnicze dylematy artystów XX wieku. Nie tylko bowiem pluralizm stosowanych form świadczył o specyfice artystów skupionych w grupie. Równie istotne było łączenie refleksji o nowoczesności z próbą znalezienia jej miejsca w konkretnej tradycji i rzeczywistości, uczestnictwa w porządku kultury światowej, a także poszukiwania egzystencjalnej odpowiedzi na pytanie o to, co dzieje się „tu i teraz”.

Ten aspekt symbolicznie ilustrują dwa monumentalne płótna: *Emballage „Hołdu Pruskiego”* Tadeusza Kantora oraz *Villa dei Misteri* Jerzego Nowosielskiego. W pierwszym z nich autor dokonuje symbolicznego zasłonięcia uczestników zdarzenia – czytelne indywidualne rysy zachowuje jedynie postać Stańczyka. W ten sposób artystyczny gest „opakowania” staje się rodzajem gry z narodowymi, ale i muzealnymi mitami, prowokowaniem napięcia między własną inwencją a siłą zwyczaju, między „konserwowaniem” wartości a przenikliwym widzeniem rzeczywistości, które znowu uwikłane jest w język tradycyjnych symboli. Nowoczesność staje się narzędziem ujawnienia inercji tradycji, która ogranicza widzenie rzeczywistości, a zarazem jedynie tożsamość kulturowa umożliwia nadawanie rzeczywistości kształtu. Z kolei skomplikowana kompozycja figuralna Jerzego Nowosielskiego *Villa dei Misteri* prezentująca zagadkowy antyczny obrzęd przywołuje skojarzenia z tradycją ikony, właściwą jej sublimacją cielesności i duchowej inicjacji. Inaczej niż Kantor, Nowosielski stara się dokonać wniknięcia w obszar tradycyjnej duchowości za pośrednictwem nowoczesnego języka plastycznego – w myśl przekonania, że nowatorska forma umożliwia pełniejszy dostęp do niezmiennych wartości.

Mocne wyeksponowanie obu dzieł każe myśleć, że to kwestia poszukiwania miejsca na osobiste doświadczenie w gęstej przestrzeni kulturowych znaczeń jawi się jako klucz do krakowskiej ekspozycji. Ważny



staje się moment ujawnienia artystycznej wyjątkowości wobec trwałych wzorców artystycznych, powtarzalnych motywów przedstawieniowych. Ekspozycja pokazuje dialog z tradycją w coraz to nowych konfiguracjach artystycznych – powtórzenia i odmienności. Na tym tle szczególnie ciekawe wydają się współczesne reminiscencje – prace zgromadzone w dwóch częściach zatytułowanych: „Malarstwo?” i „Poza ciałem”. W pierwszej części niezmiernie interesująco wypada konfrontacja starannego, wyrafinowanego malarstwa Nowosielskiego, które sięga znaczeń teologicznych, z przestrzenną konstrukcją Leona Tarasewicza, zbudowaną w formie korytarza regularnie podzielonego systemem barwnych podpór i lusterek. Konkretność, namacalność farby pokrywającej filary równocześnie okazuje się częścią wykreowanej, monumentalnej iluzji. Prawda objawiana przez malarstwo jest ciągle problematyzowana, a obecność widza staje się elementem artystycznej gry.

Podobny wątek podjęty został również w sekwencji zatytułowanej „Poza ciałem”. Prace tam pokazane ujawniają zasadniczą trudność w definiowaniu własnej podmiotowości i cielesności wobec kulturowych stereotypów. Tej części patronują prace rzeźbiarskie Aliny Szapocznikow oraz akty Katarzyny Kobro. Twórczość Szapocznikow stanowiła próbę utrwalenia w tworzywie osobistego doświadczenia choroby i wyniszczenia ciała, kreację Kobro określiła próba stworzenia współczesnego kanonu, wpisania sylwetki kobiecej w system łuków komponujących zdepersonalizowaną i regularną bryłę. Pomiędzy tymi biegunami autorzy zgromadzili prace współczesnych artystek: Marii Pinińskiej-Bereś, Katarzyny Kozyry, Marty Deskur i Alicji Żebrowskiej, pokazując rozmaite strategie nadwerężania tradycyjnych wizerunków i sposobów definiowania płciowości w obszarze kultury. Twórczość artystyczna staje się dzisiaj nie tylko instrumentem ujawniania stereotypów, ale i przestrzenią, w której możliwe są transgresje płciowe dokonywane na utrwalonych wizerunkach. Ta część ekspozycji pokazuje granice postmodernistycznej reinterpretacji modernistycznych biegunów: osobistego doświadczenia Szapocznikow i idealnej formy Kobro. Reinterpretacji – nie zaś kreacji nowej sztuki i nowej rzeczywistości.

Co zatem oznaczają hasła „Nic w środku” Jadwigi Sawickiej, „Wszystko już było” grupy Azorro i schematyczne wizerunki grupy Ładnie? Czy wyrażają niemoc, wycofanie, eskapizm? Jak pokazują sytuację współczesnego artysty? Bez wątpienia, nie przyświeca współczesnym artystom wiara w indywidualną kreację, jaka towarzyszyła twórcom na początku XX wieku, choć tęsknota za oryginalnością wciąż



zachowuje swoją wartość. Żywioł natury determinujący artystyczne obsesje zastąpiła świadomość wszechogarniającej kultury. To przestrzeń muzealna determinuje artystyczne wybory, alternatywą jest jedynie świat kultury masowej. Współczesny twórca wątpi w niezapośredniczone doświadczenie rzeczywistości. Z drugiej jednak strony przeszłość widziana przez pryzmat Galerii Sztuki XX wieku w Krakowie nie ma charakteru statycznego ani monolitycznego. Oferowany sposób lektury daje szansę własnych wyborów, budowania kontekstów, wiązania dzieł w coraz to nowe konfiguracje. Charakter tego pokazu niejako odkrywa mechanizmy pracy muzealnika, historyka sztuki, krytyka. W sposób bardzo konkretny świadczy o tym układ przestrzenny. W gmachu muzeum została stworzona wewnętrzna architektura, wielką zastaną przestrzeń podzielono na mniejsze segmenty ujednoczonymi kolorystycznie przegrodami. Dzięki temu dzieła wyłaniają się w sekwencjach, a nawarstwiająca się znaczenia, wydobywająca się korespondencje wynikają z kierunku wędrówki i perspektywy widza. Nie ogarniając całej przestrzeni, doświadcza on kameralnej sytuacji, kątem oka poznając sąsiednie części. Przeszłość nie jest dana raz na zawsze, lecz jej obraz kreowany jest za każdym razem na nowo – zdają się mówić autorzy ekspozycji.

Bez wątpienia, galeria ma charakter fragmentaryczny. Nie ogranicza całej sztuki XX wieku w Polsce, lecz podkreśla krakowski punkt widzenia: nie rejestruje przełomów, a raczej ciągle nawroty do głównych motywów. Jej wartość zasadza się jednak na krytycznej świadomości uczestnictwa w kulturze, zamknięty system nie jest zatem możliwy. Ekspozycję otwiera i kończy praca Grzegorza Sztwiertni *Muzeum wyobraźni*. W symboliczny sposób ukazuje ona sposoby funkcjonowania muzeów. Na kadrach kolejnych slajdów odsłaniają się białe rękawiczki, ukazują się rozczłonkowane dłonie, a jednocześnie podpisy instruują widza, jak należy postąpić, aby je scalić. Spójność i elegancja maskują równoczesną amputację. Galeria krakowska nie maskuje swojej roli, ujawniając sploty tkanek ożywiających współczesną instytucję.

Ta sama praca przypomina zarazem o niebezpieczeństwie „swobodnej gry wyobraźni”. Współczesny punkt widzenia może prowadzić do swoistego ahistoryzmu – polityczny i społeczny kontekst powoływania dzieł traci nie tylko swoją wyrazistość, ale niekiedy wręcz czytelność. Zamiast „anatomii mięsa” dotykamy jedynie aksamitnej powłoki, a przyjemność płynąca z ustanawiania relacji przysłania jednostkową zawartość dzieł i ich historycznej sytuacji. Krakowska kolekcja zdaje się



przywoływać metaforę kłacza – brak rdzenia uprawomocnia różne punkty widzenia, widz-nomada przeciera własną, bezkonfliktową ścieżkę. Czy zatem muzealna instytucja nie wciela kolejnej utopii – wyobrażonego miejsca jako kreowanego uniwersum świata sztuki?

MARCIN LACHOWSKI, dr, adiunkt w Instytucie Historii Sztuki KUL.
Publikował w „Znaku”, „Kresach”, „Akcencie”, „Biuletynie Historii Sztuki”, „Mówią wieki”.



Piotr Kosiewski

Dwudziesty wiek po krakowsku

Galeria Sztuki Polskiej
XX wieku,
Muzeum Narodowe w Krakowie

Otwarcie Galerii Sztuki Polskiej XX wieku w krakowskim Muzeum Narodowym powinno wzbudzić szczególne zainteresowanie. Zbiory tego muzeum należą do najbogatszych w kraju, rola zaś, jaką pełni ono od swego zarania (wszak jest galerią narodową), powoduje, że stawiane są mu szczególne wymagania. Co więcej, w obecnej sytuacji w Polsce, kiedy tak nieliczne są stałe ekspozycje twórczości zwanej nowoczesną (od lat brakuje takiej wystawy chociażby w warszawskim Muzeum Narodowym), odpowiedzialność twórców takiej galerii jest bardzo duża.

Nie dziwią zatem emocje towarzyszące jej otwarciu, a nawet dość ostre recenzje, jak ta Bogusława Deptuły opublikowana w „Tygodniku Powszechnym” (*Krakowska wersja*, 25 grudnia 2005), chociaż poważnej dyskusji – z udziałem twórców tej galerii – wciąż brak. Być może jedną z przyczyn jest brak konkretnej osoby, pod której adresem można kierować pytania. Krakowska galeria jest bowiem, co w dzisiejszych czasach zdarza się rzadko, dziełem zespołu „pracowników Muzeum Narodowego w Krakowie”. Pozostaje zatem przyglądanie się samej ekspozycji, a także tekstom jej towarzyszącym, w tym przewodnikowi autorstwa Urszuli Kozakowskiej-Zauchy oraz stronie internetowej muzeum.

Powodów do poważnej debaty jest wiele. W ostatnich latach pojawiło kilka prób przewartościowania polskiej sztuki, zwłaszcza drugiej połowy XX wieku (by wspomnieć tylko publikacje Piotra Piotrowskie-



go czy wydaną właśnie monografię Andy Rottenberg). Pewne nazwiska, nurty artystyczne czy ugrupowania ponownie dostrzeżono, inne zaczęto postrzegać w całkiem nowym świetle, wiele zjawisk straciło na swym znaczeniu. Warto też pamiętać, że to galerie muzealne „w większym stopniu niż książki czy podręczniki »piszą« dzieje sztuki, tworzą kanony i hierarchie, utrwalają je. Stąd odpowiedzialność ich twórców – wobec sztuki, artystów i publiczności”, jak celnie zauważył Bogusław Deptuła, pisząc o krakowskiej galerii.

Pytań jej twórcom można postawić wiele: Czy i w jakiej mierze debaty o sztuce XX wielu znalazły odbicie w stałej galerii, mającej przecież pretensje do ukazywania pewnego kanonu? Jaką politykę zakupową prowadziło samo muzeum, co do tych zbiorów nabywano (zwłaszcza w ostatnich latach), co zaś było pomijane? Wreszcie przyglądając się tej galerii, nie sposób pominąć pytania o wierność własnej tradycji lub też jej odrzucenie. Nie trzeba przecież przypominać, że kolekcja sztuki drugiej połowy ubiegłego stulecia w znacznej części została stworzona przez Helenę Blum, a następnie przez Mieczysława Porębskiego, któremu to muzeum zawdzięcza m.in. wielkoformatowe prace zamówione na organizowaną w 1975 roku wystawę *Widzieć i zrozumieć* z tak cenioną *Villa dei Misteri* Jerzego Nowosielskiego na czele. Dlatego nie mniej ważne od rzeczy pokazanych jest to, co w tej ekspozycji zostało przemilczane. Uprawione jest wreszcie zderzenie obecnej propozycji wystawienniczej z poprzedzającymi ją stałymi galeriami sztuki XX wieku, zwłaszcza z ostatnią z lat 90. – autorstwa Mieczysława Porębskiego.

Warto zwrócić również uwagę na rzecz raczej pomijaną: status własnościowy eksponowanych obiektów. Trzon krakowskiej galerii tworzą dzieła z własnej kolekcji, ale jej twórcy poczynili trud jej uzupełnienia o obiekty wypożyczone z innych zbiorów publicznych lub depozyty prywatne (praktyka to częsta w dzisiejszych czasach, nie tylko w Polsce), co sprawia, że tłumaczenia typu „nie mamy tych dzieł w kolekcji” należy przyjmować bardzo ostrożnie.

Galerię otwiera sala, a właściwie podest, zatytułowana „Intertekst”, która rozpoczyna i jednocześnie kończy ekspozycję. To miejsce, w którym zebrano dzieła z ostatnich lat, na razie pominiemy. Wróćmy do początku, czyli pierwszej sali poświęconej młodopolskiemu modernizmowi, którego miejsce w zbiorach muzeum i – szerzej – w sztuce Krakowa jest szczególne. Tym, który wprowadza w nowoczesność, nie jest tu Stanisław Wyspiański, Jacek Malczewski czy Józef Mehoffer, lecz Witold



Wojtkiewicz. To wybór dzisiaj niebudzący zdziwienia, chociaż nadal ten twórca subtelnych i skromnych obrazów nie mieści się w popularnych wyobrażeniach o przełomie wieku. Kontrapunktem są dla niego płótna Władysława Podkowińskiego i... Wojciecha Weissa, co zapewne jest efektem zainteresowania – może przesadnego – jego sztuką w ostatnich latach. Obok nich znalazły się przede wszystkim pejzaże, dzieła Ferdynanda Ruszczyca, Konrada Krzyżanowskiego (piękny *Złoty kamień*), Juliana Fałata i wielu innych, w tym trochę upchnięte w kącie obrazy Jana Stanisławskiego, jednego z najwybitniejszych malarzy tego czasu. Nie tylko ten twórca stracił niespodziewanie swoje ważne miejsce w kanonie sztuki, który wyznacza krakowska propozycja.

Zwiedzający mają dwie drogi, którymi mogą dalej podążać. Pierwsza prowadzi do sali zatytułowanej „A to Polska właśnie”, w której zderzono młodopolskie fascynacje ludowością – obrazy Włodzimierza Tetmajera, Fryderyka Pautscha, Stanisława Kuczborskiego – z dziełami wadzącymi się z naszym losem narodowym. Znalazły się tu wielkie kartony Stanisława Wyspiańskiego, projekty witraży do katedry wawelskiej, oraz wspaniała *Polonia* stworzona dla Lwowa, *Pochód na Wawel* Wacława Szymanowskiego, jedno z płócien z cyklu *Sarkofagów* Leona Wyczółkowskiego. Całość uzupełniają projekty witraży Józefa Mehoffera. Ciekawym komentarzem do tych dzieł pochyłających się nad strzępami przeszłości są prace odnoszące się do współczesności (do Legionów Piłsudskiego, w tym *Nike* Malczewskiego) przypominające, że to samo pokolenie wydało ruch walczący o niepodległość. Szkoda jednak, iż twórcy galerii tak bardzo zredukowali twórczość ważnych dla Krakowa artystów, takich jak Wyspiański i Mehoffer, których dzieło nie wyczerpuje się w tych kilku pokazanych tu pracach. Nie ma tu chociażby żadnego z portretów przez nich wykonanych. Może to dziwić tym bardziej, że pokuszono się, co prawda w wąskim korytarzu, o inne zaprezentowanie Malczewskiego, twórcę pięknych pejzaży, z trochę mniejszą liczbą faunów niż zazwyczaj (ale ten „inny Malczewski” znalazł już swoje miejsce w galerii stworzonej przed laty przez Mieczysława Porębskiego). Nie jedyna to niekonsekwencja, bo nagle sala – w której nie tylko pokazano marzenia o niepodległości, ale też ich bliskie spełnienie – kończy się *Stańczykiem* Leona Wyczółkowskiego z 1898 roku. Czy to przewrotny komentarz do rodzącej się niepodległości i polskiej modernizacji? Czy też nie było dla tego obrazu innego miejsca?

Wróćmy do sali rozpoczynającej podróż po polskiej sztuce. Druga droga prowadzi „Ku Francji”. To tu znaleźli się artyści wyczuleni bar-



dziej na sprawy formy i koloru, poczynając od wspaniałych – i dobrze wyeksponowanych – prac Olgi Boznańskiej, Józefa Pankiewicza i Władysława Ślewińskiego po Tadeusza Makowskiego.

Dalsza droga prowadzi do sali ukazującej fenomen polskiego koloryzmu. To zainteresowanie barwą, przywiązanie do sztuki zdecydowanie nieawangardowej, chociaż czasami prowadzącej do malarstwa abstrakcyjnego, było, jak przekonują twórcy tej galerii, zjawiskiem wyjątkowym. We wspomnianym już przewodniku po ekspozycji można przeczytać, że „w kulturze narażonej na rozmaite uciski artystycznych i dziejowych racji kult obrazu, przywiązanie do wartości czysto malarzkich stworzyły szanse zachowania tożsamości artystycznej”. To często powtarzany osąd. Jednak to, co i jak pokazano w tej sali, każe raczej sądzić, że była to ślepa i dość jałowa dróżka. Obrazy twórców kapizmu – Jana Cybisa, Józefa Czapskiego (rewelacyjnego, zwłaszcza pod koniec życia), Piotra Potworowskiego czy Artura Nacht-Samborskiego – powieszono w rozgardiaszu. Pomieszano dzieła z różnych epok, od pierwocin z lat dwudziestych po dzieła nie tak dawno powstałe. Zderzono klasyków koloryzmu z Komitetu Paryskiego nie tylko z ich rówieśnikami, reprezentującymi inne środowiska i ugrupowania, ale też twórcami znacznie młodszymi i słabszymi. Można nawet podejrzewać, że obecność obrazów takich artystów jak Adam Wsiolkowski czy Andrzej Ziębliński, nie mówiąc już o rzeźbie Igora Mitoraja, ma przekonać, że często usłużna kontynuacja nawet najlepszej tradycji kończy się przeraźliwym banałem.

Pójdźmy zatem drugą drogą. W ten sposób dojdziemy do sali „Awangarda”. Nowoczesność otwiera formizm pokazany – trzeba przyznać – bardzo ciekawie (np. zaprezentowano szkice pomników Zbigniewa Pronaszki). Obok znalazł się Witkacy w interesującym wyborze. Na ścianach powieszono nie tylko tak chętnie pokazywane obecnie portrety jego autorstwa, ale przede wszystkim dzieła „czystej formy”. Jednak dalej dokonano dość ostrej amputacji, pomijając całkowicie polski konstruktywizm, dający początek ważnej tradycji abstrakcji geometrycznej. W tym miejscu widać doskonale wybór, który coraz bardziej będzie ciążył nad całą ekspozycją. W coraz mniejszym stopniu jest ona galerią sztuki polskiej, staje się bowiem galerią sztuki polskiej podług Krakowa. To odważny wybór, mający być może pewne wytłumaczenie w historii zbiorów i randze zjawisk z następnymi kilku dziesięcioleci, ale czy w pełni uzasadniony?

Początki są niezmiernie ciekawe. Pokuszono się o pełniejsze ukazanie pierwszej Grupy Krakowskiej, zjawiska istotnego, a trudnego obecnie do przyswojenia, los bowiem obszedł się z dziełami i ich autorami



bardzo źle. Sztuka twórców tak mocno doświadczonych drugą wojną światową i holocaustem wciąż pozostaje zapoznana. A w Krakowie zebrano wiele dzieł zaskakujących i świetnych, w tym Szaszy Blondela (świetna *Kompozycja* z 1933 roku), Henryka Wiercińskiego, Leopolda Lewickiego, Stanisława Ossostowicza czy Berty Grünberg.

Przedłużeniem tej tradycji była druga Grupa Krakowska, w której znaleźli się także artyści związani z przedwojennym ugrupowaniem – Maria Jarema, Jonasz Stern i Adam Marczyński. I to dzieła Jaremy (w świetnym wyborze) otwierają sale poświęcone temu – bezsprzecznie – ważnemu zjawisku. Udostępnienie tej malarce dużej przestrzeni jest tym ciekawsze, że twórczość Jaremy, jednej z najciekawszych polskich artystek, wciąż bywa spychana na margines. Szkoda tylko, że tak słabo dostrzeżono inną ważną malarzkę związaną z tym środowiskiem – Jadwigę Maziarską. Dalszy ciąg ekspozycji jest w pełni przewidywalny. Następne przestrzenie poświęcono Tadeuszowi Kantorowi i Jonaszowi Sternowi. Wreszcie największą z sal wypełniły obrazy Tadeusza Brzozowskiego i wielu innych, w tym młodszych, urodzonych w latach dwudziestych i trzydziestych, członków Grupy Krakowskiej: od Kazimierza Mikulskiego, Teresy Rudowicz, Marii Stangret, Janusza Tarabuły, po Jerzego Beresia, Marię Pinińską-Bereś i Zbigniewa Warpechowskiego. „Lustro, w którym przegląda się nieomal cała historia ostatniego półwiecza polskiej sztuki. To, co w tej sztuce najwartościowsze, najbardziej żywe i inspirujące – znalazło wyraz w twórczości Grupy Krakowskiej” – można przeczytać w cytowanym już przewodniku. Jest to często powtarzana, zwłaszcza w środowisku krakowskim, teza. I trzeba przyznać, że pełniej niż dotychczas pokazano twórczość tego ugrupowania. Tylko dlaczego zamiast rejestracji wybranego przedstawienia teatralnego Tadeusza Kantora pokazuje się film dokumentalny o artyście, a dokumentacja jego happeningów, w tym słynnego „Wielkiego happeningu morskiego” to zdjęcia wielkości kartek pocztowych (!). Podobnie postąpiono z akcjami Jerzego Beresia. Tylko w wypadku Zbigniewa Warpechowskiego postarano się o rejestracje wideo jego performance’u. Jednak szkoda, że nie pokuśszono się o postawienie pytania o dzisiejszą rangę sztuki Grupy Krakowskiej i o rozmaite wybory jej twórców, nie tylko artystyczne.

Twórcy tej galerii szczęśliwie już dostrzegli, że sztuka ubiegłego stulecia to nie tylko malarstwo i rzeźba, ale także działania efemeryczne, fotografia czy film, wreszcie dokumenty programowe (jak ulotka pierwszej Grupy Krakowskiej). Jednak brak im konsekwencji w tym działaniu. Owe inne formy wypowiedzi sprawiają zbyt często wrażenie „dodatku”, są nie-



malże ukryte, jakby bano się, że pojawienie się mniej „szlachetnych” form wypowiedzi może być zbyt dużym szokiem dla zwiedzających.

Twórcy krakowskiej galerii dostrzegli też, połowicznie, że o sztuce można nie tylko opowiadać w ciągu linearnym, lecz szukać wątków ujawniających się w rozmaitym czasie i miejscu, możliwych do uchwycenia poprzez zestawienie dzieł pochodzących z różnych lat, środowisk, wręcz epok (czego doskonałym przykładem jest ekspozycja londyńskiej Tate Modern). W Krakowie na małą skalę pokuszono się o poszukiwanie pewnych genealogii. W sali „Ex-presja” bohaterem uczyniono Andrzeja Wróblewskiego, artystę, który dzięki wystawom i publikacjom z ostatniego piętnastolecia (tu brawa dla krakowskiej Galerii Zderzak), okazał się jednym z centralnych twórców polskiej nowoczesności. Pokazano Wróblewskiego jako twórcę *Rozstrzelań* (umieszczenie tego obrazu w krakowskim muzeum jeszcze dekadę temu wywołało protesty), ale też ostatnich wspinających płócien – *Głowa mężczyzny*, *Rodzina*. Zestawiono go z pracami Wprostowców, męczącymi swą krzykliwą ekspresją i znacznie ciekawszymi obrazami członków Grupy z lat osiemdziesiątych. W obu wypadkach pytaniem jest nie tylko przywiązanie do figuracji, ale szersze pytanie o sztukę zaangażowaną, o relacje artysta-władza w dobie PRL-u.

W dwóch innych salach – „Malarstwo?” i „Poza ciało” – twórcy galerii próbują spojrzeć na sztukę ostatnich dekad, zderzając różne postawy. W pierwszym wypadku jest to pytanie o możliwość posługiwania się dzisiaj pędzlem i płótnem, ale też o inne definiowanie samego terminu „malarstwo”. W drugim pokazano prace kobiet przyglądające się cielesności, relacjom między ciałem i tożsamością, konwencjonalności ról społecznych. Obie sale intrygują, zdają się stawiać ciekawe pytanie, chociaż o niektórych wyborach można dyskutować (szkoda także, że przestrzeń, w której zgromadzono te prace, jest tak ciasna i chwilami sprawia wrażenie składu, a nie sali ekspozycyjnej).

Wróćmy do początku wystawy, czyli na wspomniany już podest, na którym zgromadzono prace najmłodszego pokolenia, m.in. członków Grupy Ładnie – Rafała Bujnowskiego, Marcina Maciejowskiego i Wilhelma Sasnala – filmy Supergrupy AZORRO. To nagłe wejście sztuki najnowszej może budzić rozmaite komentarze, chociaż okrzyczenie tego mianem „przełomu” jest zaskakującym pomysłem. Mam też wątpliwość, czy przy tej okazji doszło do postawienia pytania o sens tworzenia sztuki i samego muzeum (do którego odwołuje się jedynie Grzegorz Sztwiertnia w swym *Muzeum Wyobraźni*), a spotkałem się nawet z taką interpretacją tej części ekspozycji. To raczej przykład szybkiej muzeali-



zacji dzisiejszej sztuki, zresztą w wypadku krakowskiej wystawy większość zgromadzonych tu dzieł, w tym nawet świetne obrazy Sasnała, bardziej wpisuje się w tradycyjny model sztuki, niż go podważa.

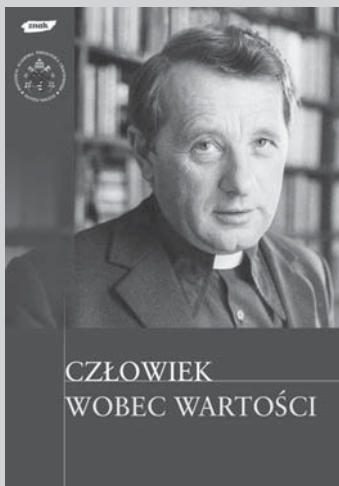
Galeria sztuki polskiej widzianej jedynie przez pryzmat Krakowa? Może to być pewna propozycja. Tylko czy można opowiedzieć o naszej sztuce XX wielu bez Władysława Strzemińskiego, Henryka Stażewskiego, bez artystów warszawskiej Galerii Foksal, by tylko na tych przykładach poprzestać? Zapewne tak. Dlaczego jednak poczyniono wyjątki, umieszczono artystów, których „krakowskość” jest wątpliwa. Jeżeli jeszcze „jakoś” można wytłumaczyć obrazy Jarosława Modzelewskiego zawieszane obok dzieł Andrzeja Wróblewskiego i od biedy – szukając wyjaśnienia w związkach z prawosławiem – wytłumaczyć konieczność zestawienia Leona Tarasewicza z Jerzym Nowosielskim (by przypomnieć tylko wystawę zorganizowaną przez warszawskie Centrum Sztuki Współczesnej w 1997 roku), to dlaczego znalazły się na tej ekspozycji chociażby prace Aliny Szapocznikow i Katarzyny Koziry? Można było przecież jeszcze jedną salę poświęcić własnemu środowisku, jak zrobiono z antresolą, którą zapełnili krakowscy graficy. Szczęśliwie tak nie uczyniono, bo w odróżnieniu od wspomnianej przed chwilą prezentacji tutejszych grafików, o której natychmiast chce się zapomnieć, niezwykle dialog o ciele, jego kruchości i fizyczności prowadzony przez dzieła „krakowskiej” Marii Pinińskiej-Bereś i „niekrakowskich”: Aliny Szapocznikow i Katarzyny Koziry jest jedną z najciekawszych części tej galerii. Co ciekawe, w propozycji Muzeum Narodowego równocześnie „zgubiono” niektóre, bezsprzecznie ważne wydarzenia nie tylko w dziejach sztuki Krakowa, by wspomnieć jedynie o I Wystawie Sztuki Nowoczesnej z roku 1948, tak interesująco przypomnianej ekspozycją w Galerii Andrzeja Starmacha w 1998 roku, której współtwórcą był *nota bene* Marek Świca, współsygnujący dzisiaj galerię Muzeum Narodowego.

Krakowska galeria sztuki XX wieku jest dziełem dość amorficznym. Obok śmiałych i trafnych pomysłów jest tu nuda, nijakość, a nawet można podejrzewać jej twórców o uleganie środowiskowym presjom. Może zabrakło jednego autora, który mógłby podejmować śmielsze decyzje, ale też ponosiłby za nie pełną odpowiedzialność. Jednak, paradoksalnie, ów „autor zbiorowy” jest pewną szansą. Sam pomysł wprowadzenia sztuki najnowszej jako swoistego kontrapunktu może stworzyć świetną okazję do przebudowywania ekspozycji, nadawania jej nowych

sensów. Już teraz w programie muzeum pojawiają się plany organizacji ekspozycji czasowych włączanych w tok galerii oraz spotkania z krytykami i współczesnymi twórcami. Istnieje szansa, że galeria będzie swoistym „dziełem otwartym”, nienaznaczonym piętnem jednej osobowości i łatwiej będzie się mogła zmieniać, a z czasem odważniej stawiać pytania, w tym o sens instytucji zwanej Muzeum Narodowym w XXI wieku. I być może zacznie wychodzić poza świat sztuki, w którym wartość mierzy się odległością od Rynku Głównego.

PIOTR KOSIEWSKI, ur. 1967, historyk sztuki, krytyk. Współpracownik m.in. „Kresów” i „Tygodnika Powszechnego”.

znak



Człowiek wobec wartości

Wydawnictwo Znak już po raz czwarty publikuje teksty z sesji naukowej odbywającej się podczas Dni Tischnerowskich w Krakowie. W roku 2005 jej tematem był „człowiek wobec wartości”. Na niniejszą książkę składają się ponadto: wykład abpa Józefa Życińskiego z cyklu Colloquia Tischneriana oraz zapis dyskusji panelowej zorganizowanej przez Instytut Myśli Józefa Tischnera: *Cierpienie i miłosierdzie w myśli Jana Pawła II i Józefa Tischnera*.

Książka jest poprzedzona wstępem abpa Stanisława Dziwisza.



połączeństwo nieobojętnych

Magda Bożyk, Anka Strumieńska

Dzięki za doping!

Ze względu na słabe nogi mówi na siebie – bubel. Śmieje się z siebie i to jej pomaga. Anka Strumieńska ma 30 lat i porażenie mózgowe. Od dziewięciu miesięcy mieszka sama. Idąc, opiera się o ścianę, krzesło, łóżko – o wszystko, co jest po drodze. Czasami podpira się dwoma zwykłymi grubymi kijami. Kiedy coś intensywnie przeżywa, jej ciało chwytają skurcze – spazmy charakterystyczne dla porażenia. Zdarza się, że wstając z wózka, pada na ziemię i nie może się ruszyć. Podnosi się dopiero, kiedy skurcze puszcza. Ale Anka mówi, że niepełnosprawność to zamknięcie się w sobie, nieumiejętność komunikowania się ze światem i samodzielnelnego myślenia, a nie problemy z poruszaniem się.

– Każdy przecież ma jakieś problemy. To ludzie zdrowi stwarzają sobie obraz osoby niepełnosprawnej jako zależnej od innych, niedołącznej. Tak nie jest!

Poznałyśmy się rok temu. Mieszkała już wtedy sama. To był początek jej niezależnego życia. Jak ono wygląda?

– Każdy dzień jest inny. Sama gospodaruję własnym czasem. W domu rodziców żyłam według wypracowanego przez nich schematu opieki. Na początku odreagowywałam więc domowe schematy. Dawniej mówiłam: „Mamusi, chcę pić”, a mamusia odpowiadała: „Już piłaś!”. Tutaj, kiedy mam ochotę na herbatę, to idę i robię. Nie dzwonię o pierwszej w nocy do mamy, że właśnie się przewróciłam i nie mogę się podnieść, tylko docieram jakoś do uchwytu i wstaję. To mi daje siłę i coraz większą wiarę: dam radę, to jest możliwe!



Zaprosiłam kiedyś Ankę na obiad. Uprzedziłam, że mieszkam na pierwszym piętrze w starym budownictwie, bez windy. Przyszła. Na pierwsze piętro wchodiliśmy czterdzieści minut. Właściwie wciągała się na rękach, trzymając się poręczy, bo przy każdym kroku zahaczała nogami o wystający stopień. Pomagałam jej, podnosząc raz jedną, raz drugą nogę – obydwie były mocno napięte z powodu stresu. Nie chciała się zgodzić, żebym ją wniosła czy prosiła kogoś o pomoc. – Daj spokój, damy radę!

Mówiła mi, że jako dziecko, potem jako nastolatka, była trudna. Nie potrafiła samodzielnie rozpoznać własnych potrzeb i płakała, nie wiedząc dlaczego. Na rehabilitację, która była dla niej bezmyślnym powtarzaniem ruchów za rehabilitantem i podczas której czuła się jak manekin, trzeba ją było zaciągać wołami. Ale osiem lat temu nastąpił przełom. Pracowała wtedy z Tomkiem.

– On rozumiał rehabilitację przede wszystkim jako środek do celu, a nie cel sam w sobie. Zwykle rehabilitanci skupiają się na tym, by pacjent mógł pracować rączką, nóżką, nie zastanawiając się nad tym, że człowiek jest całością, ma osobowość i cel, do którego dąży, a tym celem powinna być samodzielność. Pracowaliśmy intuicyjnie, potem okazało się, że realizujemy założenia tak zwanej rehabilitacji funkcjonalnej i neurologicznej, której częścią składową jest PNF (*Proprioceptive Neuromuscular Facilitation* – proprioceptywne nerwowo-mięśniowe torowanie ruchu).

Tomek był sportowcem – miał pasję, determinację i wytrzymałość. To Ankę fascynowało. Wiedziała, że – tak samo jak on – będzie musiała być twarda i niezłomna, by w ogóle przetrwać. Dotychczas umiała tylko zaciskać zęby, żeby mieć siłę godzić się na to, że nie dostanie wszystkiego, o czym zamarzy, bo jest niepełnosprawna i nie ma takich samych szans jak sprawni. Tomek pokazał jej, jak – mimo ograniczeń – spełniać swoje marzenia. Warunek był tylko jeden: Anka musi być mistrzem własnych emocji, bardzo dobrze znać siebie i swoje możliwości oraz samodzielnie je oceniać.

Tomek wyczynowo trenował biegi. Ona – najprostsze czynności, które w życiu codziennym przez większość ludzi wykonywane są automatycznie, bezrefleksyjnie. Widziała jego wysiłek, walkę z samym sobą, ale też załamania.

– Kiedy oglądam zawody sportowe i widzę, że ktoś wygrał, zbieram się. Tomek nie zawsze miał siłę. Dzięki Tomkowi zrozumiałam, że każdy walczy, każdy musi staczać boje z samym sobą, nie tylko ja – niepeł-



nosprawna. Zobaczyłam, że to jest normalne życie. Kiedyś przyszedłam na zawody, w których uczestniczył Tomek. Nie wiedział o tym. Pamiętam, że w pewnym momencie wstałam z wózka, żeby mu kibicować, i krzyczałam najgłośniejszym głosem ze wszystkich. A potem był telefon: „Dzięki za doping!”.

Kolejną osobą, która wpłynęła na zmianę postawy Anki, była Marzanna, psycholog sportowy. Marzanna odkryła, że Anka nie może się dalej rozwijać, bo jest zamknięta w domu i żyje problemami rodziców martwiących się o jej przyszłość. Rodzice nie mieli własnego życia poza nią – swoim niepełnosprawnym dzieckiem.

Anka chodziła do zwykłego ogólniaka, miała kontakt z rówieśnikami, miała przyjaciół, ale nie myślała samodzielnie. Była odgradzona od rzeczywistości przez swój dom, który, z jednej strony, chronił ją, a z drugiej – sprawiał, że mogła tylko oglądać świat, a nie poznawać go. Mówi o tym, że była zamknięta w szkatule, do której klucz miała tylko mama.

– Trzeba mieć odwagę zbuntować się przeciwko nadopiekuńczości – mówi, uderzając ze złością rękami o stół – i to jest klucz do wszystkiego. Rodzice uważali, że ci ludzie, z którymi pracowałam, źle na mnie działali, bo się buntowałam. A ja protestowałam przeciwko ich nadopiekuńczości. Wiedziałam, że taka sytuacja doprowadzi do tego, że w pewnym momencie – to jest straszne, co powiem, ale tak to czułam – przestanę być człowiekiem. Byłam wystarczająco upokorzona tym, że wszystko koło mnie musiał robić ktoś inny, że nie miałam intymnego świata. Żyłam tylko życiem moich rodziców, ich planami względem mnie i poczuciem bezradności.

Do Marzanny mogła zadzwonić w każdej chwili. I dzwoniła. Czasami z krzykiem, że już nie ma siły, że chce się zabić. Marzanna zresztą też miała wątpliwości: czy idą dobrą drogą, czy usamodzielnianie Anki nie jest nazbyt ryzykowne? Czy trzeba zmieniać jej dotychczasowe życie?

– Wszyscy, którzy mi pomagali – wspomina Anka – miewali momenty załamania i odpadali. Mówili: „Chcemy mieć święty spokój! Pozbieraj się!”. Po co mi to mówili? Żeby się ocknęła w którymś momencie. Potem wracali do mnie, nagradzając w ten sposób mój wysiłek. „A jednak! Udało ci się!”.

Przemiana trwała dobrych kilka lat. Ten okres życia Anka pamięta jako ciężką harówkę – swoją, rodziców, przyjaciół i rehabilitantów. Doszła do samodzielności, która bywa ciężka, samotna, czasem pełna łez, ale najczęściej przepiękna i satysfakcjonująca. A tego Anka nie zamieniłaby na nic innego. O doświadczeniach z tego okresu pisze książkę.

– Piszę o tym, w jaki sposób można sobie radzić i pomagać. W tej książce staram się pokazać, jak wiele ci, którzy mi pomagali, zrobili dla mnie. Jak wiele zrobiła Marzanna, Tomek, Wojtek, Filip czy masażysta, który mówił, że trzeba iść przez życie z zębem, chcieć czegoś od tego życia. Dzięki nim wszystkim – ja czegoś chcę!

**Specjalna roczna
PRENUMERATA DLA
STUDENTÓW
I DOKTORANTÓW**

**60 procent ceny
na 60-lecie „Znaku”**

Zaprenumeruj miesięcznik „Znak”
w roku jubileuszowym
(od stycznia do grudnia 2006)
w cenie **10 zł 80 gr** za egzemplarz.

Łączna cena
prenumeraty rocznej wyniesie tylko
118 zł 80 gr.

Zadzwoń pod bezpłatny numer infolinii
(0800-130-082)

lub wyślij e-mail na adres:
trzcinska@znak.com.pl

i podaj:

- imię i nazwisko,
- nazwę i adres Twojej uczelni,
- numer legitymacji,
- miesiąc, od którego chciałbyś rozpocząć prenumeratę.

UWAGA:

Od jesieni br. prenumeratorzy będą otrzymywać bezpłatnie płyty CD z wyborem pogrupowanych tematycznie artykułów z archiwalnych numerów miesięcznika „Znak”, w tym między innymi:

- ❖ „Znak” i religie świata
- ❖ *Dokumenty, komentarze i dyskusje wokół Soboru Watykańskiego II*
- ❖ *Polskie spory o filozofię tomistyczną*
- ❖ *Muzyka, sztuka, literatura w „Znaku”*

VI Dni Tischnerowskie

KRAKÓW 10 - 13 MAJA 2006

ŚRODA, 10 MAJA

18.00

Kolegiata św. Anny, ul. św. Anny 11

Msza św. w intencji ks. Józefa Tischnera celebrowana przez kard. Stanisława Dziwisza

19.30 - 21.30

Scena im. Stanisława Wyspiańskiego, PWST, ul. Straszewskiego 22

Przeгляд filmów *Śmierć i nieśmiertelność*. Prowadzi Wojciech Bonowicz.

CZWARTEK, 11 MAJA

10.00 - 13.00

Sala wystawowa Collegium Maximum UJ, ul. Krupnicza 35

Wręczenie Nagrody Miesięcznika i Wydawnictwa ZNAK im. ks. J. Tischnera ufundowanej przez Ergo Hestię oraz stypendium Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu im. ks. J. Tischnera

17.00 - 18.30

Aula im. J. Tischnera, Collegium Witkowskiego UJ, ul. Gołębia 13

Dwuznaczność szczęścia - wykład Roberta Spaemanna

19.00 - 21.00

Auditorium Maximum UJ, ul. Krupnicza 35

Jaskinia Filozofów: Dobro i piękno - debata z udziałem Jerzego Jarzębskiego, Krzysztofa Michalskiego, Roberta Spaemanna, Władysława Stróżewskiego. Prowadzi Adam Workowski.

PIĄTEK, 12 MAJA

10.00 - 12.30

Aula im. J. Tischnera, Collegium Witkowskiego UJ, ul. Gołębia 13

Między relatywizmem a fundamentalizmem - dyskusja panelowa z udziałem Agaty Bielik-Robson, Tadeusza Gadacza, Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP, Andrzeja Szahaja. Prowadzi Dobrosław Kot.

15.00 - 17.30

Aula Collegium Novum UJ, ul. Gołębia 24

Sumienie w świecie wolności - dyskusja panelowa z udziałem Aleksandra Bobki, ks. Pawła Bortkiewicza, Joanny Górnickiej-Kalinowskiej, Andrzeja Szostka MIC. Prowadzą Marta Pieniążek-Samek i ks. Jarosław Jagiełło.

18.00 - 19.30

Scena im. Stanisława Wyspiańskiego, PWST, ul. Straszewskiego 22

Spektakl *Prorok miłosierdzia - rzecz o św. Siostrze Faustynie w piętnastu obrazach*

SOBOTA, 13 MAJA

11.00 - 14.00

Wyzsza Szkoła Europejska im. ks. J. Tischnera, ul. Westerplatte 11

Majówka z udziałem studentów WSE i młodzieży ze szkół tischnerowskich - w programie m.in. slam filozoficzny, prawykonanie hymnu szkół tischnerowskich, przysmaki i muzyka z Łopusznej

14.00 - 15.30

Auditorium Maximum UJ, ul. Krupnicza 35

Jeśli Bóg istnieje... - spotkanie Leszka Kołakowskiego i ks. Adama Bonieckiego



Piszcie do nas:
rok1984@znak.com.pl

Zapraszamy na stronę:
www.1984.znak.com.pl

Redakcja rubryki Rok 1984: Marcin Darmas, Michał Godzic, Katarzyna Marek, Sabina Praski

PRÓBA MIKROFONU

NUMER 19/V 2006

Na drzwiach oddziału psychiatrycznego w Krakowie zamieszczono kartkę z napisem: „Uwaga! Pacjent z tendencją ucieczkową”. W środku zaś spotkać można zupełnie normalnych ludzi, być może nieco bardziej wrażliwych niż „zdrowa norma”. Ludzi potrzebujących w istocie nieco więcej ciepła niż inni. Gdy rzeczywistość staje się nie do zniesienia, budzi się w człowieku owa „tendencja ucieczkowa” i chęć podróży w głąb wyobraźni. „Możemy tam sobie zagospodarować rozległe terytorium, na którym czuć się będziemy u siebie. Taka postawa wyda się niektórym nieco narcystyczna, lecz nie należy się tym przejmować: uciekinier znajdzie się bowiem poza zasięgiem stresogennych układów uległości i buntu, dominacji i konserwatyizmu (...) obowiązujących w świecie mieniącym się rzeczywistym, z chwilą gdy zdoła spojrzeć na to jak na nieszkodliwą grę, w której dla świętego spokoju warto wziąć udział – jedynie po to, aby być akceptowanym jako istota n o r m a l n a” (Henri Laborit).

Ten numer jest propozycją takiej podróży, której plan oparty został na sekwencji muzycznej fugi (wł. fugare – uciekać): temat-ucieczka-powrót.

PAWEŁ SZELIGA
ucieczka

s. 186

MARCIN DARMAS
będziemy się starać

s. 188

SABINA PRASKI
w przeszłości, we wspomnieniach szukamy prawdy...

s. 192

TYSIĄCE ODYSEUSZY
rozmowa
z Michałem Olszewskim

s. 195

POWRÓT
głos abp. Józefa Życińskiego

s. 199

PAWEŁ SZELIGA

ucieczka

Gdy rzeczywistość staje się niepodatna na zmiany, a mnie samemu wroga i wstrętna, mogę zmienić tylko siebie. Zwykłe słowa i argumenty (odwołujące się do rozumu czy zmysłu kalkulacji) nie przemawiają do człowieka w chwili zderzenia ze świadomością niemożliwego do przewyciężenia rozdźwięku między nim a światem. Nic innego, poza przewyciężeniem siebie samego, człowiekowi nie pozostaje. Nic, czego mógłby się w świecie uchwycić i przy czym trwać. Człowiek musi zadać sobie gwałt, poruszyć z posad bryłę swojego charakteru.

Żadna starożytna ani nowożytna etyka, gdy się ją po imieniu nazwie, nie pomaga człowiekowi zrozumieć jego istnienia. Gdy pojawia się termin, nazwa własna, gatunkowa – etyka stoicka, etyka epikurejska etc. – człowiek staje względem terminu wyobcowany. Nie ma szans na prawdziwe zadomowienie się w treści, przyjęcie jej i przejęcie się nią jako swoją własną. Świadomość bezużyteczności tych form zmagania się z rzeczywistością pogłębia tylko rozdźwięk między światem a człowiekiem. Nie ma nic poza nim, a on sam może tylko zwrócić się ku sobie, zmusić się do swoistej psychoanalizy, odkrywania najgłębszych psychologicznych podstaw swoich postępków, przyznania się do dotych-

czasowej małości – swojej, a nie zewnętrzno-świata. Nie jest to jednak psychologia z książek za pięć złotych czy płytki melancholijny egzystencjalizm. To uderzenie, zwrot ku aktywizmowi i samoświadomości; to zamach na małostkowość i codziennność. Człowiek musi się uchronić od zblazowania historii, poczuć, że jest kimś – zjawiskiem normatywnym powołanym do realizacji czegoś. Musi sam siebie zapytać, co realizuje swoim życiem i czy to jest właśnie to, do czego czuje się jako człowiek powołany. Tylko tak uniknie losu stólików szukających taniego, w gruncie rzeczy, pocieszenia w mantrze, że to wszystko już było i wszystko będzie tak samo jak zawsze – *nihil novi sub sole*. Poszukiwanie etyki i zadomowienie się w niej jest czynnością od historyczności oderwaną, godzić musi „modernizm” z „klasycyzmem”, a potrzebę – więcej – konieczność (!) wyrażenia siebie z włączeniem się w porządek wartości wiecznych. Konieczne staje się dostrzeżenie tych wartości w przedmiotach, przez które się przejawiają, i twórcza kontynuacja ich urzeczywistniania w świecie danym człowiekowi „dzisiaj”. To niełatwe.

Historia ucieczki człowieka to historia jego wchodzenia w siebie i zadawania sobie gwałtu, by wykrzyzczyć choćby kilka zdań we własnym języku. To jednak także historia zmagania się z wartościami oraz niewiarą i wiarą – na przemian – w ich rzeczywiste istnienie w świecie. To wreszcie historia ciągłych „prób kontaktu” swojej prawdy życia ze światem – budowania własnej aksjologii, ale tak, by powiązać ją z odwiecznym porządkiem wartości. W lakonicznych często zwrotach, które pozostały po moralistach i filozofach sprzed ponad dwóch tysięcy lat, wciąż słychać echo gwałtu, tej najtrudniejszej w świecie operacji na własnym charakterze. To najbardziej do-

niosty dźwięk. Język każdego z nich jest wyłącznie jego językiem, mimo że i on konstytuuje kulturę, współtworzy świat ducha spierający się z empirią. To jedyna ucieczka, jedyny desygnat tego słowa – swój język i uniwersalne wartości. Wszystko to odbywa się w czasie, ale nikt z przekonaniem nie może powiedzieć, że ten fakt niweluje obiektywizm prawdy czy piękna. Bo i prawdziwa ucieczka nie jest łatwa ani dana raz na zawsze – to ciągłe zmaganie i kłopot z istnieniem.

Tylko taki język, który świadczy o bólu, wart jest istnienia. Gdy ból zadawany sobie nie owocuje wyrazem i czynem, nie przejawia się w życiu – jest to tragedia istnienia, tragedia bezowocnej ucieczki. Ucieczka taka to ucieczka tchórze. Ucieczka warta istnienia to tylko taka, która owocuje wyrażeniem całą swoją istotą nawet własnej niewiedzy, ale we własnym – tak przejmującym jak sokratejski – języku.

Ontologiczna samotność człowieka, także tego, który porwie się na tworzenie kultury, to źródło jej największej wartości, ale i jej tajemniczej tragedii. To poprzez fakt owej ontologicznej samotności człowieka, która leży u źródła kultury, otwierają się wrota do ataków na nią jako na bezsensowny dodatek do obowiązków społecznych i zawodowych, haft na tak zwanym życiu aktywnym. Wrota umożliwiające fałszywy podział między *vita contemplativa* a *vita activa*, między czynem a onanizowaniem własnej świadomości. To ona – ontologiczna samotność człowieka – staje się podstawą dla bezcelowych działań „pozytywistów”; chirurgicznych zabiegów bez znieczulenia na żywej tkance ludzkiego ducha; zamykania człowieka w ramach odruchów, krzątania wokół realizacji obowiązków „życiowych”, społecznych, uczuciowych. Niemniej jednak jest to także źródło wartości kultury, dzięki któremu ludzie

ciągle porywają się na jej tworzenie i podtrzymują trwanie tej jedynej wartościowej realizacji ducha ludzkiego.

Gdyby obedrzeć kulturę z jej nazwy, pozostałby tylko krzyk człowieka, goła łańczer szerokości jego duszy, bez wyraźnej ewolucji – sama treść jego obolatej świadomości, poruszająca ludzi od tysiącleci, jak nic innego. Bo od początku myśli ludzkiej człowiek poszukiwał wyjaśnienia rozdźwięku między potrzebą realizacji swojej istoty a niemożnością dokonania tego w świecie z konieczności biologicznym, poddanym procesom ewolucji i przemian. Próbował odnaleźć spoiwo likwidujące poczucie olbrzymiego oszustwa, błędu w oprogramowaniu, który trwa przez tysiąclecia i – co gorsza – jest dla większości członków jego gatunku całkiem przyjemny. Pozorne ułatwienia w komunikowaniu, procesy dające dzisiaj jednostkom czy grupom głos słyszalny na całej niemalże kuli ziemskiej, wcale nie niwelują tego rozdźwięku i nie dają owego spoiwa. Dzieje się tak, bo to, co wartościowe, potrzebuje obrony, samo trwać nie będzie. Świat posiada niespożyty siłę inercji, a kultura potrzebuje ludzi, by byli jej filarami, jeśli nie ma być tylko czymś dodatkiem do świata „obowiązków”. Spoiwem między „ja” – poczuwającym się do obowiązku wyrażenia siebie, by „dotknąć” wartości wiecznych – a światem, w którym te wartości dane mi jest realizować, a z którego wpięć muszę się uwolnić – jest kultura. Jeśli zatem istnieje jakiś obowiązek, to jest nim dla człowieka ucieczka. Ucieczka jako tworzenie kultury – jedynej rzeczy uwniosłającej człowieczeństwo do pojęcia normatywnego. Obowiązkiem człowieka nie jest przeżycie jego życia, ale jego odnalezienie czy choćby poszukiwanie pod pozyciem tego, co zwykło się życiem nazywać. To jest jedyna odpowiedź na tak

mocno zakorzenioną w człowieku intuicję, że przecież „świat i życie, i ja tutaj, wszystkie te rzeczy muszą mieć jakiś sens”.

PAWEŁ SZELIGA studiuje stosunki międzynarodowe w WSE i filozofię na UJ; jest redaktorem kwartalnika „Pressje”.

MARCIN DARMAS

będziemy się starać

1. Uciekaj!

Albowiem współczesna cywilizacja jest manufakturą produkującą domniemaną szczęśliwość, w istocie będącą obiektywną goryczą. Obiektywnie bowiem istnieje tylko środowisko biologiczno-społeczne, które więzi ludzki podmiot kolejnymi procedurami. Otwórz szeroko oczy na tę wielką manufakturę; nie oszukuj tylko, nie zakrywaj oczu. Zamkniesz je niebawem.

Jeśli jesteś studentem, tak jak ja, i mieszkasz z innymi studentami, zechciej zajrzeć do łazienki. Zwróć uwagę na ilość odżywek, wacików i tuszów (tuszów zwłaszcza), na te instrumenty w manufakturze domniemanej szczęśliwości. Teraz przypomnij sobie: ilekroć czekałeś w kolejce do prysznicza, ile czasu na to straciłeś? – tysiące sekund, setki minut. Ileż wszelakich środków potrzebuje dzisiejszy student, ba, dzisiejszy człowiek, by móc powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwy? Proponuję ci jeszcze ostatni eksperyment: weź zdjęcie sprzed paru lat i spróbuj odtworzyć to, o czym myślałeś w tamtym momencie – próżny wysiłek. Czy istniałeś wtedy?

Każdego poranka zaczynasz swój dzień od tworzenia swojej domniemanej szczęśliwości za pomocą maty i tuszu. Nietrawie tuszujesz nietrawnym. Beznadziejny bój

o życie, o którym za parę lat – niedługo – zapomnisz. Wielkie słowa nie mijają, zapamiętaj zatem Ciorana, który powiedział, że kresem cywilizacji jest moment, gdy życie staje się jej jedyną obsesją. „W najgłębszych pokładach epok domniemanej pełni tkwi zawsze jakiś dziwny smutek” (Ortega y Gasset).

2. Uciekaj!

Albowiem za murem współczesnej cywilizacji upačkanej tuszem i ożywionej odżywką nie kryje się nic, nic – nic prócz goryczy. Jeśli chcesz prawdziwego życia, uciekaj od wszystkiego i wszystkich, a przede wszystkim ogłoś abdykację samego siebie: „Żyć i umierać w trzeciej osobie..., schować się w sobie, odłączyć od swojego imienia, na zawsze daleki od tego, czym byłem... i dojść – skoro nie ma innego wyjścia, by życie uczynić znosnym – do mądrości zatracenia...”¹.

Życie to procedury, z którymi należy się zgadzać. Lecz te procedury nie tworzą życia. Istnieje inna droga – Ekstaza. Wstępem do niej jest przewyciężenie i zapomnienie *Ja*, o którym mówił Cioran. Później... Powolne odchodzenia w stronę ekstatycznego niebytu, i przyłączenie się do społeczności wiecznie nieobecnych.

Przekraczasz bramę *vita contemplativa*, zostawiając za sobą *vita activa*. Teraz dopiero zamknij oczy i zatkać uszy.

W najgłębszej ciszy usłyszysz właśnie jego – jego muzyczną butelkę rzuconą w otchłanie wzburzonych wód domniemanej szczęśliwości. Pierwsza nuta to *sol*: aria otwierająca cykl *Wariacji Goldbergowskich* Jana Sebastiana Bacha.

Gra Glenn Gould.

3. Urodził się w 1932 roku w Toronto, w Kanadzie. Był jednym z większych geniuszy muzycznych XX wieku. Sam lubił się określać mianem „muzyka wyrażającego się za pomocą fortepianu”. Wszystkim, co kojarzy się z tanim efekciarstwem pianistycznej wirtuozerii, głęboko gardził. Nigdy nie mówił o technicznych aspektach gry. Prawdopodobnie bał się tych refleksji; zdecydowanie wolął mówić o samej muzyce. W istocie instrument (półtonowe pudło, nic poza tym) był dla niego jakby złem koniecznym, akceptował go tak, jak akceptował posiadanie ciała – bardzo niechętnie i na warunkach umyśłu. Toteż – jak pisał Stefan Rieger – swoje fortepiany „pieczołowicie kastrował”. Mechanizm był ustawiony tak, by muzyka wychodziła prosto spod palców. Ciało zaś dostrajał niezliczoną liczbą leków (Aldomet, Nembutał, Tetracycline, Libra, Neocortef, Butazolidine itd.). Nie dbał o jedzenie, jadł w kółko jajka i grzanki.

Spójrzmy jak gra ostatni (niedokończony) *Kontrapunkt* Bacha niedługo przed śmiercią: nos przy klawiaturze, ręce zakrywają klawisze, mruży pod nosem (jak na każdym nagraniu zresztą), oczy zamknięte. Gould po raz ostatni chciałby się złączyć z instrumentem, by jedno i drugie – dwa niedotężne przedmioty – przeszły na drugą stronę. Na stronę Ekstazy.

Był wiecznym uciekinierem. Jego historia, jak każda historia uciekiniera, nie ma początku ani końca. Podobnie jak fuga – muzyczna forma, w której odnalazł sens i której stał się mistrzem – fuga będąca formą wiecznej dyskusji, wazenia propozycji i kontrpropozycji, szaleństwem harmonii piętrzącego się sporu. Huxley czuje ten zrównoważony spór, gdy w *Kontrapunkcie* opisuje suitę Bacha h-moll na flet i instrumenty smyczkowe: „Ja jestem ja – zapewniają skrzypce. – Świat wokół mnie

¹E. Cioran, *Précis de décomposition*, Paris 2003, s. 231 (tłum. M.D.).

się obraca«. – »Wokoło mnie« – woła wionczela, »wokoło mnie« – twierdzi flet. I wszystkie w równym stopniu mają słuszność i w równym stopniu są w błędzie; a żaden nie chce słuchać innych².

Gould chciał wiecznie wszystko równoważyć, trzymać w ryzach fugi. Uciekał, by wciąż powracać. I dodawać do wiecznego sporu kolejne wątki. Przeprowadzał kolejne zamachy na formę. „Temat w fudze, którego zadaniem jest »uciekanie« przed innymi głosami (wł. *fugare*), nie może od tego »uciec«, skoro już się podjął roli tematu – gdyż uciekanie i pojednanie wyznaczają pospółtu paradygmat fugi. (...) Uciekanie od narzuconej z góry formy i kreowanie własnej siłą »woli bycia sobą«, bez względu na zmieniające się okoliczności – oto sztuka fugi³».

Glenn Fuga Gould wciąż żywił się sprzecznościami, przejęty rozwinięciem uciekającego tematu głównego. Rozkładał go nieustannie na czynniki pierwsze. Przecinał, docinał, później układał. Znów przecinał. „Zawsze pociągata mnie muzyka przypominająca puzzle” – wyznaje w dokumencie Brunona Monsaigeona *Alchemik* (tytułowym alchemikiem jest oczywiście Gould!). On, jako jeden z nielicznych, potrafił tę wielość ze sobą godzić.

Potrafił także odtwarzać w głowie parę linii melodycznych jednocześnie. Potrafił w jednej chwili oglądać telewizję, słuchać radiowego serwisu informacyjnego i uczyć się trudnej partytury Arnolda Schoenberga (czasami jeszcze śpiewać przez telefon jakąś arię z ukochanych oper Wagnera). W lecie chodził w długim palcie i rękawiczkach. Śpiewał ptaszkom w lesie. Dużo

pisał: podczas *tournee* po ZSSR długie listy do swojego psa, później wywiady z samym sobą albo dziennik medyczny relacjonujący rekonwalescencję po kontuzji barku. Gdy inni kładli się spać, on czytał *Manna* albo „wszystkich ruskich”. Czasami wsiadał do swojego wielkiego Chevroleta i jeździł nocami po opustoszałych ulicach Toronto. Zajeżdżał czasami do przydrożnego baru, by posłuchać nocnych dyskusji kierowców...

Pod koniec życia pokochał Natsume Soseki, który pisał w *Kasamakura* o malarzu niezadowolonym z ziemskiego padółu i uciekającym w góry. Tam tylko, daleko od świata mógł przeżywać moment wyłączenia siebie: „Skąd ten brak cierpienia? Albowiem kontempluję ten pejzaż jak obraz i czytam jak wiersz”.

W historii japońskiego malarza Gould odnalazł głęboką wartość – człowiek nie jest czymś już ustalonym, tylko wiecznie niedookreślony istotą. To, co nas określa, to niezrealizowany postulat ducha. Ekstaza wymazuje Ja i instykt plemienny. Gould zrezygnował z jednego i drugiego. Swoje ciało „omijał” – zapytany przez dziennikarza o seks, odpowiadał bez krzty pretensjonalności: „Moją ekstazą jest muzyka”.

A instykt plemienny? 10 kwietnia 1964 roku, u szczytu kariery, w wieku 32 lat, Gould daje swój ostatni koncert w Los Angeles. Uciekł. Świat muzyczny oszalał! Upatrywano w tym chwilowego załamania bądź kaprysu, uważano, że Gould znów się bawi, wyszliżguje rzeczywistości. Lecz tak nie było. W istocie Gould na estradę nigdy nie wrócił. „Nienawidzę publiczności – wyznał w cytowanym dokumencie Monsaigeona – nie jednostek tworzących publiczność, lecz tego integralnego tworu. Uważam, że w publiczności koncertowej jest zło”. Publiczność koncertowa jest jak rzymski tłum pragnący krwawego spektaklu – domniemanej szcze-

² A. Huxley, *Kontrapunkt*, tłum. M. Góldewska, Warszawa 1957, s. 38.

³ S. Rieger, *Glenn Gould – czyli sztuka fugi*, Gdańsk 1997, s. 229.

śliwości. Nie godził się na to – wszak muzyka to inwestycja intymna; muzyka Bacha była pisana dla ucha bliskiego instrumentu. XIX wiek zerwał z tradycją spójności duchowej twórcą-odtwórcą-słuchacz, włączając do koncertu hierarchię i spektakl. XX wiek z nowoczesną technologią nagrywania paradoksalnie stanowi szansę na powrót do barokowej bliskości, daje możliwość scementowania nowej wspólnoty duchowej połączonej nicią elektronicznej Ekstazy. Toteż Gould od 1964 roku jedynie nagrywał – „mój kontakt z publicznością jest teraz o wiele lepszy”. W studio nie należy się martwić o jakość akustyki albo zdezcelowany fortepian. Można eksperymentować; czas jest zamknięty w klatce. „Gdy grałem podczas koncertu korciło mnie, by po frazie powiedzieć: »Stop! Teraz druga wersja!«”. Tak nie wolno, nie wolno kwestionować swoich decyzji, bo *show must go on!* Przypadek nie ma nic wspólnego z prawdą, z rzetelnością artystyczną. To raczej uruchamianie procedur radzenia sobie z wyniszczającym lękiem kłamstwa wobec siebie i słuchacza.

Cóż za neuroza w człowieku, który co rano budzi się z kawą w ręku, jak na palciatywach, z czczą nadzieją, że uda się zatuszować niepowodzenie wczorajszego koncertu?

Patrzcie na Goulda tamtego kwietniowego wieczoru. Na estradę wchodzi jakby nieobecny duch. Dziwne... ucieka, właściwie już uciekł! Odczuwa jednak wewnętrzną spokój człowieka pogodzonego ze swoim losem, losem wiecznego uciekiera. Nim odejdzie, zagra nam jeszcze cztery fugi z cyklu *Kunst der Fuge* Bacha...

Zmarł 4 października 1982 roku, niedługo po swoich pięćdziesiątych urodzinach i powtórny nagraniu *Wariacji Goldbergowskich*. Od nich zaczął swoją międzynarodową karierę w 1955 roku.

Jakby kłamra się domknęła. Dotąd zaprowadziła go fuga? Czy nigdy nie wróci? Byłoby w tej konkluzji coś niepokojącego. Nie przez przypadek Thomas Bernhard nazwał swą powieść o Gouldzie *Przegraną*. Ucieczka ma wpisany w siebie element heroiczny, tak jak szukanie Prawdy. Bernhard był człowiekiem małej wiary. Dostrzegając w porażce Gouda coś ostatecznego. Rosyjski pianista Vladimir Aszkenazy, zapytany bezczelnie przez dziennikarza, czy muzyka zbawi świat, odpowiedział: „Pewnie nie zbawi. Ale, proszę mi wierzyć, będziemy się starać!”.

Żyjemy w czasach domniemanej pełni, ale to nie wystarczy – uciekajmy. „Będziemy się starać”.

4. „Pod koniec 1977 roku (...) Ziemię opuściły dwie bliźniacze sondy kosmiczne Voyager I i II, kierując się w stronę Jowisza i Saturna. Po wykonaniu bezcennych zdjęć dalekich planet, w roku 1987 i 1989 kolejno pożegnały się z systemem słonecznym, wypluwając na ocean międzygwiazdnej pustki (...). Ewentualny adresat znajdzie na pokładzie Voyagerów garść symboli, mających być wizytówką *homo sapiens*: złotą tabliczkę z sylwetkami kobiety i mężczyzny, matematyczne wzory, jak również miedzianą płytę, na której zarejestrowano »odgłosy ziemi«. Na ten dźwiękowy list złożyły się najróżniejsze hałasy, przemówienia dygnitarzy, życzenia w wielu językach, elementy muzycznego folkloru, śpiew wielorybów, a także nagranie *Preludium i Fugi C-dur* z drugiej części *Das wohltemperierte Klavier* J.S. Bacha w wykonaniu Glenna Goulda”⁴.

MARCIN DARMAS studiuje socjologię w WSE.

⁴ S. Rieger, dz. cyt., s. 9.

SABINA PRASKI

W przeszłości, we wspomnieniach szukamy prawdy...

Teza jest prosta. Filozofia to Platon i, rzecz jasna, jego Mistrz – Sokrates. Reszta to tylko komentarze. Ja twierdzę podobnie – niemal całe nasze życie to przeszłość i nasz jednostkowy bądź zbiorowy stosunek, komentarz do niej. Dlatego też przeszłość jest, a przynajmniej może być naszą ucieczką. I kto wie, może tą najskuteczniejszą...

„Zanurzeni w pamięci...” – odsłona pierwsza

„Bo istnienie jest dla niej pamięcią i świat jawi się jako Wielka Pamięć”¹ – tak o twórczości Marii Kuncewiczowej pisze prof. Maria Janion. Okazuje się, że „zanurzenie w pamięci” to cecha większości ludzi sztuki; fascynacja historią, ucieczka w nią jest domeną twórców, bo oni, by tworzyć – muszą czerpać. Część z nich odchodzi od źródeł i między innymi ich krytycznemu podejściu zawdzięczamy postęp. Ale znaczna rzesza pozostaje jednak oczarowana tym, co minione, stąd w literaturze tak dużo odwołań do przeszłości,

bo ta jawi się jako ten lepszy, utracony już świat, który za wszelką cenę próbuje się przywrócić. W ten sposób i twórca, i czytelnik mogą faktycznie uciec w mityczne przestrzenie, które stwarza lektura, a cała fascynacja (ucieczka) wypełnia się w procesie czytania. Wystarczy sobie przypomnieć, jak często w trudnych albo ważnych chwilach wracamy do jakiejś konkretnej lektury. Nawet jeśli byłaby ona powieścią fantastyczną, światem, który dopiero mógłby mieć szansę zaistnieć, „wracanie” zawsze wiąże się z przeszłością.

Przeszłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej;
Za kotami to wieś
Nie – jakies tam coś, gdzieś,
Gdzie nigdy ludzie nie bywali!..

– pisał Cyprian Kamil Norwid. Przeszłość fascynuje. Historia, choć, jak podkreśla Umberto Eco, subiektywna, jako całość wydaje się być niezwykle prawdziwa. Odwołujemy się zatem do autorytetu, do klasyki, czyli czegoś, co jest dawne, ale przede wszystkim wzorcowe, doskonałe.

Dlaczego ludzie uciekają w przeszłość, tę książkową na przykład? Wydaje mi się, iż nie chodzi tu tylko o jakieś abstrakcyjne poczucie bezpieczeństwa, którego tak często brak w pędzącym wciąż do przodu współczesnym nam życiu. Po prostu lubimy światy, w których opowieść już się dokonała. Nawet jeśli sprawiedliwość nie wygrała, a zło nie zostało ukarane, ważne, że wiemy, jak było, a jednocześnie znamy okoliczności sugerujące, jak powinno być. Na błędach przeszłości się uczymy – „jestem szczęśliwy / to znaczy

¹ M. Janion, *Tragizm, historia, prywatność*, Kraków 2000, s. 427.

wyżyty złudzeń” twierdził Herbert. Cza-
sem i to musi wystarczyć.

Nie tak miało być... – odsłona druga

Kwestią bliższą przeciętnemu człowiekowi, a może po prostu bliższą zwyczajnemu życiu każdego z nas, jest kwestia wspomnień. Taka wspomnieniowa przeszłość może być Mickiewiczowskim „krajem lat dziecińczych”, do którego, walcząc z terażniejszością, wracamy. Ale jest i druga strona medalu: oprócz przeszłości, za którą tęsknimy, istnieje też ta, przed którą uciekamy. I to jest właśnie inny komentarz do historii – sytuacja, w której chcemy zanegować to, co było, to, co się, często wbrew naszej woli, dokonało. Nie ważne, czy załujemy tego, co sami zrobiliśmy, czy tego, co się w ogóle stało – istotą podejścia tkwi w przekonaniu, że o tym trzeba zapomnieć, że trzeba uciec. Nie wiem, czy da się to zrobić. Każdy ma swoją życiową drogę. Ja chciałabym tylko podkreślić, jak bardzo jesteśmy bądź to w przeszłości zakorzenieni, bądź to przeszłością napiętnowani. I w jednym, i w drugim przypadku chodzi ponadto o ucieczkę, którą nie mnie oceniać, zwłaszcza kiedy uciekający, podobnie jak bohater *Paragrafu 22* Josepha Hellera, wyznaje – „robię to [uciekam – SP], ponieważ chcę ocalić życie”.

Chciałabym jeszcze przywołać dwa przykłady, oba zaczerpnięte z przestrzeni kultury, oba dotyczą przeszłości i poniekąd również ucieczki. Jakiś czas temu przeczytałam niezwykłą z wielu względów książkę – *Objazd Błagi* Dimitrowej. Bohaterami są mężczyzna i kobieta, którzy przypadkowo spotykają się po 17 latach. Wydaje się, że kiedyś łączyło ich wszystko, ale po

latach przekonują się, że tak naprawdę nie łączyło ich nic – nic poza „miłością”. Co istotne, ona studiowała archeologię i niemal dosłownie cała zanurzona była w przeszłości. On zaś studiował inżynierię, miał być jednym z tych, którzy w przyszłości zbudują nowe socjalistyczne państwo (akcja rozgrywa się bowiem w latach 60. w Bułgarii). Różnica między nimi dotyczyła właśnie komentowania przeszłości. Kiedy Neda bierze w ręce odkrytą przed chwilą starożytną amforę, kiedy próbuje opisać jej nieodgadnioną historię, to, co przetrwało – ogień, powodzie, trzęsienia ziemi, kopyta barbarzyńskich koni, kiedy mówi, iż „po dotknięciu niektóre naczynia umierają, wypełniwszy swą wielowiekową misję. Tak jak maratończyk, który pada martwy, przekazawszy wieść o zwycięstwie...”, wie, że w oczach dawnego ukochanego jest żałosna, śmieszna. Jednak paradoksalnie w książce odnaleźć możemy coś, co parę bohaterów rzeczywiście łączy, a jest to właśnie ucieczka. Choć w różnych kierunkach – ona bowiem całe życie „goniła czas w tył”, on „w przód”, to ucieczka – od przeszłości lub w nią – jest ich drogą, ich losem.

Drugi przykład to film *Eternal Sunshine of the Spotless Mind* Michaela Gondry, polski tytuł: *Zakochany bez pamięci*. Zupełnie absurdalna, wydawałoby się, historia. Główni bohaterowie to, podobnie jak w przypadku powieści Dimitrowej, mężczyzna i kobieta, ale tu są to ludzie dużo młodszy. Poznają się, zakochują, ale po czasie przekonują się, iż zbudowanie związku nie jest wcale proste. Dlatego w pewnym momencie ona – zniechęcona całą sytuacją – udaje się do naukowca, który opracował metodę wymazywania z pamięci osób i zdarzeń. Po catonocnym paramedycznym zabiegu Clementine budzi się i nie zna już żadnego Joela. By wró-

cić do „normalności” i on postanawia poddać się tej procedurze, ale w trakcie zapragnął wszystko zatrzymać, bo przekonał się, iż rezygnacja z tego, co było, ze wspomnień, z przeszłości, nie jest wyjściem. Przecież „wszystko, co tak naprawdę posiadamy, jest za nami, a nasza przyszłość jest naszą przeszłością”².

Najmocniejszy argument przeciwników eskapizmu dotyczył tzw. pójścia na łatwiznę. W ciężkich chwilach człowiek powinien „zakasać rękawy”, być odpowiedzialnym, walczyć, a nie wybierać drogę najłatwiejszą. Zgadza się, ale... kiedy chodzi o moje czy twoje jednostkowe szczęście albo zwyczajnie o swego rodzaju wybór – przyzwolenie na bylejakosć tego, co mnie otacza, lub udanie się w podróż sentymentalną, ucieczkę w szlachetną, wielką przeszłość, czy i tu wybór tej drugiej opcji jest niczym więcej, jak tylko tchórzostwem i dezercją? Zapewne nie, i, choć zabrzmiało to być może mało przekonująco, trochę wbrew temu, co, jak wielu twierdzi, „powinno się sądzić”, uważam, iż człowiek ma prawo do tego, by uciekać, ma bowiem niezwykłe prawo do... wolności. A ucieczka w gruncie rzeczy bardzo często tym właśnie jest – najpełniejszym potwierdzeniem ludzkiej swobody.

Podobno podczas ucieczki zawsze ginie więcej żołnierzy niż w walce. Na szczęście nie jesteśmy żołnierzami, a nasze ucieczki w przeszłość lub przed nią niewiele mają wspólnego z polem walki. Ucieczka, która czerpie z przeszłości, w nierozzerwalny sposób wiąże się z nią, to rodzaj pewnej drogi, to podróż. To przekonanie, iż, by być sobą, trzeba swoje

myśleć, to ponad wszystko wolność wyboru. W każdej chwili może się przecież okazać, że „w końcu jest mi wszystko jedno, mogę nawet nigdzie nie wyjeżdżać”³. Choć kto wie, może i takie przekonanie jest *de facto* ucieczką...

SABINA PRASKI studiuje stosunki międzynarodowe w WSE i bohemistykę na UJ.

² B. Dymitrowa, *Objazd*, Warszawa 1981, s. 168.

³ E. Mieželaitis, *Wiersze*, Warszawa 1985, s. 71.

tysiące Odyseuszy

z Michałem Olszewskim
rozmawiają
Michał Godzic
i Marcin Darmas

Michał Godzic: „Wiem, że powinienem wyjechać, pierdolnąć wszystko w kąt, zostawić za sobą równiny usiane domami z pustaków i romantyczną brzeziną, blokowiska, zatrute areaty i średnio-wieczne kolegiaty, wyjechać, zapomnieć odetchnąć”. Bohaterowie Twojej pierwszej książki *Do Amsterdamu* mówią o ucieczce z Polski jako o jedynej sensownej drodze życiowej. Ci, którzy chcą coś osiągnąć, uciekają. Zostają przegrani, czasem ktoś wraca kierowany „niszczącą tęsknotą”. Skąd bierze się ta wiara w konieczność ucieczki?

Michał Olszewski: Ta książka została napisana 3 lata temu, czyli bardzo dawno. Mimo wszystkich jej niedoskonałości, które teraz widzę, mam mało skromne wrażenie, że zapowiadała to, co dzieje się obecnie. Młoda Polska, i nie tylko młoda, ucieka.

We mnie przez wiele lat tkwiła chęć wyjazdu, demonstrowana na bardzo różnych poziomach. Począwszy od tego, że chciałem, jak pewnie każdy młody facet, wyjechać ze swojego rodzinnego miasta, a skończywszy na myślach o opuszczeniu tego pięknego kraju i zostawieniu w nim

wszystkich problemów. Chęć wyjazdu – na kilka lat albo na zawsze – powracała później do mnie w różnych formach.

MG: Masz wrażenie, że to znak czasów, czy też każdy w pewnym wieku odczuwa chęć pozostawienia wszystkiego, podjęcia próby ucieczki?

Nie ma łatwej odpowiedzi. O specyfice naszych czasów świadczy szczególnie zmiana proporcji. Jeszcze w pokoleniu naszych dziadków proporcje przedstawiały się następująco: niewielki wycinek społeczności podróżował, a reszta tkwiła w miejscu, krążąc przez całe życie wokół swojej chałupy – od pola do domu, nad rzeczułkę, raz na dwa tygodnie na targ i raz na pół roku na odpust kilka kilometrów dalej. No, może przy dobrych wiatrach raz w życiu na pielgrzymkę do Częstochowy. Dzisiaj jest zupełnie na odwrót: ludzie, którzy pozostają w miejscu, w bezruchu, to niewielki ułamek naszej społeczności. Po otwarciu granic w 1989 roku zmieniliśmy się w naród podróżujący. Dominuje poczucie „płynności” – wszyscy podróżują, wszyscy uciekają. Mają możliwość ucieczki i ją realizują.

MG: Wielu Twoich przyjaciół z rodzinnego Ełku uciekło?

Tak, bardzo wielu. Ich ucieczki również wpisują się w wyraźne schematy: jeden z nich to wyjazd z rodzinnych stron do dużego miasta i związane z tym sytuacje opisane w *Do Amsterdamu* – rytualne spotkania koleżeńskie przy piwie albo wódce, rytualne wylewanie łez nad utraconym urokiem małych miast i rytualne westchnienia: „jak bardzo chciałbym tam wrócić”. Ostatnio liczyłem, że z mojej klasy licealnej, czyli z około 25 osób, w mieście zo-

stały trzy albo cztery osoby. Natomiast drugi schemat to wyjazdy gdzieś dalej, za granicę. Przyjaciół rozrzuconych po świecie mam bardzo wielu. Oczywiście należy także wspomnieć o innych formach „ucieczkowości”: ucieczka w sztuczne raje, w zacisze domowe, w rodzinę albo chłanie – różne emanacje tej samej potrzeby. Nie potrafię jednoznacznie rozstrzygnąć, czy jest ona znakiem naszych czasów, czy też atawizmem, który siedzi w nas głęboko.

Marcin Darmas: Mówicie cały czas o polskiej sytuacji, o tym, że po '89 roku pojawiła się szansa ucieczki z kraju. Ja zaś chciałbym zapytać o szerszy kontekst ucieczki. Podobno człowiek postmodernity został skonfrontowany z duchową pustką. Mnie się wydaje, że duchowych możliwości jest paskudnie dużo, za dużo. Atmosfera się zagęściła, dlatego chce się uciekać.

Duchowość i różne jej substytuty to też jeden z towarów prezentowanych i podawanych na talerzu. Ale nie wiem, czy nadmiar propozycji jest jednoznaczny z ich brakiem. Kiedy nie masz ani możliwości wyjazdu, ani atrakcyjnych ofert – czy to duchowych, czy intelektualnych – jest ci trudno i czujesz się zagubiony. Większość osób, które wyjeżdżają gnane tym właśnie rodzajem niepokoju, trafia do miejsc, gdzie wachlarz propozycji okazuje się za szeroki. Ten dramat nadmiaru jest równie dolegliwy. Kiedy stajesz wobec nadmiaru, szybko czujesz zmęczenie. Zamieniasz się w motyla skaczącego z kwiatka. Poczucie duszności jest nie do uniknięcia. Ale nie ma od tego ucieczki.

MG: Mówiłeś o garstce swoich przyjaciół, którzy zostali w Ełku. Chciałbym do tego wrócić. Życie w Krótkim Mieście przedstawiasz jako vegetację, mar-

nowanie swojego potencjału. Można pić, ćpać albo pracować, a czas i tak przecieka przez palce... Czy to jest jakaś skaza polskich małych miast czy raczej polskiej duszy?

Strasznie dolegliwe pytanie! Wydaje mi się, że w *Do Amsterdamu* jest pewien brak. Zabrakło bohatera, który zostałby na miejscu i byłby z tym pogodzony. Jest jedna taka postać, ale to namiastka, człowiek rozdarty. Główny bohater książki, Dudek, zdaje sobie sprawę z wartości życia w rodzinnym mieście, wyraźnie jednak czuć u niego tęsknotę za innym życiem. Ona nie daje mu spokoju. W tej książce dominują ludzie rozdarci. Zastanawiają się, czy zostać czy wyjechać, uciec w sztuczne raje albo za granicę, czy siłować się z rzeczywistością. Nie ma jasnej, pozytywnej postaci, która krążyłaby pomiędzy pracą a domem i znajdowała w tym radość. Znam takie osoby, ale są one tak nieliczne, jak mądre myśli w głowie Andrzeja Leppera.

MG: Czyli raczej ich nie ma...

(śmiech) Wśród moich przyjaciół naprawdę są wyjątki, które żyją na niewielkiej przestrzeni i są z tego powodu zadowolone. Radość znajdują w celebrowaniu dnia codziennego – codziennego marszu z domu do pracy i do sklepu – i jednocześnie nie popadają we frustrację. To jest konieczność, do której się dorasta. Trzeba dorosnąć, żeby zrozumieć sens takiego życia.

MD: Takie myślenie to u Ciebie chyba *novum!* Przeżywasz pewną ewolucję! W niedawno wydanej książce *Chwalcie łaki umajone* piszesz, że istnienie w życiu tylko ucieczka: „Musi się pojawiać

pretekst do podjęcia nowej wędrówki. A wszystko jest powodem. Schodzę w dół pod byle pretekstem – smuga zapachu przywołuje zupełnie inne miejsce, przypadkowe słowa otwierają kolejne tunele (...), wszystko może zmusić do wędrówki. Męczącej, upartej, nikomu niepotrzebnej, ale podejmowanej wcióż i wcióż”.

Tak. Ale wchodzimy w trochę inny nurt. W cytowanym fragmencie piszę o wędrówce w przeszłość, w głąb wspomnień, wędrówce niezwykle wyniszczającej. Jeśli pytasz o Michała Olszewskiego – owszem, przeżywam taką ewolucję.

MD: Dochodzisz do wniosku, że żadna ucieczka nie daje ukojenia?

Zauważcie, że i w pierwszej, i w drugiej książce nie ma prawdziwie udanej ucieczki. Powiem banalnie: od siebie samego nie ma ucieczki. Pamiętam swoją rozmowę z Moniką Sznajderman, właścicielką Wydawnictwa Czarne. Opowiadała, że uwielbia wyjeżdżać do krajów, których język zna słabo i gdzie niewielu zna ludzi. Nic jej tam nie dolega – nie wie, z czym ci ludzie się borykają, może się skupić na obserwowaniu twarzy, jakości architektury... Natomiast problem zaczyna się w momencie, gdy decydujemy się na dłuższy przystanek, zaczynamy w inną rzeczywistość wsiąkać i okazuje się, że po pierwsze, przynieśliśmy ze sobą cały bagaż doświadczeń i własnych traum, kłopotów, a po drugie, ta nowa rzeczywistość – początkowo tak obiecująca – składa się z zupełnie nieuświadomionych konfliktów i problemów. Dostojewski pisze w *Idiocie*, że ludzie istnieją po to, by męczyć innych ludzi. Stąd poczucie, że ucieczki nie ma...

MG: Ucieczka Twoich bohaterów wydaje się wieloetapowa, bez końca. Najpierw do Warszawy z Krótkiego Miasta, bo nie ma perspektyw na życie. Nawet jeśli w stolicy dobrze się układa, następnym etapem jest ucieczka za granicę, bo „Polska to potwornie smutny, szary kraj, rozjebrany przez komunistycznych architektów (...), a jedyne czego możesz się tu dorobić w szybkim tempie to wrzody żołądka”. Potem, jak w przypadku dziewczyny głównego bohatera – Miłki, następują przenosiny do kolejnych stolic europejskich, zmiany pracy i mieszkań. Co jest motorem kolejnych ucieczek? Czy to tylko sytuacja społeczno-ekonomiczna, czy jednak coś siedzącego głębiej w człowieku?

Miłka jest akurat zadowolona z tego trybu życia. To jej recepta na życie, jej droga, którą konsekwentnie realizuje.

Przypomina mi się taka książka dla dorosłych *Jesień w Dolinie Muminków* – końcówka całej sagi porażająca ciemnością, nagromadzeniem neurotycznych bohaterów. Oni cały czas uciekają, nie potrafią się pogodzić ze swoimi ograniczeniami, mają idee, które rozsypują się w proch. Tam się pojawia uwaga, że trzeba w pewnym momencie podjąć decyzję i nie wracać. To znaczy: jeśli decydujesz się na spokojne, ustabilizowane życie, jak Muminek w Dolinie Muminków, w porządku. Ale nie szarp się i nie próbuj wracać do czegoś, co zostawiłeś za plecami. Jeśli natomiast jesteś Włóczykijem i czujesz przymus wiecznej wędrówki, nie próbuj zastanawiać się, co straciłeś, rezygnując z życia osiadłego. Myślę, że na tym polega dojrzałość, o której mówiliśmy – to nic innego, jak konieczność podjęcia konkretnych decyzji. A w bohaterach tych dwóch książek: *Do Amsterdamu* i *Chwalcie łąki umajone*, jest

niedojrzałość, nie mogą się pogodzić z miejscem, w którym tkwią. Będąc w małym mieście, myślą o dużym, gdy są w dużym mieście, wspominają małe; kiedy żyją w Polsce, myślą o zagranicy, jak są za granicą, chcą wrócić do kraju; kiedy ćpają, mówią, że chcieliby nie ćpać... Dla mnie to symptom toczącej nas choroby, związanej z tym, o czym mówiliśmy na początku naszej rozmowy – z nadmiarem. Pośród tej wielości ofert zatraciliśmy umiejętność podejmowania jasnych decyzji.

MD: Tę wielość narrator Chwalcie łąki umajone nazywa „pierdoloną bezdomnością”.

Co cytaty, to przekleństwo... Ale bezdomność rozumiem jako stan ducha. Zawsze ciągnie gdzie indziej... Dalej jednak nie potrafię jednoznacznie określić źródła tego uczucia. Głęboki atawizm, a może nowa jakość rodząca się w naszych głowach? Tak czy owak, jest w tym coś niepokojącego, bo to stan umysłu, który wypycha w neurozę. Nie pozwala ci się skupić na tu i teraz, zmusza do ciągłej wędrówki, do ucieczki, zastanawiania się, czy przypadkiem gdzie indziej nie byłoby lepiej.

MG: Wydaje mi się, że możliwa jest postawa pośrednia między ucieczką a pozostaniem w jednym miejscu. Taką postacią plasującą się między Muminkiem a Włóczykijem jest Tata Muminka. Zostaje w Dolinie, ale czasem ucieka nie wiadomo dlaczego i dokąd. Może da się podzielić życie na okresy ucieczki i stabilizacji?

Mam taką nadzieję... Ale zwróć uwagę, że Tata Muminka nie jest postacią do końca pogodzoną z rzeczywistością. Nie mam poczucia, że on tę chęć bycia podróżni-

kiem zupełnie przetrawił i przytwierdził się kotwicą do świata Muminków. U niego nie jest to takie łatwe i bezbolesne. Czuje się w nim coś niepokojącego...

MD: Może po prostu Tata Muminka zrozumiał, że ucieczka ma sens, o ile przewiduje powrót? Spróbujmy sobie wyobrazić europejską kulturę, gdyby Odyszeusz wziął na swoje plecy skarb Feaków i postanowił nie wracać do Itaki... Jaka by była europejska kultura napiętnowana ucieczką bez końca?

Ciekawe pytanie. W tej chwili tysiące polskich Odyszeuszów wyruszają w swoje podróże i nie zamierzają wracać. Zdaniem socjologów wrócą. Zgarną swoje skarby i wrócą. Ja nie jestem takim optymistą. Póki co, nie wracają: gromadzą pieniądze, doświadczenia, krajobrazy, zdjęcia, sprzęty AGD. Nie podejmę się odpowiedzi na tak poważne pytanie: czym byłaby nasza kultura bez powrotu. Chyba by jej po prostu nie było. Na pewno bez ucieczek i powrotów nie byłoby polskiej kultury. Ona w całości utkana jest z zapożyczeń, widać jej w języku, ubiorze i mentalności.

MG: Ja też nie jestem przekonany, czy młodzi Polacy powrócą. Mam koleżankę, która stwierdziła, że woli sprzątać w Anglii niż robić doktorat w Polsce. To często spotykana postawa.

Rozumiem takie myślenie. Mój przyjaciel, świetny dziennikarz, wyjechał do Anglii pracować w fabryce majonezu... To zależy od tego, co nosimy w sobie: jeśli nie zależy mi na prestiżu społecznym, mogę produkować majonez albo zmywać gary w tajskiej restauracji. Nam pozostaje tylko ubolewać, że ci ludzie nie wniosą nic wartościowego do rozwoju kraju, w którym się urodzili.

MG: Michał, dlaczego jeszcze nie uciekłeś?

Już powiedziałem: nie ma ucieczki. Gdzie bym nie uciekł – czy to Nowa Zelandia, czy Australia – i tak w bagażu podręcznym zabiorę ze sobą swoje kompleksy i kłopoty, z którymi nie potrafię sobie poradzić. To nie znaczy, że jestem pogodzony z miejscem, w jakim się znajduję. Ponure czasy nastąpiły po ostatnich wyborach. Zaciska się pętla wokół zdobyczy, które jako kraj zdobyliśmy w ciągu ostatnich 16 lat wypracować. Szczególnie zagrożona jest swoboda wypowiedzi. A wszystko pod sztandarami odnowy moralnej. Ja w takiej odnowie brać udziału nie chcę. Między innymi dlatego z przyjemnością wyjechałbym stąd na dłuższe wakacje. Z drugiej strony: tu ciągle jest tyle do zrobienia...

MICHAŁ OLSZEWSKI (ur. 1977) jest dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, wydał ostatnio *Chwalcie łąki umajone* (Wydawnictwo Czarne, 2005).

powrót
głos abp. Józefa Życińskiego

Marcin Darmas: Topos ucieczki jest nierozzerwalnie związany z toposem powrotu. Chrystus nas zostawia, ale wciąż na nowo powraca. Tym samym nie tylko wzbogaca naszą wiarę, ale nadaje jej nowe znaczenie. W *Braciach Karamazow* Dostojewski wyobraża sobie jeden z Jego powrotów w czasach Wielkiej Inkwizycji. Jak pamiętamy, wobec zarzutów Kardynała Chrystus pozostaje cichy – z tej ciszy wylania się cała głębia wolności, jaką nam zostawia. Wyobraźmy sobie Jego powrót w czasach dzisiejszych (dajmy na to w Nowym Jorku, tam, gdzie Pasolini chciał nakręcić film o św. Pawle) – jakie mogłoby być przesłanie tego powrotu?

Abp Józef Życiński: Mesjasz w „New York Timesie”...

Istotę pierwszego przyścia Jezusa stanowiło objawienie miłości Boga do człowieka w szokującej formie cierpienia i krzyża. Chrystusową odpowiedź na złudną wizję triumfującego Mesjasza stanowiła bezsilność ukrzyżowania i zaskakująca logika paradoksów wyrażonych w Kazaniu na Górze. Niewdzięcznie jest występować dziś w roli rzecznika prasowego Chrystusa przychodzącego po raz

wtóry. Skłonny jestem jednak sądzić, że przychodząc ponownie, zechciałby On przypomnieć nam znów prawdę o paradoksach Bożej miłości do człowieka; tej miłości, która jest znowu nierozumiana i zepchnięta na margines naszych życiowych zainteresowań. Trudno sugerować, jakie środki wybrałby dziś, aby wstrząsnąć naszą logiką pragmatyków. Obawiam się, że Jego milczenie w stylu opisanym przez Dostojewskiego zrodziłoby najwyżej zarzuty, że jest to Mesjasz, który nie rozumie istoty mediów i nie potrafi nawiązać żywego kontaktu z cywilizacją XXI wieku.

Skłonny jestem sądzić, że wybrana przez Boga logika paradoksów, miłości i bólu, stwarzałaby znowu pewną szansę dotarcia z przesłaniem nowej nadziei do naszych współczesnych, przynajmniej tych najbardziej wrażliwych. Coś z poruszającą mocą tej logiki odnajdujemy w życiowym przesłaniu Jana Pawła II. Jak jednak wyrazić treść tego przesłania podczas jednej konferencji prasowej? Jak zamknąć „*Totus Tuus*” w kapsułce kilku odpowiedzi na pytania dyktowane w dodatku także przez konwenanse kulturowe i polityczną poprawność? Obawiam się, że zamiast cierpienia Golgoty mielibyśmy wtedy krytyczne artykuły na pierwszych stronach gazet. Informowałyby one: Pan Bóg nie stanął na wysokości zadania, gdyż w drugim przyjsciu Jezusa na ziemię wykazał głęboką nieznamość natury ludzkiej i jej podstawowych praw...

ABP JÓZEF ŻYCIŃSKI, metropolita lubelski, członek Papieskiej Rady Kultury, filozof nauki, publicysta. Wydał ostatnio zbiór esejów *Odyseusz czy playboy? Kulturowa odyseja człowieka* (Wydawnictwo Literackie, 2005).

Zespół

Wojciech Bonowicz, Halina Bortnowska, Bohdan Cywiński, Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, Jarosław Gowin, Stanisław Grygiel, ks. Michał Heller, Waclaw Hryniewicz OMI, Piotr Kłodkowski, ks. Jan Kracik, ks. Grzegorz Ryś, Marek Skwarnicki, Władysław Stróżewski, ks. Tomasz Węclawski, Jacek Woźniakowski

Redakcja

Michał Bardel (p.o. redaktora naczelnego), Olgierd Chmielewski (opracowanie graficzne), Janusz Poniewierski, Krystyna Strączek, Karol Tarnowski, Łukasz Tischner, Stefan Wilkanowicz (przewodniczący Fundacji Kultury Chrześcijańskiej ZNAK), Elżbieta Wolicka, Henryk Woźniakowski, Dorota Zańko (sekretarz redakcji)

KORZYSTNE WARUNKI PRENUMERATY

Cena pojedynczego numeru – 18 zł.

Cena numeru w prenumeracie:

przy zakupie jedenastu numerów – 12 zł; sześciu numerów – 14 zł; trzech numerów – 16 zł.

UWAGA! Numer wakacyjny (lipiec/sierpień) jest łączony.

PRENUMERATĘ można rozpocząć od wybranego numeru. Cena prenumeraty w 2006 roku: prenumerata roczna 11 numerów: 132 zł, 6 numerów: 84 zł, 3 numery: 48 zł. Wpłaty przyjmuje SIW Znak Sp. z o.o., ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, 80 1440 1127 0000 0000 0197 0054 (Nordea Bank Polska S.A., Królewska 51, Kraków).

DO KOŃCA ROKU SPECJALNA OFERTA ROCZNEJ PRENUMERATY DLA STUDENTÓW I DOKTORANTÓW: 11 numerów „Znaku” w cenie 10,80 zł za egzemplarz (łącznie 118,80 zł). Szczegóły pod numerem infolinii 0800 130 082 oraz na stronie www miesiecznik.znak.com.pl.

Prenumeratę miesięcznika „Znak” prowadzi dział handlowy SIW ZNAK. Wpłatę kwoty na prenumeratę rozpoczynającą się od wybranego numeru proszę zgłaszać pod numerem bezpłatnej infolinii: 0800 130 082, na adres e-mail: dzial_handlowy@znak.com.pl lub przesłać na nr faksu: 012 61 99 563.

DO PRENUMERATY zachęcamy Czytelników mieszkających poza Polską. Roczną prenumeratę zagraniczną można rozpocząć od wybranego numeru. Koszty prenumeraty wraz z opłatą za wysyłkę lotniczą: Europa – 62 euro lub 72 \$, Ameryka Pn. i Afryka – 87 \$, Ameryka Pd. i Łac., Azja – 107 \$, Australia i Oceania – 132 \$. Wpłaty w złotych (według aktualnego kursu NBP) proszę kierować pod adresem jw.

KAŻDY PRENUMERATOR otrzymuje raz w roku nieodpłatnie książkę. W roku 2006 jest to *Szukalem was...* – wybór myśli Jana Pawła II.

PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA PROWADZONA PRZEZ „RUCH”

Cena prenumeraty w II kwartale 2006 wynosi 48 zł. Szczegółowe informacje we właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora oddziałach „Ruch” lub w urzędach pocztowych. Prenumerata zagraniczna jest o 100% droższa od prenumeraty krajowej i za II kwartał 2006 r. wynosi 96 zł.

adres redakcji:

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37, tel. 012 61 99 530, fax 012 61 99 502;

e-mail: miesiecznik@znak.com.pl

www.miesiecznik.znak.com.pl

Materiałów niezamówionych nie odsyłamy

Nakład 2400 egz.

Skład i łamanie: Łukasz Mazurkiewicz

Druk: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16



Biedny krewny ze Wschodu, s. 6

Wojciech Lubowiecki: W głębokich pokładach europejskiej podświadomości Polska to nadal zacofany, postkomunistyczny kraj na dalekim wschodzie Europy. Dowodzą tego potknięcia językowe (kiedy były szef NATO lord Robertson wylądował na Okęciu, wyraził swoje zadowolenie z przybycia do Moskwy), skróty myślowe (ileż to tekstów o Polsce w prasie zachodniej okraszonych jest fotografią wozu drabiniastego!) i wrzucanie wszystkiego, co na Wschodzie, do jednego worka.



Na manowcach, s. 27-28

Marek Zając: Właśnie w dziedzinie słowa dostrzec można w Kościele symptomy kryzysu. Zbyt często zamiast słów skoncentrowanych na codziennym doświadczeniu albo zapada lęklive milczenie, albo płynie potok wyuczonych zdań – martwych, wydrążonych od środka, abstrakcyjnych czy jurydycznych. Człowiek czeka na chleb, a otrzymuje kamień.



Kłopoty z miłością, s. 138

Jerzy Surdykowski: Jakże łatwo oszukać miłość, która jest cierpliwa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko znosi. Czy Wszechmogący może tak głupio i naiwnie kochać? Tu właśnie jesteśmy blisko sedna sprawy: miłość Boga do nas, ludzi – jeśli w ogóle istnieje – jest najbardziej bezinteresownym darem, najbardziej naiwną z wiar.



Ucieczka, s. 186

Paweł Szeliga: Historia ucieczki człowieka to historia jego wchodzenia w siebie i zadawania sobie gwałtu, by wyrzyczeć choćby kilka zdań we własnym języku. To jednak także historia zmagania się z wartościami oraz niewiarą i wiarą – na przemian – w ich rzeczywiste istnienie w świecie.

Za miesiąc:

O postudze myślenia. 60-lecie miesięcznika „Znak”

